Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 16 marca 1952 r. | Nr 11 (103) Rok III

W NUMERZE M. IN.: **Artur Międzyrzecki** — Bojownicy pokoju, Wczesną Wiosną; **Edmund Bora** — Iran; **Roman Bratny** — Pochwała oczu szeroko otwartych; **Juliusz Żuławski** — O trudnej sztuce podróżowania; **Henryk Bereza** — Zapowiedzi oczekiwanego urodzaju; **Jerzy Piórkowski** — Reportaż komunisty, **St. Reque** — Znad Sekwany; **Kazimierz Błahij** — Latarnik z Jarosławca; **Włodzimierz Majakowski** — Marusia się otruła (przekład **Artura Sandauera**); **Krystyna Pałys** — W miasteczku pana Mikołaja Reya; **Lucjan Wolanowski** — Kontrasty i porównania; **Grzegorz Lasota** — Kiedy dwóch mówi to samo — to nie jest to samo; **Andrzej Kijowski** — Reportaże Pawła Jasienicy; **Włodzimierz Maciąg** — Dwa nowe tomiki poetyckie; **Maria Jarochowska** — Niespodzianka za pobraniem.

Grecja krwawi

W Grecji rządzą Amerykanie, podobnie jak rządzą we Francji, Jugosławii, Zachodnich Niemczech no i prawie że w Anglii. „Amerykański styl życia" — w sensie politycznym — polega na tym, że lynche oraz gangsterskie i ku-klux-klanowskie rozprawy odziewa się w szaty praworządności.

Krzycz, Grecjo! Najlepsi Twoi synowie są skazani na śmierć przez podłych. Najlepsi Twoi synowie, towarzysze z greckiej Partii Komunistycznej, otrzymują wyroki śmierci za rzekomą działalność szpiegowską.

Krzycz, Grecjo, ustami jednego z Twych najlepszych synów Nikosa Belojanisa, który oświadczył sądowi: „Jestem członkiem Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Grecji i tylko z tego względu znajduję się na ławie oskarżonych. Tylko dlatego, że partia moja walczy i wskazuje drogę do pokoju, niepodległości i wolności".

Krzycz, Grecjo, umęczona, walcząca, niepodległa, piękna Grecjo!

Krzycz, Grecjo, o towarzyszce Elli Joannidu, matce jednomiesięcznego dziecka, urodzonego w więzieniu, nieulękłej bojowniczce socjalizmu, skazanej na śmierć.

Krzycz, Grecjo, o dziewiętnastoletnim Lazaridisie, synu członka KC Greckiej Partii Komunistycznej, skazanym na śmierć.

Te wyroki, piętno kainowe na czole t.zw. „zachodnich demokracji", nie będą wykonane! Świat zna machinacje ambasady amerykańskiej w Atenach, tej, która dyktuje reakcyjnemu rządowi Grecji sposoby haniebnego postępowania.

Ale ani J. Peurifoy, ambasador amerykański w Atenach, ani premier Plastiras nie są zdolni do zdławienia wolnościowego ruchu ludu pracującego Grecji.

Oto dokumenty przygważdżające tych panów:

Dziennik faszystowski „Estia" pisał w dniu 12 grudnia 1951 r.:

„Już od lat przedstawiciel grecki w ONZ domagał się od rządu, by przeprowadził on proces komunistów w ciągu dziesięciu miesięcy, w których nie odbywa się sesja ONZ, a z drugiej strony, aby Belojanis i towarzysze oskarżeni zostali o szpiegostwo bez względu na to, czy władze wojskowe, mające ten proces prowadzić, mają na to dowody czy też nie".

Bez względu na to, czy są dowody, czy też nie!

Krzycz, Grecjo!

Świat reakcji wydał wojnę tow. Nikosowi Belojanisowi, pięknemu komuniście greckiemu. Ten „świat" tę wojnę przegra. Pomimo bomby atomowej (kij ma dwa końce), pomimo wściekłej nagonki na wszystko co żywe, co ludzkie, co demokratyczne, co szlachetne!

Nie ważcie się zabijać naszych ludzi! Wielu spośród nich ludzkość postawi pomniki! Zniknie okupacja amerykańska! Grecja wolna i demokratyczna od czasów antycznych, kiedy kraj ten był kolebką kultury europejskiej, aż po dzisiejszych wspaniałych bojowników wolności — Grecja będzie krajem wolności. Wyroki pisane pod dyktandem amerykańskim przez będących chwilowo u władzy katów, wyroki te będą przekreślone na hańbę wyrokodawców.

Uwolnić skazanych!

Władysław Broniewski

MARIA DĄBROWSKA

„LIRA KARZĄCA"

Mikołaj Gogol według obrazu Goriunowa (r. 1835)

Dzisiaj minęło sto lat od dnia, w którym umarł Mikołaj Gogol, wielki pisarz literatury rosyjskiej i światowej. Niedługie było to ciężkie, a w ostatnich przedśmiertnych latach tragicznie załamane życie. Gogol urodził się niemal jednocześnie z naszymi dwoma wielkimi ludźmi: Chopinem i Słowackim, a umarł mając lat 43, czyli przeżył ich zaledwie o trzy lata. Właściwy czas jego wielkiej twórczości trwa tylko 10 lat i przypada na jeden z najcięższych okresów panowania Mikołaja I-szego, dławiciela wszelkiej wolnej myśli, wszelkich ruchów i prób wyzwoleńczych tak narodu rosyjskiego jak innych poddanych wówczas carskiej władzy narodów.

Krótkie życie, złe zdrowie, bardzo trudne usposobienie, nad wyraz ciężkie warunki społeczno - polityczne, takie były okoliczności sprzyjające raczej wszystkiemu niż zabłyśnięciu i rozwojowi geniusza. A jednak w tych właśnie okolicznościach powstało dzieło Gogola, które po dziś dzień zachwyca, uczy, bawi, wstrząsa nami, zdumiewa wreszcie swoją doskonałością artystyczną. W tych właśnie okolicznościach Gogol dokonał w prozie tego, co Puszkin w poezji. Literaturę o pięknych początkach, ale nie mającą jeszcze światowego znaczenia, skokiem olbrzyma postawił od razu w pierwszym rzędzie wielkich literatur świata. Jakże chlubne świadectwo niepożytej nawet w ucisku, nie poddającej się żadnym okolicznościom zewnętrznym, siły narodu, co wydała tego mistrza słowa — i pięknego i przepełnionego doniosłej wagi treścią!

Uboga w przeżycia osobiste jest biografia Gogola, jak zresztą biografie sporej części wielkich pisarzy, których właściwymi przygodami życia są ich dzieła. Parafrazując słowa Maurycego Mochnackiego można by powiedzieć, że jedynym romansem Gogola była Rosja, jedyną pasją trawiącą jego noce i dnie — twórczość, którą uważał za posłannictwo i odpowiedzialną służbę społeczną.

Syn ziemi ukraińskiej urodził się w średnio zamożnym domu ziemiańskim Hohołów - Janowskich w lutym 1809-go roku. Od dziecka chłonie w siebie z zachwytem uroki krajobrazu i klimatu swojej ziemi rodzinnej, nasiąka cudownym folklorem ukraińskim, jego pieśnią, baśnią, strojami, obrzędami i legendami. Oddany do szkoły w Połtawie, kończy następnie nowootwarte „Liceum Nauk Wyższych" w mieście Nieżynie, jako średni uczeń, zdolny, ale raczej niechętny, przez nikogo nie podejrzany o przyszłą wielkość. Po śmierci ojca i znacznym pogorszeniu się interesów majątkowych rodziny Mikołaj zwyczajem wielu zubożałych synów średnio-ziemiańskich wyjeżdża do Petersburga z wizją wspaniałej stolicy i wspaniałej przyszłości w oczach. Zamknięty w sobie i nie łatwo dający poznać swe możliwości, lecz ambitny młodzieniec marzy już, nie bezpodstawnie, o sławie i odegraniu wielkiej roli, choć dla niego samego nie jest jeszcze jasne, jaka to będzie rola. Wspaniała stolica zwyczajem wszystkich wspaniałych stolic owego czasu zimno przyjęła młodego człowieka, nie wiedząc, że to zaświeciła w niej gwiazda zaranna wielkiej nowoczesnej prozy rosyjskiej. Gogol próbuje zrazu fortuny w służbie państwowej. Zmienia i całkiem wreszcie porzuca nędzne posady rządowe, nie mogąc znieść umysłowej i moralnej martwoty ówczesnego świata mikołajowskiej biurokracji. Usiłuje dostać się do teatru — miał w sobie zadatki na aktora i świetnego recytatora — ale i to mu się nie powiodło. Pierwsza próba literacka, „Hans Küchelgarten", marzycielska idylla, pisana wierszem, zostaje źle przyjęta przez krytykę. Wreszcie po różnych biedach i niepowodzeniach petersburskiego życia Mikołaj wchodzi w krąg ówczesnej elity literackiej, zyskuje przyjaźń, poparcie i opiekę Żukowskiego, wielkiego Bielińskiego, niebawem kongenialnego krytyka swej twórczości, a nade wszystko, Puszkina. Za ich pomocą zostaje profesorem historii w gimnazjum, a potem nawet na petersburskim uniwersytecie. Daje mu to chwilowo środki do życia, lecz i ten rodzaj kariery zostaje niebawem porzucony. Gogol, wielki nauczyciel narodu, dzięki potędze swego pióra, był kiepskim pedagogiem szkolnym i wykładowcą. Olśniwszy słuchaczy paru natchnionymi prelekcjami, zorientował się szybko, że nie posiada należytego przygotowania naukowego i że właściwym polem jego działania jest literatura. Porzuca wątpliwą karierę uniwersytecką, pisze i wydaje „Wieczory na futorze koło Dikańki" przyjęte z entuzjazmem przez prasę, czytelników i przyjaciół z Puszkinem na czele. „Przed chwilą przeczytałem „Wieczory na futorze koło Dikańki" — pisze Puszkin do jednego ze znajomych. — Oto prawdziwa wesołość, szczera, naturalna, bez zgrywania się, bez pretensjonalności. A w wielu miejscach — ileż poezji, ileż uczucia! Wszystko to jest tak niezwykłe w literaturze naszej, że dotąd jeszcze nie mogę się otrząsnąć z wrażenia"...

W „Wieczorach na futorze" Mikołaj Gogol złożył artystyczny hołd swoim barwnym wspomnieniom dzieciństwa. Dzieciństwo, zwłaszcza pogodne i szczęśliwe, z natury rzeczy wychwytuje z życia to, co zachwyca i bawi. To właśnie znalazło wyraz w pierwszych młodzieńczych utworach Gogola. Malowniczość wsi ukraińskiej, mającej nadto dla północnych Petersburżan przyjemny posmak egzotyki, niezrównane obrazy łaskawej, południowej przyrody, humor i łagodnie jeszcze ironiczny dowcip, żywość akcji, a nadto realistyczne szczegóły życia chłopskiego, pozwalające przeczuwać jakąś nową, nieznaną formę i postawę literacką, zjednały młodemu autorowi powszechne uznanie. Wprawdzie humor tych opowieści ma już w sobie zacięcie satyryczne, ale przyszły jasnowidz wszystkiego zła gniotącego ówczesną Rosję, przyszły drapieżny satyryk, co miał podważyć ustrój biurokratyczno - pańszczyźniany, nie dotyka tu jeszcze zasadniczych bolączek współczesnej sobie rzeczywistości. Tylko niesamowita fantastyka ludowych baśni, guseł i wierzeń, tylko krwawa, jak w „Strasznej Zemście", i też zaprawiona fantastyką czarodziejską, opowieść o zaciekłości dawnych bojów kozackich, świadczą o silnym, choć błąkającym się jeszcze wyczuciu jakichś groźnych i ciemnych elementów omraczających życie.

W następnych zbiorach: „Mirogród" i cyklu opowieści zwanych Petersburskimi rozszerza się i pogłębia niezmiernie skala możliwości pisarskich Gogola; zaznacza się już dobitnie najistotniejsza cecha jego geniuszu, zmysł celnej bezlitosnej satyry, ów gorzki śmiech, który Bieliński nazwie pozytywnym bohaterem biczujących utworów Gogola. Mamy tu już pokazaną i nicość małego rozkładającego się ziemiaństwa, i bezduszność biurokracji, pysznej u góry, a służalczej u dołu, i jaskrawe kontrasty społeczne wielkiego miasta, i ostrą satyrę na trywialność, chciwość, zepsucie klas rządzących. Ale nie brak tu i wysokiej miary liryzmu. W „Staroświeckich ziemianach" i w „Szynelu" Gogol pochyli się z czysto ludzką żałością nad bezwolnymi wytworami lub ofiarami złego ustroju.

W roku 1835-tym Gogol pisze i, zwalczywszy z pomocą mających wpływy przyjaciół, wszystkie przeszkody cenzury, wystawia „Rewizora". To arcydzieło kunsztu pisarskiego i teatralnego, ta jedna z najlepszych komedyj satyrycznych świata, jest zadziwiającą eksplozją geniuszu, jeśli zważymy, że był to pierwszy utwór sceniczny dwudziestoześcioletniego zaledwie pisarza.

Ale teraz krytyka i opinia publiczna nie są już wcale jednomyślne w zachwytach nad Gogolem. Cała najlepsza postępowa inteligencja rosyjska przyjmuje „Rewizora" z entuzjazmem; cała reakcja — z oburzonym przerażeniem.

W paru groteskowych postaciach „Wieczorów na futorze" krytyka nie dostrzegła jeszcze jastrzębiego pazura satyry społecznej. Ale już niektóre opowiadania „Mirogrodu" i cyklu petersburskiego wzbudziły wątpliwości reakcyjnych sfer Petersburga. Największe nowatorstwo Gogola, jakim jest wprowadzenie do literatury tzw. szarego człowieka, zaczęło razić. Kłótnie głupich trywialnych szlachetków, jakieś biedne zaśmiecone mieszkania, tępe albo odrażające postacie urzędników zamiast „bohaterów"? I to ma być literatura piękna? To ani literatura, ani satyra, to karykatura rzeczywistości! — wołano. A wystawienie „Rewizora"? Toż to było tak, jakby nagle bruk Newskiego Prospektu podniósł się i wulkan spod niego wybuchnął.

Gogol, jak to bywa z nadwrażliwymi artystami, silniej reagował na krytykę niż na pochwały. W afekcie nowych i ostrych przeżyć autorskich nie rozróżnił należycie, kto go chwali, kto gani. Wydało mu się, że wszyscy są przeciw niemu. Trudno przypuszczać, aby jako artysta nie zdawał sobie sprawy, że „Rewizor" — ta jadowita satyra na 7 grzechów głównych carskiej biurokracji — jest dziełem rewolucyjnym, że śmiech, jaki ta komedia budzi, to śmiech zdolny wywracać trony. Ale jako człowiek i chorobliwie drażliwy, i nie bez racji łaknący tego, co Mickiewicz nazywa „rządem dusz", nie pojmował, czemu wszyscy nie ulegli jego, jak to później nazwie Niekrasow „karzącej lirze", czemu wszyscy od razu nie zobaczyli i nie zrozumieli ukazanej przez niego prawdy. Nie uważał się za rewolucjonistę ani nawet za liberała. Chciał służyć swą sztuką Rosji, wierzył, że służyć jej może tylko prawdą, a widzenie konkretnej prawdy życia miał tak niezawodne, jak w muzyce bywa tzw. słuch absolutny. Nie daje się jednak złamać, nie rezygnuje z walki. Pisze dialogowane intermedium: „Przy wyjściu z teatru", w którym polemizuje ostro z obłudnymi frazesami wstecznej prasy. Ale to przeżycie wywołało pewien uraz psychiczny, który być może stał się zadatkiem przyszłej ruiny i zdrowia, i ducha, i talentu.

Na razie wszelako uraz nie jest dość silny, aby zachwiać satyryczną potęgą twórczą młodego pisarza. Targany mnóstwem niepokojów i kłopotów życiowych, ale uwielbiany przez całą postępową Rosję, pisze i wydaje swoje ostatnie arcydzieło „Martwe Dusze", szczytową obok „Rewizora" pozycję swej twórczości, śmiercionośny akt oskarżenia ustroju pańszczyźnianego. Kończy już ten utwór za granicą, gdzie w Niemczech, Paryżu, Nicei, a nade wszystko w ukochanym przez siebie Rzymie spędza większą część reszty swojego życia. Oddalenie od kraju nie przyniosło mu poszukiwanej równowagi ducha. Dręczy się straszliwie myślą, że tak niekorzystnie przedstawił rzeczywistość swojej ojczyzny, pisząc drugi tom „Martwych Dusz", usiłuje znaleźć pozytywne elementy w ustroju, który był potępił, czuje, że śród rozterek umysłu talent go zawodzi, pali kilkakrotnie ten tom, wreszcie odrzeka się całej swojej poprzedniej twórczości, która mu miała przynieść nieśmiertelność. Dostaje się pod wpływy mętnych, wstecznych umysłów, popada w skrajny mistycyzm, głosi reakcyjne poglądy. Pamiętajmy, że była to również epoka wizjonerów, magnetyzmu, wszelkiego rodzaju mesjanizmów i mistycyzmów i że podobnemu kryzysowi łamiącej się wielkości uległ niejeden z ówczesnych genialnych ludzi, nie ustrzegł się tego nawet nasz tak trzeźwy Mickiewicz. Na parę lat przed zgonem Gogol wraca do ojczyzny — 4-go marca 1852 roku umiera w Moskwie śród okrutnych cierpień duchowych i zupełnego wyniszczenia fizycznego.

Gogol przeczuwał wielką przyszłość swej ojczyzny i dał temu wyraz w dwu znanych pięknych ustępach „Martwych Dusz". Ale nie umiał dostrzec, jaka to będzie przyszłość, choć byli już wtedy ludzie, co jej drogę widzieli. Miał też przeczucie nieśmiertelności swego dzieła, kiedy pisał do Żukowskiego o „Martwych Duszach": „Niezmiernie wielkie będzie moje dzieło, nieprędko je skończę. Jeszcze oburzą się na mnie nowe stany i wielu rozmaitych panów, ale trudno... Taki już mój los — kłócić się z rodakami. Cierpliwości... Wiem, że imię moje okaże się szczęśliwsze ode mnie i potomkowie tychże samych rodaków może ze łzami w oczach wyrzekną słowa pojednania z moim cieniem".

Te słowa pojednania zostały wielekroć wyrzeczone, a uroczystości związane z setną rocznicą śmierci wielkiego pisarza są ich tryumfalnym potwierdzeniem.

Tragiczne załamanie się Gogola mogło sprawić chwilową przyjemność reakcyjnym podporom mikołajowskiego reżimu. Mogło zakrwawić serca jego przyjaciół i wielbicieli, jak zakrwawiło serce Bielińskiego. Przyniosło odmęt udręki samemu pisarzowi. Ale nie zmieniło nic w istocie zjawiska, któremu na imię Gogol. Ładunek rewolucyjny i artystyczny tego, co Gogol stworzył w wielkim okresie swego życia, został wchłonięty przez Rosję, wzmocnił jej dążenia demokratyczne i postępowe, naruszył ustrój pańszczyźniany, uderzył nawet w zaczynający się właśnie rozwijać kapitalizm, piętnując to, co jest jego kamieniem węgielnym — żądzę posiadania i gromadzenia bogactw kosztem bliźnich.

Gogol wywarł wielki wpływ na literaturę rosyjską XIX wieku, podając jej niejako kierunek w którym osiągnęła niebywałe tryumfy o światowym znaczeniu. Wywarł też wpływ na rozwój rosyjskiego teatru, mimo że był autorem tylko dwu pełnych sztuk scenicznych. Wszyscy wielcy pisarze i dramaturgowie rosyjscy od Niekrasowa poprzez Ostrowskiego, Sałtykowa-Szczedryna, aż do Czechowa i Gorkiego wspominają Gogola, cytują go, przybierają jego zdania za motta, i nie darmo okres, który po nim nastąpił, nazywany jest Gogolowskim okresem literatury. Sława Mikołaja Gogola wykroczyła daleko poza granice jego ojczyzny; w wielu krajach, nie mówiąc o przekładach dzieł, napisano o nim poważne studia, a „Rewizor" grywany jest dotychczas we wszystkich teatrach świata, dbałych o wielki repertuar. W ojczyźnie zaś Gogola, w Związku Radzieckim, dzieła jego zajaśniały silniejszym niż kiedykolwiek blaskiem i wydawane w wielu milionach egzemplarzy, przełożone na trzydzieści kilka języków, stały się duchową własnością wszystkich.

W Polsce Gogol od dawna był znany i ceniony. Co jest rzeczą tym bardziej godną uwagi, że jego twórczość powstała w okresie dziejowym wcale nie sprzyjającym współżyciu kulturalnemu narodów polskiego i rosyjskiego. Ale narody dzieli tylko to, co w nich jest małe i złe, oparte na uprzedzeniach, fałszywych wyobrażeniach i na wynikających stąd wzajemnie zadawanych sobie krzywdach. Łączy je zawsze i poprzez wszystko to, co w nich dobre, wartościowe i wielkie. A w dziedzinie kultury cóż może być większego od dzieł genialnych umysłów? Toteż Gogol przedarł się do nas poprzez wszystkie mroki carskiej niewoli i przemówił do nas językiem innej, prawdziwej, lepszej Rosji. Już w XIX wieku byli, zapomniani i dziś na nowo przez naszych badaczy odkrywani, krytycy, którzy pisali studia o Mikołaju Gogolu. W okresie międzywojennym Gogol był wydawany i grany w najlepszych teatrach polskich, a jego najsławniejsze dzieła przełożone zostały przez takie pióra jak Tuwima i Broniewskiego. Drukowano też o nim sporo studiów, artykułów i recenzyj. O tym, że dzisiaj wielka twórczość Gogola zajęła należne jej miejsce i w teatrze, i w naszej literaturze przekładowej — nie potrzebuję mówić — wszyscy o tym wiedzą.

Mikołaj Gogol urodził się w epoce, którą nazywamy romantyczną, a stał się w niej — zwiastunem to mało — pierwszym już dojrzałym w tej dyscyplinie pisarskiej twórcą dzieł realizmu krytycznego. A jednak nie zawahałbym się nazwać go i romantykiem, w tym szerszym i głębszym znaczeniu, w jakim rzadko się mówi o romantyzmie. Romantyzm zawierał przecie w sobie pierwsze zadatki i realizmu, i krytycznego spojrzenia na otaczającą rzeczywistość. Mickiewicz jest w „Panu Tadeuszu" najczystszej wody realistą, a w niektórych partiach „Dziadów" jest realistą krytykiem i nawet satyrykiem. Puszkin jest w „Onieginie" realistą krytycznym. Z drugiej strony „Wieczory na futorze koło Dikańki" są przepojone pierwiastkami romatycznymi, do których należy już sama ludowość tematyki, przerastająca jednak u Gogola realizmem wywołanych obrazów ludowość innych romantyków, jeszcze cokolwiek teatralną. Folklor i fantastyka wierzeń ludowych w „Wieczorach" wywodzą się z tej samej gleby społecznej i z tych samych dążeń literackich, co „Ballady" i guślarsko-fantastyczne części „Dziadów" Mickiewicza. Fantastyką romantyczną posługuje się Gogol i w innych opowiadaniach, jak np. w „Portrecie". Słynne dygresje w „Martwych Duszach" są, jakże właściwymi epoce romantycznej, dygresjami poetyckimi. Tak samo jak niektóre porównania tej książki rozrastające się czasem do rozmiaru kilkudziesięciu wierszy są małymi poemacikami i ja nie dziwię się wcale, że Gogol nazwał tę śmieszną a groźnie smutną epopeję realistyczno - satyryczną poematem. Takie same porównania rozrastające się do rozmiaru małych poemacików mamy i u Puszkina, i w „Panu Tadeuszu". I mimo oceany różnic, kiedy czytałam „Martwe Dusze" przypominał mi się „Pan Tadeusz" to arcydzieło geniuszu dobrodusznego — bywają i takie przejawy geniuszu — ale zarazem i obraz walki o posiadaniu także martwej pozycji horeszkowskiego zamku, ale zarazem i wielkie malowidło świata ludzi często małych i śmiesznych i pokazanych nie bez delikatnej ironii, choć głęboko skrytej pod łzami czułości nad wspomnieniami dzieciństwa. A kiedy czytałam opowieść o kapitanie Kopiejkinie, a potem dociekania grona ludzi niemądrych, kim jest właściwie Cziczikow, to przypomniało mi się inne arcydziełko Mickiewicza „Popas w Upicie". I było mi przyjemnie, że mi się to przypomniało

---

Przemówienie wygłoszone 4 marca 1952 r. na uroczystym wieczorze w setną rocznicę śmierci Mikołaja Gogola w Teatrze Polskim w Warszawie.

Ale wróćmy do rzeczy, która stanowi największą siłę Gogola, do jego realizmu. Mistrzostwo realizmu Gogola jest szczególnego rodzaju. Nie polega na fabule. Fabuła dwu największych arcydzieł: „Rewizora" i „Martwych Dusz" jest niesłychanie prosta i wybrana bez większej troski o jej życiowe prawdopodobieństwo. Wątek fabularny do obu tych utworów dał mu, jak wiadomo, Puszkin. Anegdota o uparcie nie wyjaśniającym się qui pro quo, kiedy bierze się kogoś za kogo innego (jak w „Rewizorze") była nieraz wykorzystywana przez autorów komedyjek, wodewilów i fars. Pomysł pokazania życia czy pewnego środowiska poprzez przygody podróży (jak w „Martwych Duszach") jest stary jak świat. Ale to właśnie pozwoliło Gogolowi, nie trudząc się już nad prostą i łatwą fabułą, skierować całe swe ostrowidztwo na jej przeprowadzenie i zawęźlenie dramatyczne do tego stopnia znakomite, że w obu wypadkach mamy poczucie obcowania z najwyższej miary oryginalnością nie tylko szczegółów i treści, ale i samej fabuły.

Realizm Gogola jest daleki od tzw. „wszechstronnego obrazu człowieka". Mówi się odwiecznie, że jego postacie są typami charakterystycznymi. Ale rzadkiego trzeba geniuszu, aby postacie tak wiekopomnie typowe tworzyć równie oszczędnymi środkami. Jego ludzie są zazwyczaj obdarzeni jedną tylko cechą psychiczną. Są to uosobione cechy ludzkie. Dla zaostrzenia charakterystyki podaje się jeszcze, także w ogromnym skrócie, parę bezbłędnie zaobserwowanych sposobów bycia, jakiś kapitalny opis ubrania i najbliższego otoczenia; pokazuje się obraz mieszkania czy wyglądu postaci, i już wiemy, z kim mamy do czynienia. Najwalniejszym chwytem satyrycznej charakteryzacji jest u Gogola pozorowanie pewnego rodzaju życzliwości dla swych łajdaków lub nierobów. Bez osądzania ich, bez taniego moralu, wielki pisarz tylko ich mistrzowsko demonstruje, a wyrok w sercu czytelnika czy widza już jest gotów. I w taki oto sposób stwarza typy tak żywe, jakich mało istnieje w literaturze. Gogol jest jednym z kilku zaledwie szczęśliwych wielkich pisarzy, których postacie i z których cytaty wyszły z książek i krążą po świecie. Nazwiska jego najcelniejszych bohaterów i urobione od nich pojęcia stały się rzeczownikami pospolitymi; cytatami z Gogola posługują się, nie mówiąc o wielkich, zwykli powszedni ludzie, zapomniawszy nieraz, albo nawet nie wiedząc, skąd je biorą.

Rodzaj realizmu Gogola jest pokrewny może Cervantesowi i o tyle późniejszemu Dickensowi, ale przewyższa Dickensa zwięzłością, mimo pozorów drobiazgowego czasem zajmowania się szczegółami.

Jako przykład oszczędności środków, jakimi Gogol stwarza swoje postacie, i rezultatów, jakie osiąga, przypomnijmy jedno. W „Martwych Duszach" Gogol nie pokazał nam bezpośredniego ucisku chłopów. Pokazał nam tylko galerię butwiejących na różny sposób ziemian, których Cziczikow odwiedza, skupując zmarłych, a nie wykreślonych z rejestru chłopów, aby zastawiwszy w banku te „martwe dusze" zyskać kapitał i puścić się na dalsze szalbierstwa. Gogol daje nam w tej książce tylko trzy drugoplanowe postacie ludzi pańszczyźnianych. Stangreta Selifana, który rozmawia z końmi, małego sługę Pietrka, co wnosi wszędzie ze sobą woń dawno zamieszkanej izby i dziewczynkę Pelagię, która na chwilę siadła na kozioł bryczki Cziczikowa, żeby pokazać drogę. Te postacie są narysowane paru kreskami zaledwie, a są najbardziej ludzkie z całej książki. I nikt ich nie może zapomnieć, i każdy w nich dojrzy całą nędzę i niedolę ciemiężonego człowieka.

Narzędziami swego warsztatu pisarskiego władał Gogol z imponującą umiejętnością. Żadne porównanie, żaden pejzaż nie jest przez niego użyty bez celu, z samej tylko miłości do metafory czy opisu przyrody. Wszystko służy spotęgowaniu zamierzonego efektu artystycznego i społecznego. Toteż wszystkie tzw. figury stylistyczne są ściśle sharmonizowane z charakterem danego utworu. Krajobrazy historycznej epopei „Taras Bulba" są heroiczne, krajobrazy „Wieczorów na futorze" —idylliczne, krajobrazy i w ogóle widoki, na które patrzy Cziczikow, są jadowicie satyryczne i przejmująco smutne. A kiedy pokazując Maniłowa całującego się z żoną, Gogol powie: „Pocałunek ich trwał tak długo, że można by przez ten czas wypalić małe cygaro", to mamy w tym porównaniu od razu śmiech nad całą mazgajską ckliwością sentymentalizmu „maniłowszczyzny". I wiemy od razu, że takie porównanie może być zastosowane tylko do tej postaci, i że żadnego innego pocałunku Gogol by takim porównaniem nie zobrazował.

Doskonałość realizmu Gogola, jak wszelkiego prawowitego realizmu, polega na celnym i nieomylnym wyborze potrzebnych mu elementów rzeczywistości z nieprzebranego skarbca jego życiowych obserwacyj. Pod tym względem Gogol jeszcze dziś może nas uczyć, jak uniknąć pokus naturalizmu.

Język Mikołaja Gogola jest, niezależnie od wyraźnych w nim wpływów mowy ukraińskiej, urzekający, melodyjny, a fraza jego bywa często najczyściej poetycka. Jest to też — mimo długich nieraz okresów — język niezwykle komunikatywny i prosty, tą prostotą, którą osiąga się tylko tytanicznym trudem pracy pisarskiej.

Swoistą cechą Gogola jest jego, już tu wspomniana, oryginalność. To chyba jeden z najbardziej samorodnych talentów swego czasu. Konkretne życie Rosji i Ukrainy było jedynym źródłem i natchnieniem jego twórczości. I sądzę, że niełatwe miałby zadanie, kto by chciał wyszukać w nim jakieś zależności, zwłaszcza od obcych, tak silnie przecie w owych czasach wszędzie oddziaływających literatur. Znaleziby chyba najwyżej wpływy rad i rozmów z przyjaciółmi — źródło wpływów mało znane krytykom, a silne.

Mikołaj Gogol jest wielkim rosyjskim pisarzem narodowym, rozumiejącym, że korzenie twórczości narodowej tkwią w mowie, sztuce i życiu mas ludowych. A dlatego, że służył tak właśnie rozumianej literaturze narodowej, stał się pisarzem i międzynarodowym, na wkroś ogólno-ludzkim.

Maria Dąbrowska

EDMUND BORA

I R A N

Dzieje ludów irańskich obfitują w piękne karty społecznych walk wyzwoleńczych. Na przełomie V i VI wieku tereny obecnej Radzieckiej Azji Środkowej i Iranu stały się widownią potężnego ruchu ludowego, znanego pod nazwą mazdakizmu. Przywódca tego ruchu Mazdak i jego zwolennicy głosili, że prywatna własność w społeczeństwie pochodzi od sił zła i każdy człowiek walcząc o zwycięstwo sił dobra powinien dążyć do wprowadzenia równości majątkowej między ludźmi. „Niech będą rozdzielone dobra między ludźmi — nauczał Mazdak — gdyż wszyscy są synami jednego boga". Wokół Mazdaka skupiły się szerokie masy chłopstwa i biedoty miejskiej, które energicznie przystąpiły do praktycznej realizacji nauk mistrza, zabierając obszarnikom ziemie i wywłaszczając bogaczy. Dopiero po ciężkich i krwawych walkach udało się sferom posiadającym zdławić powstanie.

Nie był to bynajmniej ostatni zryw rewolucyjny irańskich mas ludowych. Nie było wieku w dziejach tych ludów bez zażartych walk społecznych. Wszystkie kończyły się klęską. Pokolenie za pokoleniem odchodziło w przeszłość zostawiając potomnym pamięć o wielkich bezskutecznych zmaganiach społecznych. Dopiero dzięki rewolucji październikowej, po raz pierwszy w dziejach, masy pracujące zdołały na olbrzymich terenach Azji i Europy obalić tyranię, nie po to, żeby oddać władzę innym ciemiężycielom, ale po to, by wziąwszy rządy w swoje ręce zlikwidować wszelki ucisk klasowy i narodowy. Mśród tych ludów znaleźli się Tadżycy.

Drugi naród irański — Persowie, stoi w chwili obecnej w ogniu zaciętych walk o wyzwolenie społeczne i narodowe. Walki te prowadzone są przez Persów wspólnie z innymi ludami zamieszkującymi współczesny Iran, Azerbejdżanami, Kurdami i drobniejszymi grupami narodowościowymi.

Imperializmowi nie udało się wbić klina nienawiści między ludy tego kraju. Od lat ponad 50-ciu Iran jest terenem najbezwzględniejszego bezpośredniego wyzysku ze strony imperializmu. Skutki stosowanej od wieków przez miejscowych obszarników eksploatacji w połączeniu z wyzyskiem kolonialnym zepchnęły naród irański na pozycję nędzarzy, skazanych na głód w dosłownym znaczeniu — braku chleba, na nędzę w znaczeniu zrozumiałym dla tych tylko, dla których buty są wymarzonym luksusem, a łachmany normalnym, codziennym odzieniem.

Są w Iranie okolice, gdzie dziewczęta nie mając najprymitywniejszych sukien odważają się otulone łachmanami wyjść na ulicę tylko nocą. Dzieje się to w prowincji, z której Anglo-Irańskie Towarzystwo Naftowe wyciągało przez dziesiątki lat bajeczne bogactwa, w Chuzistanie. Prowincja ta położona nad Zatoką Perską uchodziła jeszcze kilkadziesiąt lat temu za śpichlerz Iranu. Anglo-Irańskie Towarzystwo Naftowe, rządząc się na podstawie koncesji uzyskanej od szacha Mozafer-ed-Dina w 1901 roku, świadomie nie dopuszczało do naprawy niezbędnego w tamtych okolicach dla rolnictwa systemu irygacyjnego. Zapewniło sobie w ten sposób rezerwuar tanich sił roboczych, ale doprowadziło równocześnie gospodarkę miejscową do całkowitej ruiny.

Chuzistan nie zmonopolizował jednak nędzy ludzkiej. Nędza ta powszechna jest w całym kraju, gdzie chłop-dzierżawca dotychczas musi oddawać znaczną część swoich nędznych zbiorów obszarnikowi, resztą zaś wykarmić liczną rodzinę. O ubranie, obuwie, naukę dla dzieci w ogóle nie potrzebuje się głowić. Bo i po co? I tak nie da rady.

Nic też dziwnego, że Iran zajmuje jedno z pierwszych miejsc na świecie pod względem analfabetyzmu, śmiertelności dzieci i rozpowszechnienia najrozmaitszych chorób począwszy od jaglicy, a kończąc na chorobach płucnych i wenerycznych. Są to fakty tak oczywiste i rzucające się w oczy, że nawet prasa imperialistyczna nie usiłuje ich ukrywać. I bodajże nie ma wypadku, żeby dziennikarz zachodnio-europejski lub amerykański po powrocie z Iranu nie alarmował burżuazyjnej opinii publicznej swego kraju, że Iran, pozycja tak ważna strategicznie i gospodarczo z punktu widzenia planów imperializmu — to wulkan, grożący rewolucją.

Ostatnio bawił w Iranie redaktor pisma labourzystowskiego „The New Statesman and Nation", znany publicysta brytyjski Kingsley Martin, którego o wszystko można by podejrzewać poza sympatiami do komunizmu. A oto wyjątki z jego wrażeń opublikowanych we wspomnianym piśmie w korespondencji pt. „Oblicze perskich zagadnień politycznych". „Teheran i większa część zamieszkałych okręgów Persji znajduje się na wysokości 5000 i więcej stóp nad poziomem morza. W chwili obecnej jest tam co najmniej tak chłodno jak u nas zwykle w tej porze zimy bywa w Anglii. W dzień można zobaczyć chłopaków, którzy mają na sobie cieniutkie spodenki z bawełny i paletko składające się z kilku łachmanów razem zszytych. Mało który z nich nosi pończochy. Ich ojcowie, matki i siostry nie o wiele cieplej są ubrani. Wydaje mi się, że na 20 ludzi nie spotkałem jednego, który by miał porządne ubranie, a ja, spacerując po ulicy, ubrany w ciepłe palto zimowe, zdawałem sobie jasno sprawę, że jestem wśród nich jedynym człowiekiem nie drżącym z zimna."

Podobne spostrzeżenia autor poczynił w innych miastach Iranu. Z licznych zaś przeprowadzanych tam rozmów wyciągnął bardzo daleko idący wniosek, że „ogólnie biorąc cała inteligencja, tj. nauczyciele i studenci, bez względu na wiek, urzędnicy, lekarze, prawnicy itd. są jeżeli nie komunistami to przynajmniej sympatykami komunizmu."

Kingsley Martin mógłby śmiało zatytułować swoje korespondencje „wędrówkami po kraju, w którym 50 lat rządził imperializm brytyjski". Olbrzymi ten kraj, licząc ponad 1,5 mln. km. kw. przy olbrzymich bogactwach naturalnych, nie potrafi obecnie wyżywić po ludzku swoich 15 milionów ludności. Anglo-Irańskie Towarzystwo Naftowe wprowadziło na tereny 100 tys. km. kw. objętych koncesją system czysto kolonialnego wyzysku. Robotnicy i urzędnicy irańscy byli wielokrotnie gorzej płatni od pracowników brytyjskich, podlegali poniżającym ograniczeniom społecznym i wiedzieli, że prawdziwą władzą na tych terenach jest nie administracja irańska, ale urzędnicy Anglo-Irańskiego Towarzystwa Naftowego.

Macki towarzystwa sięgały jednak daleko poza obszary koncesji naftowych. Tajemnicą poliszynela jest, że na żołdzie towarzystwa znajdowali się w Iranie posłowie do parlamentu, gubernatorzy, dziennikarze i różnego kalibru politykierzy. Niejeden z nich zginął od kuli skrytobójczej lub sztyletu, jeżeli próbował działać wbrew życzeniom wszechpotężnych nafciarzy brytyjskich. Ambasada brytyjska w Teheranie i rozrzucone do niedawna jeszcze po całym kraju konsulaty były ogniskami korupcji, szpiegostwa i intryg politycznych, które przeżerały organizm sfer rządzących.

Wywiad brytyjski doprowadził do perfekcji sposoby, którymi starał się utrzymać w całkowitej zależności od siebie ciągle zmieniające się rządy w Teheranie. Gdy przekupstwo nie dawało pożądanych wyników, a skrytobójcze mordy przestawały oddziaływać, zwracał się do przywódców szczepów koczowniczych, podburzając ich przeciw rządowi centralnemu.

W trakcie drugiej wojny światowej Związek Radziecki zapobiegł opanowaniu Iranu przez agentów hitlerowskich. Wtedy to na terenie Iranu rozwinął się z dużą siłą wśród robotników i inteligencji ruch demokratyczny, skierowany przeciw rodzimej reakcji i imperializmowi. Powstaje ludowa, demokratyczna partia mas — Tudeh (po persku—masy), zaczynają działać organizacje związkowe, młodzieżowe, kobiece itp. We wrześniu 1945 roku powstaje w północnej części kraju na terenach zamieszkałych przez prawie sześć milionów mieszkańców azerbejdżańska partia demokratyczna, która staje na czele walki wyzwoleńczej ludu azerbejdżańskiego. Walka ta splata się z walką całego narodu irańskiego o wyzwolenie społeczne. W grudniu tegoż roku zostaje powołany rząd autonomiczny Azerbejdżanu, który przeprowadza szereg poważnych reform społecznych, m. in. reformę rolną. W stolicy Azerbejdżanu Tebryzie otwarty zostaje uniwersytet z azerbejdżańskim językiem nauczania. Zaczyna się rozbudowa szerokiej sieci szkół w języku narodowym. Rozwija się prasa, teatr itp. Na terenach etnicznie perskich pod kierownictwem partii Tudeh i związków zawodowych masy robotnicze i chłopskie rozwijają szeroką akcję zmierzającą do reform społecznych i gospodarczych, wymierzoną przeciw imperializmowi. Kraj ogarnięty zostaje falą strajków. Ówczesny rząd perski premiera Kawama-es-Saltaneh zmuszony jest uznać autonomię Azerbejdżanu i zgodzić się na włączenie do rządu centralnego przedstawicieli „Tudeh".

W odpowiedzi na to imperializm brytyjski sięga do wypróbowanych metod dywersji. Agenci Intelligence Service dostarczają broni zamieszkałym w południowej części kraju przywódcom koczowniczych szczepów kaszgajskich, zachęcając ich do buntu przeciw rządowi teherańskiemu pod hasłem obrony „zagrożonego przez bezbożników Islamu". Bandy rozagitowanych koczowników napadają na wsie i miasteczka Chuzistanu mordując robotników i chłopów, oraz paląc ich dobytek.

Bezpośrednim celem tych rzezi było ułatwienie Anglo-Irańskiemu Towarzystwu Naftowemu akcji zdławienia strajków robotniczych. Pośrednim nie mniej ważnym celem było zachęcenie Kawama-es-saltaneh do energicznego wystąpienia przeciw ruchowi robotniczemu, przeciw partii „Tudeh" i ludowi Azerbejdżanu.

Reakcja perska nie mniej od kół rządzących w Anglii i USA była zaniepokojona rozmachem ruchu demokratycznego. Wiadomości o reformie rolnej w Azerbejdżanie budziły panikę wśród obszarników w całym kraju. Nic też dziwnego, że ówczesny premier Kawam-es-Saltaneh, orientujący się zresztą raczej na imperializm amerykański niż brytyjski, skorzystał z pretekstu podsuniętego mu przez buntowniczych Kaszgajów i przystąpił do walki przeciw ruchowi demokratycznemu.

Z końcem 1946 roku wojska perskie wkraczają na teren Azerbejdżanu, likwidują autonomię tej prowincji, unieważniają przeprowadzone przez rząd autonomiczny reformy społeczne, zwracają obszarnikom ziemie, zamykają szkoły w języku miejscowym, wtrącają do więzień i mordują dziesiątki tysięcy osób. Dzieje się to w czasie, gdy cyniczna propaganda amerykańska i angielska trąbi na cały świat, że Związek Radziecki zagraża niepodległości Iranu.

Ale jeżeli w zachodniej Europie lub Ameryce znaleźli się naiwni, którzy temu uwierzyli — nie uwierzył temu nikt w Iranie. Stosunek Związku Radzieckiego do Iranu od pierwszej chwili powstania rządu radzieckiego był tak odmienny od stosunku państw imperialistycznych, że próby wzniecania nastrojów antyradzieckich w Persji z góry skazane były na niepowodzenie.

Waszyngton i Londyn szybko dochodzą do wniosku, że Iran coraz gwałtowniej zaczyna wymykać się z duszących objęć imperializmu. Anglicy spodziewają się jeszcze, że stosując swoje stare metody intryg i przekupstw uda się im zahamować ten proces, Amerykanie zaś nie mają wątpliwości, że imperializm brytyjski będzie musiał ustąpić i myślą tylko o tym, żeby zapobiec zwycięstwu ruchu demokratycznego i podporządkować Iran swoim wpływom.

Okres między 1946 a 1950 rokiem upływa w Iranie z jednej strony pod znakiem wzmożenia walk klasy robotniczej, chłopstwa i warstw średnich przeciw imperializmowi brytyjskiemu i amerykańskiemu, z drugiej strony — pod znakiem rywalizacji między imperializmem angielskim i amerykańskim o wpływy na politykę kół rządzących w Teheranie. W kołach tych coraz silniejsze wpływy zaczynają zyskiwać zwolennicy kierunku nawołującego do zerwania z imperializmem brytyjskim i podporządkowania Iranu polityce amerykańskiej.

Pod jednym wszakże względem panuje całkowita zgoda między Waszyngtonem, Londynem a Teheranem: pod względem nienawiści do ruchu demokratycznego i jej siły kierowniczej — partii Tudeh. Owocem tej zgodności uczuć jest delegalizacja tej partii i ruchu związkowego wiosną 1949 roku. Partia schodzi do podziemia, ale nie przestaje być groźnym przeciwnikiem dla imperializmu i jego miejscowych agentów. W dalszym ciągu wychodzi centralny organ partii „Mardom", odbywa się zorganizowany na szeroką skalę kolportaż partyjnych pism młodzieżowych, odezw i proklamacji wzywających do walki przeciw Anglo-Irańskiemu Towarzystwu Naftowemu, przeciw imperializmowi brytyjskiemu i amerykańskiemu.

Przerażona popularnością haseł antyimperialistycznych część wielkiej burżuazji i obszarników czyni próby zwekslowania nastrojów antyimperialistycznych na tory czysto antybrytyjskie. Reprezentantem tego kierunku staje się frakcja posłów do „medżlisu" (parlamentu), która przybiera nazwę „Frontu Narodowego". Kierowany przez znanego polityka dr Mohammeda Mossadeka „Front Narodowy" wysuwa z początku żądanie zawarcia z Anglo-Irańskim Towarzystwem Naftowym nowego układu, który by zapewniał rządowi Irańskiemu znacznie większy udział w dochodach Towarzystwa. Na wniosek posłów „Frontu Narodowego" medżlis odrzuca wniosek proangielskiego premiera Ali-Razmary zalecający parlamentowi zaaprobowanie podwyżki wpłat na rzecz rządu irańskiego, zaproponowanej AITN *).

Niedługo potem w marcu 1951 roku Ali-Razmara zostaje zamordowany przez członka fanatycznego stowarzyszenia muzułmańskiego, „Fedojon-e-Islom" (Bojownicy Islamu), którego przywódca Kaszani ostatnio specjalizuje się w szafowaniu hasłami antybrytyjskimi. Reakcyjne poglądy społeczne Kaszaniego nie są tajemnicą. Zdaniem niektórych obserwatorów w jego stowarzyszeniu działają również ludzie bynajmniej nie obojętni dla uroku Białego Domu. Bezpośrednio po zamordowaniu generała Razmary, stanowisko premiera objął zdeklarowany zwolennik orientacji proamerykańskiej Husejn-Ala, były ambasador Teheranu w Waszyngtonie.

Po jego szybkim ustąpieniu pod naciskiem wielkich antyimperialistycznych demonstracji, domagających się wywłaszczenia AITN, premierem został wspomniany już przywódca Frontu Narodowego dr Mohammed Mossadek, uchodzący w kołach drobnomieszczańskich za polityka osobiście uczciwego i nieprzekupnego, co się rzadko w Iranie zdarza, i za polityka wybitnie antybrytyjskiego. Antypatii do USA nigdy nie wykazywał, potrafił natomiast często łączyć wyrazy podziwu dla „demokracji amerykańskiej" z deklaracjami o konieczności zapewnienia całkowitej niezależności Iranu od wszelkich obcych wpływów. Objąwszy władzę dr Mossadek szybko przeprowadził przez parlament ustawę o nacjonalizacji przemysłu naftowego. W głosowaniu nad ustawą z 15 marca 1951 roku wszyscy posłowie medżlisu jednomyślnie ją zaaprobowali. Nie było wśród nich ani jednego przedstawiciela obozu demokratycznego, ale wobec nastrojów panujących w kraju nikt z nich nie odważył się oddać swego głosu przeciw nacjonalizacji.

W Waszyngtonie budzi to zrozumiały niepokój. Wiadomości nadchodzące z Teheranu mówią, że nowo powstałe „Stowarzyszenie Walki Przeciw Imperialistycznym Towarzystwom Naftowym" *) zyskuje coraz większe wpływy wśród ludności.

Masowe demonstracje antyimperialistyczne z udziałem dziesiątków i setek tysięcy ludzi noszą coraz bardziej charakter nie tylko antybrytyjski ale i antyamerykański. Truman postanawia wystąpić w roli pośrednika między rządem brytyjskim a teherańskim. W tym celu wysyła do Teheranu jako mediatora swego specjalnego wysłannika Harrimana, jednego z najzręczniejszych dyplomatów amerykańskich. Na spotkanie Harrimanowi — latem ubiegłego roku — wyległy dziesiątki tysięcy mieszkańców Teheranu z „entuzjastycznymi" okrzykami w rodzaju: „precz z imperializmem amerykańskim."

Policja uzbrojona w broń amerykańską rozpędziła tłumy, zabijając i raniąc wiele osób. Tak wyglądał pierwszy występ propagandowy emisariusza USA. Misja jego zresztą nie udała się. Rząd teherański nie mógł się zgodzić na jego propozycje mediacyjne, które pomogłyby brytyjczykom uratować prestiż, a imperializmowi amerykańskiemu jawnie ugruntować kontrolę nad polityką i gospodarką irańską. Harriman wyjechał z niczym.

Wtedy Truman podejmuje następną próbę i zaprasza dr Mossadeka do Waszyngtonu. Mossadek przez długie tygodnie pertraktuje z Amerykanami, ale po wszystkich rozmowach i pertraktacjach wychodzi na jaw, że i w dalekich Stanach Zjednoczonych sędziwy premier musi pamiętać, iż wszelkie oficjalne podporządkowanie się imperializmowi skierowałoby przeciw niemu i te grupy ludności, które wierzą w jego zapewnienia o całkowitej niezależności Iranu od obcych wpływów.

O tym zaś, jakie są prawdziwe nastroje Irańczyków świadczą między innymi dwa miliony podpisów zebranych pod Apelem Światowej Rady Pokoju, wzywającym do zawarcia Paktu Pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami. Akcja zbierania podpisów pod Apelem odbywała się w Iranie pod hasłami walki przeciw wciąganiu Iranu w plany przygotowań do trzeciej wojny światowej, pod hasłem przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Aby uzmysłowić sobie wagę tych dwóch milionów podpisów na ogólną liczbę 15 milionów ludności, trzeba wziąć pod uwagę, że zostały one zebrane w warunkach terroru, gdy kolporterzy prasy demokratycznej byli prześladowani i więzieni, wydawanie pism w językach mniejszości narodowych (około 35 proc. ludności) zabronione, gdy lokale Komitetów Obrońców Pokoju były demolowane przez chuliganów znajdujących się pod bezpośrednią ochroną policji, a masowe demonstracje krwawo rozbijane.

W tych warunkach rząd teherański musi oczywiście zachowywać w swej polityce maksymalną ostrożność. Zdaje sobie z tego sprawę również Waszyngton, który stara się nie utrudniać sytuacji rządu dr Mossadeka. Gdy kilka tygodni temu Mossadek odmówił podpisania układu w sprawie dostaw broni z USA na tej podstawie, że warunki tego układu przekształciłyby Iran oficjalnie w amerykańską bazę strategiczną, władze amerykańskie spokojnie przełknęły gorzką pigułkę odmowy i nie zawahały się udzielić „niesfornemu" rządowi sumy dwudziestu kilku milionów dolarów w ramach zasiłku gospodarczego tzw. „pomocy dla krajów zacofanych". W ten sposób rząd irański uzyskał możność tłumaczenia swoim zwolennikom, że dolary, owszem, bierze, kiedy dają, ale niezależności kraju nie sprzedaje.

Nie ulega wątpliwości, że Amerykanie dużo sobie obiecują po tym systemie infiltracji kuchennymi drzwiami. System ten być może dałby dobre wyniki, gdyby sprzeczności społeczne w Iranie były słabsze, a warstwy posiadające silniejsze. Jest jednak inaczej. Jest tak źle z punktu widzenia imperializmu, że cytowany na wstępie Kingsley Martin opisując w swojej korespondencji opublikowanej w „The New Statesman and Nation" wizytę u liberalnego obszarnika irańskiego pisze, że ten przywitał go słowami: „Czy nie sądzisz, że jest to podobne do wizyty u jakiegoś porządnego i liberalnego arcyksięcia gdzieś w południowej Rosji w roku 1916?"

Edmund Bora

*) Anglo-irańskie Towarzystwo Naftowe.

*) Już po oddaniu artykułu do druku nadeszła z Teheranu wiadomość o przemianowaniu nazwy Stowarzyszenia na Narodowe Stowarzyszenie Walki z Imperializmem. (Red.).

ARTUR MIĘDZYRZECKI

BOJOWNICY POKOJU

Kto przeżył jedną noc rozstania,
Komu ta noc uwięzła w gardle,
Kto dusił się od pamiętania
Nim pieśń zaśpiewał dla umarłej,

Kto pomni noc, co jeszcze drży
Od salw szarpiących ziemi łono —
Ten dzisiaj, gniewnie marszcząc brwi,
Woła ku wszystkim świata stronom.

Kto patrząc w oczy niespokojne
Uśmiechał się i wzrok odwracał,
Kto miłość tłumiąc szedł na wojnę
I do zburzonych domów wracał,

Kto na tej ziemi nieobeschłej
Budował miasto, wznosił most —
Ten umie cenić proste szczęście,
Umie o własny walczyć los.

WCZESNĄ WIOSNĄ

Parkany nocy strzegły, a noc była czarna,
Później mroki rozjaśnił blask.
W taką noc wiatr jest wstążką, a bliska latarnia
Jest wazonem bukietu gwiazd.

Błyszczał chodnik i tajał, śpieszyli przechodnie,
Kra na Wiśle pękała z hukiem.
Szły ku chmurze wiosennej świetlne kwiaty pogodne,
Reflektorów łodygi smukłe.

Kwitły blaski nad domem i chwiały się nad nim,
Lśniły kielnie, rzucały cień;
Cienie chwiejne, krzyżując się, w miasto zapadły
Jak w obraz olejny za szkłem.

Oto parów dzieciństwa, ulica bez nazwy,
Światła w oknach znów zapalone;
— Kto jesteś, promienista? — Jestem siostra gwiazdy,
Żarówka, róża w wazonie.

ROMAN BRATNY

Pochwała oczu szeroko otwartych

Do dziś nie mogę sobie darować, że w reportażu nie potrafiłem zamknąć stojącego u jego narodzin momentu, gdy to studiowałem kontur jednego z województw Ziem Odzyskanych, stojąc w Komitecie Wojewodzkim przed zawieszoną na ścianie mapą. Informował mnie sekretarz KW. Po mapie sunął palec byłego robotnika, ucięty w połowie przez maszynę, przy której stał kiedyś, gdy ziemie te należały jeszcze do hitlerii. Ta pokaleczona przez maszynę kapitalistyczną dłoń, wskazująca dziś po gospodarsku najciekawsze punkty naszej nowej ziemi, stanowiła tak fascynujący skrót dziejów, które chciałem opisać, że zanim usiadłem do reportażu, naszkicowałem... wiersz. Gdy reportaż, zgodnie z prawami tego wymagającego szybkiej realizacji gatunku, ukazał się już w druku, wróciłem do wiersza. Skończywszy go miałem do siebie żal, że okaleczyłem reportaż o taki motyw. Na własnej skórze doświadczyłem tego, jak wielki zakres treści, nęcących każdy gatunek literacki, zamyka w sobie reportaż — najbliższy towarzysz współczesności.

Gdyby ktoś porwał się na solidne opracowanie dziejów tego gatunku literackiego w nowej Polsce, zaznałby przedsmaku trudu historyka dziejów najnowszych w ogóle, tak blisko towarzyszył reportaż rodzącej się co dzień historii. Nie znam losów reportażu frontowego, który maszerował z żołnierzem naszego wojska w jego drodze na Tachód. Czytałem zaledwie parę korespondencji frontowych Lucjana Szenwalda, ale dobrze pamiętam z własnych doświadczeń czytelniczych, że reportaż był pierwszym krokiem literatury w dziele repolonizacji Ziem Odzyskanych, że artykuły Wionczka i Osmańczyka były pionierami nowego geograficznego kształtu Polski, na równi z idącymi na te ziemie ludźmi.

Nie byłem na wsi, gdy nad łomot wymierzanych z lasów, zza kułackiego węgła strzałów silniejszy był łoskot wbijanych w nadzielaną ziemię palików. Jeśli coś wiem o tym okresie, to w pierwszym rzędzie dzięki reportażowi, który poszedł na literackie „Żniwo Wielkiej Reformy". Trudno powiedzieć o dziełku Franciszka Gila, że stanowi „kamień milowy", ale powiem, że było dla naszej literatury tym czym dla świadomości chłopskiej biedoty ów palik, którego ugruntowanie było utwierdzeniem nowego stanu posiadania klasy robotniczej.

Wykazy ministerstw mogłyby w przybliżeniu określić, ile dziesiątków tysięcy ludzi otrzymało od państwa odznaczenia za przodownictwo pracy. Ludwik Flaszen mógłby może w przybliżeniu podać, ile nieudolnych papierowych pomników usiłowała im postawić nasza beletrystyka. Do dziś żyją „Ludzie, którym nie stawia się pomników" — cykl pisanych w 1946 roku reportaży Marii Jarochowskiej.

Reportaże, te najszerzej na rzeczywistość otwarte oczy literatury, zaobserwowały zasadnicze elementy nowego. W czasach, gdy realizm socjalistyczny nie mógł zejść z koturnów postulujących przemówień do pisarzy, pomogło mu mocne ramię reportażu. Dopiero po solidnej podorywce, jaką przejechały zachwaszczone zachodnio - europejskimi wpływami pola literatury „Traktory" Witolda Zalewskiego, realizm socjalistyczny zaczął w powieści wiejskiej wschodzić coraz pełniejszymi dziełami.

Czy reportaż — owo najżywsze literackie dziś każdej rewolucyjnej rzeczywistości nadal kroczy w pierwszym szeregu wielkiej literackiej ofensywy?

Na pozór tak. Reportaż w klasycznym znaczeniu tego słowa, to gatunek, przed którym stoją otworem wszystkie środki ekspresji literackiej prócz fikcji, ale jakże nie wspomnieć tu o książach Mariana Brandysa i Józefa Kuśmierka, w których pisarz komponuje ciąg artystyczny wydarzeń zgodny z rzeczywistą ich historią, wprowadzając z elementu fikcji drobne przesunięcia w chronologii, wymyślone nazwiska, jedną czy drugą sytuację. A wszak obie te książki należą do najciekawszych pozycyj wydawniczych. Na pozór więc — tak. Przynajmniej na odcinku wydarzeń książkowych, gdzie pojawia się pierwsza w naszej literaturze, opracowana przez Kazimierza Koźniewskiego, antologia współczesnego reportażu „Most", gdzie wzbogaca się o coraz nowe pozycje Biblioteka Przodowników Pracy, gdzie powstaje seria broszur o spółdzielniach produkcyjnych.

A czy reportaż, owo najżywsze literackie dziś każdej rewolucyjnej rzeczywistości, nadąża na odcinku czasopiśmiennictwa literackiego?

Na pozór — tak. Gdybyśmy przejrzeli roczniki „Kuźnicy" i „Odrodzenia" z jednej, i — powiedzmy — poznańskiego „Życia Literackiego" czy warszawskich „Nowin Literackich" z drugiej strony, i porównali je z rocznikami „Nowej Kultury" i krakowskiego „Życia Literackiego", spostrzeglibyśmy znaczny wzrost ilości publikowanych reportaży.

A na odcinku prasy codziennej? W każdym niemal numerze dziennika spotykamy reportaż. Bardzo rzadko, ale i to bywa, że znajdziemy pod nim podpis literacki. Na pozór więc i na tym odcinku — tak.

W dodatku przecież rosną nakłady pism i książek, których czytelnością w sensie społecznym staje się przez to coraz większa. Ostatnio na którejś z wielkich budów widziałem egzemplarz książki Brandysa, poplamiony i wytarty jak żołnierski szynel. Na pozór więc — ogromne zadanie wychowawcze, jakie spełniać ma reportaż, spełnia z coraz większym sukcesem.

Na pozór. W istocie reportaż nasz przeżywa w tej chwili pewien kryzys. W największym literacko i wydawniczo formacie reportażu książkowego widzę ów kryzys w przechodzeniu reportażu na pozycje beletrystyki. Oczywiście, powie ktoś: cóż to za różnica, czy w literaturze zostanie jakaś pozycja jako reportaż, czy np. opowieść? Różnica jest, i to — w zasięgu społecznego oddziaływania. Te same fakty podane w reportażu zachowującym autentyczne nazwiska i sytuacje i w zbeletryzowanej najdowolniej książce, by wywołać ten sam efekt u czytelnika, muszą zużyć inne quantum artystycznej ekspresji. Fakt „prawdziwości" opisanych ludzi i sytuacji uczula bowiem specjalnie czytelnika, ułatwia mu traktowanie ich jako wzorcowych i obowiązujących. Oczywiście utwór operujący fikcją może mieć tę samą czy wielekroć wyższą siłę oddziaływania, ale osiąga ją większym wkładem, czy to dramatyzmu fikcyjnej sytuacji, czy heroizmu lub obrazu załamań wymyślonego bohatera itp. Otóż w wypadku książek gatunkowego pogranicza nie jestem pewien, czy rezygnacja z autentyzmu podanych wydarzeń znajduje ekwiwalent w tych innych wymiarach.

Obok tego w wydawnictwach reportażowych, ujętych w ramy tych czy innych bibliotek, widać postępującą sztampę i spłycenie. Nie we wszystkim wolne są od tego i broszury pisane przez literatów Charakterystyczne jest, że zakrojona tak poważnie akcja wyjazdów pisarzy w teren przyniosła właściwie niewielkie pokłosie reportażowe.

Na takim tle łatwo będzie ocenić sytuację w czasopiśmiennictwie literackim. Honor literatury ratują tu niekiedy dziennikarze, czasem nowe rosnące kadry, zresztą z reguły spoza Kół Młodych grupujących wokół oddziałów Związku Literatów Polskich nowych adeptów sztuki pisania. Pisarze poświęcają reportażowi mało uwagi. O ile jeszcze na takich czy innych konferencjach, zwoływanych dla zmobilizowania udziału literatów w aktualnych akcjach, spotyka się ich kilkudziesięciu, to najlepiej znający „twarze literatury" bileter warszawskiego dworca nie naliczy ich więcej niż parę w okresie konkretnego wyjazdu, o który do nich apelowano.

Że jednak reportaż żyje, że pilny czytelnik coś z tego działu znajdzie w każdym niemal numerze tygodnika, to zasługa nie uporu zrozpaczonych redaktorów, lecz wymagań naszego czasu, który żąda swego odbicia w tej właśnie formie literackiej Przecież nawet „Tygodnik Powszechny" drukuje „reportaże" krajobrazu architektury, w których niekiedy ze zdziwieniem — niezbyt pewny, czy to nie złudzenie błądzącego ducha — spostrzega jakieś okruchy rzeczywistości bodaj w formie świeżego tynku na odnawianych zabytkach. I chociaż oczywiste, że reportaże choćby Bolesława Prusa z „krajobrazu cywilizacji", skierowane dziś do redakcji „Tygodnika", znalazłyby się zapewne w koszu jako reportaże „produkcyjne", ale przecież i w takim krzywym zwierciadle widać żywotność gatunku.

A prasa codzienna? Powtarzam: w każdym numerze pisma znajdziemy reportaż. Zdarzają się dobre. Można by wymienić kilku autorów, dających pewne gwarancje poziomu. Z ostatnich dni przypomnę chociażby cykl reportaży z Nowej Huty Ewy Wacowskiej, drukowanych w „Sztandarze Młodych". Wystarczy chyba wymienić Jurysia Małcurzyńskiego, Skulską, Wiernika... A jednak ogólnie rzecz biorąc można mówić o jakimś gatunkowym skarleniu tego rodzaju reportażu. Nie decyduje o nim narzucony przez gazetę niewielki rozmiar — decyduje szablon i ubóstwo problemowe, szablon rozwiązań formalnych. Gdyby po przeczytaniu przeciętnego gazetowego reportażu spytał nas ktoś o obiekt, z którego był ów reportaż robiony, prawdopodobnie na takim egzaminie obcielibyśmy się z miejsca.

Brak realiów, ogólnikowość, chaotyczność lub administracyjna nuda podanych informacyj — oto co charakteryzuje taki skarlały reportaż. Impresyjność, tandetna beletryzacja, trywialne w metodach pisarskich i w szablonowym doborze obiektu „zainteresowanie człowiekiem" (bohater, jeśli jest „pochodzenia robotniczo - chłopskiego", musi opowiadać życiorys, jak w ankiecie personalnej) — oto czym usiłuje się nadrobić zżerającą taki reportaż bezproblemowość.

Do tego dochodzi specyficzna kosmetyka redakcyjna. W numerach „Sztandaru Lubelskiego" szukam spraw znanej mi z własnych reporterskich objazdów wielkiej budowy. Czytam: „Przewodniczący kompanijnego Zarządu Koła ZMP, Jerzy Sumarowicz, spytał na tej naradzie chłopców: „co, jak będzie — przekroczymy wysoko normy? — Rzecz wiadoma — odpowiedziano chórem".

Do diabła z takim reportażem! Reportażysta, który napisze bezmyślnie słowo „entuzjazm", kosztuje nas masę entuzjazmu. Reportażysta, który musi „ubarwiać" rzeczywistość, bo nie jest w stanie dostrzec jej naturalnych kolorów, zubaża rzeczywistość. A przecież w obliczu gigantycznych przedsięwzięć naszej sześciolatki wszelka przesada i pusta emfaza wynika tylko z kompromitującej ignorancji. Przecież rzeczywistość, to co się u nas robi, dostarcza u nas dość materiału dla „najbardziej wymagającego" reportażysty. Trzeba tylko o tym wiedzieć i umieć to zobaczyć. Niestety, na odcinku reportażu mamy często do czynienia z utartą już metodą „życia ułatwionego". Wziąć słowo „entuzjazm", zmieszać ze słowem „klasa robotnicza", dać nazwisko przodownika, zalać „zapałem", utrzeć z „przełamanymi trudnościami", a na koniec olukrować syropem okolicznościowych frazesów — oto uznany przepis.

Monotonne, szaroróżowe obrazki, jakie w wyniku tego produkujemy jako wizerunki ogromnej budowy, nie pozwalają nawet przeczuć, ile potęgi mają w sobie te wspaniałe przemysłowe epopeje.

Niedawno idąc przez miasto dyskutowaliśmy z przyjacielem o reportażu. Kajałem się za ubóstwo strony problemowej mojej ostatniej pracy w tej dziedzinie.

— Wiesz, powiedziałem, w końcu wszyscy reportażyści przypominają mi trochę Lutra...

— Jak to? — zapytał.

— Znasz to słynne jego zdanie, wygłoszone w przekonaniu, że wiedza odwodzi od wiary: „Rozum, to największa gamratka diabelska". Otóż wydaje mi się, że zdanie to podziela wielu naszych aintelektualnych reportażystów.

Rzeczywistość uprawia sama swoistą propagandę poglądową. Wystarczy spojrzeć na rosnące giganty przemysłowe. Jedna z zasadniczych funkcyj reportażu to sprawić, by zmianom w naszym krajobrazie towarzyszyły zmiany w świadomości człowieka. W pierwszym szeregu ludzi odpowiedzialnych za ten najtrudniejszy z trudnych odcinek naszego budownictwa stoją pisarze (zbyt rzadko) i dziennikarze uprawiający reportaż. Ich zadanie to pokazać rzeczywistość w tym, co w niej typowe, w tym, co dając pełny obraz naszego dziś, już szkicuje zarys jego jutra. Dlatego też nie jest przypadkiem, że z reportażu wyrosły najlepsze nasze dzieła realizmu socjalistycznego.

Pisałem niedawno o reportażu międzywojennym, że „musiał on wręcz usmiercać fakty obserwowane przez obywatela w każdy dzień powszedni kapitalistycznych rządów w Polsce, że miał lokalizować je w odczuciu ludzi do niedostatków pewnego terenu, przeciwstawiając im inną mityczną „rzeczywistość" Gdyni czy COP-u". Nazwałem robotę uśmiercającego w opinii faktu burżuazyjnego reportażysty „mokrą robotą literatury". Z jaką dumą możemy tamtemu okresowi przeciwstawić naszą służbę optymistycznej choć trudnej prawdzie.

Nasz reportaż wymierza sprawiedliwość ludziom i wydarzeniom wobec opinii publicznej — potrzebna mu do tego prawda. Nasz reportaż utrwala i buduje świadomość człowieka — potrzebna mu umiejętność stosowania wiedzy o rządzących rzeczywistością ogólnych prawach do najdrobniejszych, najbardziej indywidualnych spraw i ludzi. Tylko na potężnym fundamencie prawdy budować możemy świadomość powszechną Jaką dumą powinna natchnąć nas świadomość, że wśród współczynników socjalistycznego budownictwa istnieje i ten: rosnąca rola prasy — reportażu w kształtowaniu świadomości socjalistycznej pracownika. Świadomość tego, że gdy za cztery lata będziemy podsumowywać wyniki Sześciolatki, powinniśmy moc powiedzieć: zrobiliśmy. Oto rola reportażu w szeregu życiowym. A w szeregu literackim? Kiedy nasi pisarze stanęli przy swoich warsztatach pisarskich i myślą, by tworzyć literaturę przydatną ludowi, spostrzegli całą nieprzydatność odziedziczonego warsztatu. Wielu z nich, nawet ci, których pracę natchnęła słuszna społecznie ideologia, pod naciskiem nałogów psychologistycznej czy naturalistycznej szkoły pisarskiej, gubiło możność dotarcia zarówno do nowej tematyki jak do nowego czytelnika. Rola reportażu w procesie rodzenia się w tych warunkach nowej literatury jest równie wielka jak — mimo wszystko — niedoceniona. Oceniamy poszczególne dzieła i nie rozumiemy logiki rodzajowej ich powstawania. Zalewski, Konwicki, Marian Brandys, Kuśmierek, Koźniewski, Osmańczyk — oto ciąg nazwisk, które związane są z reportażem. Okazał się on wpaniałą szkołą pisarską. Dowodzi tego — choćby świetny „Pamiętnik z Celulozy" Newerlego, który swą siłę wyrazu w ogromnej mierze zawdzięcza przeszło rocznemu studiowaniu terenu przez autora. Dość słabo w obliczu tych faktów wygląda natomiast jeszcze niestety praca Kół Młodych przy ZLP. Iluż młodych poszło w teren uczyć się rzeczywistości i literatury?

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Reportaż nie jest wstępną klasą, przez którą trzeba przejść w drodze ku prozie beletrystycznej. Nie można by wymagać, by ludzie siedzieli zawsze we wstępnej klasie. Reportaż jest w równym stopniu szkołą dla kogoś, kto uprawia powieść, jak odrębnym, otwierającym wspaniałe możliwości gatunkiem literackim Jest poza tym dla każdego uprawiającego każdy gatunek literacki pisarza niezastąpioną szkołą rzeczywistości Obserwujemy proces przechodzenia przez reportaż ku prozie beletrystycznej. Ale przecież w tym samym stopniu zasługuje na zarejestrowanie i proces odwrotny. Marietta Szaginian, nim została sławną na cały świat reportażystką, uprawiała prozę beletrystyczną. Sądzę, że w pewnym niewątpliwie pokutującym w środowiskach literackich i wśród krytyki niedocenianiu reportażu jest wiele jeszcze naleciałości burżuazyjnej estetyki.

Reportaż — sztuka oczu szeroko otwartych — ma największe ryzyko, że w gwałtownym zetknięciu pisarza z rzeczywistością zostanie na utworze ślad jakiegoś pośpiechu, takich czy innych niedociągnięć. Gatunek to zresztą trudny, ambitny i rzeczą krytyki jest ocenić jego niesłychanie ważną funkcję. Mało kto wie, że w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, obok przysłowiowych, stanowiących oparcie rewolucji Sankiulotów — dosłowne tłumaczenie brzmiałoby „Bezspodniowców" — istnieli i stanowiący oparcie prawicy młodzieńcy z burżuazji, zwani „culottes dorées" („Złotospodniowcy"). Czar i elegancja tych ludzi nie przyczyniły się do utwierdzenia ich roli w historii. Podobnie przydarzy się niewątpliwie nie jednej i nie dziesiątkom nawet spośród wypieszczonych wcześniejszy gabinetów powieści. Reportaż, rewolucyjny sankiulota literatury, ma już dziś swoje miejsce w jej najnowszej historii. Chodzi o to, by je utrzymał.

Roman Bratny

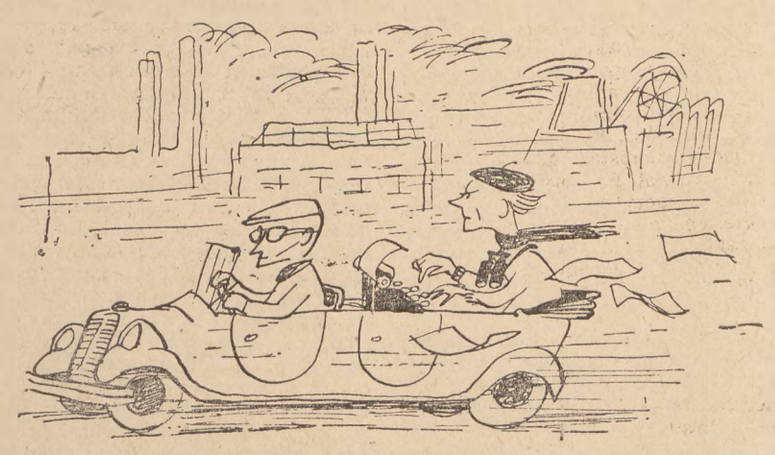

rys. Lengren

„Szybkościowiec"

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

O trudnej sztuce podróżowania

Wędrując dziś po kraju można jednym spojrzeniem ogarnąć Ratusz toruński czy krakowski Barbakan i z bezinteresownym uczuciem stwierdzić raz jeszcze, że obraz utrwalony kiedyś w pamięci zachował wiernie niezmienny kolor pejzażu i kształt. W ten sposób wraz z płynącymi latami nie trudno uzbierać bezładną kolekcję płaskich dwuwymiarowych obrazków i nazwać tego rodzaju bagaż „podróżnym doświadczeniem". Ale nie będzie to oczywiście żadne poznawcze doświadczenie, lecz właśnie tylko kolekcjonerstwo. Rzeczy widziane okiem estetyzującego czy snobistycznego „turysty" nie ukazują swych prawdziwych treści. A literatura, jaka kiedykolwiek z takich bezinteresownych „doświadczeń" powstawała — bywała równie płaska jak owe zapamiętane „obrazki", nie mówiąca właściwie o niczym, nieludzka.

Za architekturą odwiedzanego miasta, czy za wykrojem pszenicznych zagonów — za każdym napotykanym w podróży kształtem krajobrazu — kryje się jakaś historyczna, społeczna, polityczna dokumentacja, do której droga bezbłędna wiedzie przez jedną tylko furtkę: przez furtkę wielkiej stronniczej pasji, rewolucyjnej wiedzy o świecie, całkowitego zaangażowania po stronie tych sił społecznych, które kładą fundament nowego stylu. Nawet zabytki kultury, od tej strony widziane, ukażą swoją nową funkcję. I tylko z takiej postawy można odczytać jednoznaczny sens oglądanych kształtów. Dlaczego? Bo jest to — i bywała to zawsze — w świecie myśli starzejących się i myśli nowych — jedyna postawa poznawcza.

Podróż pisarza po naszym dzisiejszym kraju jest przedsięwzięciem trudnym. Nie ze względów komunikacyjnych. Ze względu na bardzo specyficzną sytuację obecnego okresu, w którym wszystko co stare w swej społecznej treści, wszystko co przejściowe i wszystko co rzeczywiście nowe—splata się w krajobraz zawiły, nierzadko myli pomieszaniem form nie dość bystre oko podróżnego, gmatwa przed oczyma codzienne sprawy ludzkie rozwijające się tu i ówdzie w tempie rażąco niejednakowym. Inna jest sytuacja na terenie fabryki i inna na terenie gospodarstwa rolnego — i właściwe rozumienie tej istniejącej jeszcze różnicy wymaga dobrej orientacji w materiale aktualnych społecznych wydarzeń. Ale nawet teren na pozór jednolity — miasto, kopalnia, czy huta — obfituje w nagromadzenie zjawisk, wśród których trzeba w sposób bardzo uważny rozróżnić owe stare formy życia, przejściowe i nowe, jeżeli podróż wśród tych zjawisk ma być podróżą rzeczywiście poznawczą.

Każdy nieprzemyślany krok i zbyt pobieżne czy zbyt wąskie spojrzenie otwiera jedną z dwóch niebezpiecznych dróg, z których obie równie daleko odwiodą podróżującego pisarza od poszukiwanych „realiów". Drogi te kuszą swoim łatwym torem, uwodzą pozorną efektownością.

Jedna gubi się wśród szczegółów i oderwanych kształtów, które często swą jaskrawością zakłócają właściwą proporcję i hierarchię spraw. Widzi się z pozoru nazbyt „zwyczajne" mury wznoszonej dzielnicy miejskiej, nie widząc jej nowej funkcji, która rewolucjonizuje miasto. Albo napotyka się — w fabryce włókienniczej czy na kopalni — niespodziewanie prymitywne jeszcze i ciężkie warunki pracy, które mogą tak pochłonąć swoim obrazem, że nie dostrzega się z dostateczną wyrazistością zupełnie odmiennych warunków, z nowymi myślami budowanych tuż obok, które zaczynają rysować już inny obraz, porywającą perspektywę pracy zmechanizowanej, lżejszej, wyzwalającej umysł, podnoszącej wartość i godność człowieka. Albo — obserwując z troską wszystkie możliwe niedociągnięcia i wręcz błędy organizacyjne w gospodarce rolnej — skupia się na nich całą uwagę tak, że przestaje się czuć ich przejściowy charakter, zatraca się nagle rozumienie zasadniczego kierunku spraw, który te usterki przełamie. Albo nie odróżnia się zasłyszanych narzekań, którymi oczywiście żywi przecież ludzie reagują na te czy tamte niedomagania — od istotnej postawy tych ludzi, budujących jednocześnie z coraz głębszym przekonaniem i wbrew żerującej na niedomaganiach propagandzie wroga — coraz lepszy los. Widząc błędy — traci się sprzed oczu jedyny sposób ich naprawienia. Albo poświęcając wyłącznie uwagę oderwanym kształtom — zapomina się o ich wszystko łączących treściach... Uwaga! W poszukiwaniu „realiów" współczesnego życia znaleźliśmy się na drodze, która obraz prawdziwy wypacza, wydobywa z niego tylko rażące lub powierzchowne szczegóły, szczegóły niczego nie uogólniające, przypadkowe, przemijające. Znaleźliśmy się na drodze „bezstronnego" naturalistycznego widzenia świata, które wprawdzie to i owo stwierdzi, ale najważniejsze pominie, nie odkryje i nie wytłumaczy niczego.

Ale oto — w przeciwnym kierunku, ale ku podobnym rezultatom — celuje następna, równie niebezpieczna i bezpłodna droga. Na tej drodze wybiera się „realia" według naszkicowanego planu, zamykając leniwe, niesumienne i niedbałe oczy na wszystko, co mogłoby uproszczone założenie obrazu skomplikować, pracę badawczą utrudnić. Zaczyna działać schemat. Przecież żadnych trudności nie ma! Wielkie budowle, miasta, kombinaty przemysłowe, drogi wodne i spółdzielnie rolnicze rosną sobie na drożdżach, a współzawodnictwo pracy to miła gra towarzyska, w której robotnik bierze udział bez żadnych oczywiście poświęceń osobistych, szczerząc zęby w plakatowym uśmiechu. Podróżowanie po kraju tą drogą nie jest również pracą poznawczą, a wszystko co może dziś przenieść w zysku pisarskim — będzie tylko nieprzekonywającą, fałszywą w swej barwie, pseudo - reklamową laurką socjalizmu.

Droga podróżna godna pisarza i jego poważnych celów pisarskich — droga, która odkrywając prawdziwą, głęboką i dramatyczną treść rzeczy widzianych, pozwoli kreślić obrazy trafnie wnioskujące i uogólniające— nie jest drogą tak łatwą, jak tamte. Nie umiem i nie zamierzam formułować recept. Ale przekonałem się już w okresie mych pierwszych niedoświadczonych kroków wśród hal fabrycznych, kopalń, hut, stoczni, czy nowych osiedli — jak niesłychanie ważną sprawą w podróży jest ciągła i nie leniwa konfrontacja tego co się widzi z ideą, która to wszystko przekształca i tworzy. Tylko ta nieustanna konfrontacja — przy rzetelnym i śmiałym wglądaniu we wszystkie trudności, we wszystkie gorsze i lepsze cechy napotykanych spraw — ustawia proporcje realistyczne, daje możność uchwycenia okiem najistotniejszych rozwojowych momentów współczesności, dokładnego zidentyfikowania tego co stare, tego co przejściowe i tego co naprawdę nowe w postawie ludzi, w stosunkach ludzkich i w krajobrazie.

I wtedy uda się zawsze odnaleźć to, co notatnik pisarza powinien przede wszystkim — jak mi się wydaje — przywozić dzisiaj z podróży po kraju: trafną w swym uogólnieniu i jasno uargumentowaną charakterystykę stylu tych rzeczy nowych, które powstają i rosną. Ta uargumentowana charakterystyka stylu — charakterystyka nowych treści i form życia, kształtujących się wraz z budownictwem socjalistycznym — jeżeli jest prawdziwym, ukazującym prawdziwe proporcje dokumentem czasu, to jednocześnie staje się narzędziem walki i agitacji. Jeżeli jest dokumentem fałszywym— sporządzonym z naturalistyczną krótkowzrocznością, albo z seryjną „wprawą" pisania pod przyjęty model — podróż pisarza „w teren" na nic się nie zdała.

Właściwe zobaczenie tego wszystkiego, co dzieje się dziś wzdłuż ulicy Marszałkowskiej w Warszawie, lub choćby wokół nowego pieca hutniczego w Chorzowie, wymaga — jak sądzę — nie tyle wiedzy technicznej, ile wiedzy przede wszystkim politycznej i humanistycznej, wiedzy o ideach ludzkich. Dlatego nie powinna onieśmielać pisarza jego ograniczona znajomość zagadnień czysto technicznych. Nie w nich sedno rzeczy, gdy chodzi o biografię tworzącego się stylu. Techniczne rozwiązania i plany — chociaż mówią sobą o idei, która je wyłoniła, w sposób niekiedy uderzająco wyraźny — nie powiedzą nigdy wszystkiego. Więcej powiedzą ludzie — nowym stylem swej pracy, nowym stosunkiem do niej, całą swą nową sytuacją na budowie i poza budową, miarą ambicji i inwencji w traktowaniu wszelkich trudności, świadomością otwartej przed sobą drogi swego losu.

Te sprawy trzeba rzeczywiście przeniknąć bystrym spojrzeniem, aby rozumieć nowe rosnące kształty krajobrazu. I trzeba myśleć o nich nawet wtedy, gdy się ocenia i charakteryzuje w wędrówkach po kraju chociażby tylko gotowe już rezultaty naszego budownictwa. Gdyż nieograniczone możliwości zamknięte w ręce ludzkiej wskazują wyobraźni dalsze i rozleglejsze perspektywy, niż jej oderwany ślad w kamieniu czy w stali. Poznając tę rękę — najtrafniej poznać można i przechować w pamięci to wszystko, co jest w tej chwili wokół nas w ciągłym ruchu, w nieustannej budowie, w nieprzerwanym przekształcającym potoku wydarzeń.

Juliusz Żuławski

Podejmujemy zobowiązania terenowe i...

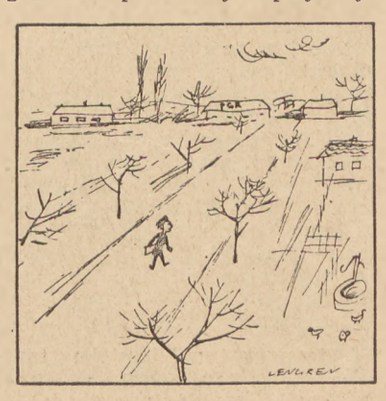

rys. Lengren

...wykonujemy zobowiązania terenowe

HENRYK BEREZA

Zapowiedzi oczekiwanego urodzaju

O Związku Radzieckim pisze się u nas z całą pewnością dużo, choć nie trudno zauważyć, jak uboga i fragmentaryczna jest nasza wiedza o życiu w Związku Radzieckim, jak przy lada okazji łapiemy się na tym, że nie wiemy, jak dana dziedzina działalności ludzkiej wygląda w kraju socjalizmu, jak w danej sytuacji myśli i reaguje człowiek radziecki, w jakich formach urzeczywistniają się idee socjalizmu. Naszą wiedzę o życiu w Związku Radzieckim zawdzięczamy w głównej mierze radzieckiej sztuce, literaturze i filmowi, a w minimalnym jedynie stopniu naszej prasie, naszym publikacjom. Znajdziemy w naszej prasie dziesiątki zdawkowych, głęboko schematycznych, podawanych z dziesiątych rąk publikacji o Stalinowskim Planie Przeobrażenia Przyrody, o Armii Radzieckiej, o Miczurinie i radzieckiej biologii, ale o wiele trudniej znaleźć publikację, która by była wyrazem indywidualnego, rzetelnego przemyślenia problematyki Stalinowskiego Planu, która by w określonym aspekcie ukazywała historyczną rolę Radzieckiej Armii, przynosiła nowe fakty z przebogatej historii tej armii, w której znaleźlibyśmy coś o konkretnym życiu w kraju Rad, o pracy w radzieckich instytutach badawczych, o organizacji pracy takich instytutów, o życiu i pracy radzieckich uczonych. Czy na podstawie wiadomości z naszej prasy, na podstawie przecież licznych publikacji moglibyśmy sobie odtworzyć konkretne stosunki na radzieckiej wyższej uczelni, czy nasza prasa literacka spopularyzowała styl życia radzieckiego pisarza, pracę radzieckich organizacji literatów — a przecież pytania takie można by mnożyć w nieskończoność.

Nieliczne publikacje naszych pisarzy, którzy przecież powinni żywo interesować się sprawami ludzi, którzy zrealizowali socjalizm i kraju, w którym go zrealizowano, którzy przecież przy rozmaitych okazjach odwiedzają Związek Radziecki, którzy nierzadko znają Związek Radziecki z lat wojny, należą do takich osobliwości, że trudno do nich stosować normalne kryteria oceny. A czyż istnieje źródło atrakcyjniejszych zainteresowań pisarskich, jak problematyka życia w ustroju socjalistycznym, który będzie ustrojem naszego najbliższego jutra, czyż można ukazywać perspektywy naszej przyszłości, co przecież jest czołowym zadaniem pisarzy realizmu socjalistycznego, bez ustawicznego studiowania rzeczywistości radzieckiej? Sądząc po rezultatach, pisarze nasi w minimalnym jeszcze stopniu studiują życie wielkiego kraju Rad, a na nich przede wszystkim spoczywa obowiązek pogłębienia naszej wiedzy o tym życiu.

Szczególne zainteresowania wzbudzają więc ostatnie książki na temat Związku Radzieckiego. Mam tu na myśli zwłaszcza książki Andrzejewskiego „O człowieku radzieckim", Jarochowskiej „Chleb i sól" i drukowany w „Nowej Kulturze" w ubiegłym roku w numerach od 12 do 16 obszerny reportaż publicystyczny Witolda Zalewskiego „Urodzaj" (ostatnio wydany w broszurze) *). O ile trzy wymienione pozycje powiększają naszą wiedzę o Związku Radzieckim? O ile są przejawem rzetelnej roboty pisarskiej? O ile ich forma jest właściwie użytym narzędziem walki ideologicznej?

„Urodzaj" w wersji drukowanej w „Nowej Kulturze" i „Chleb i sól" wiąże jednakowa tematyka i niemal jednakowa forma literacka, którą proponowałbym nazwać reportażem publicystycznym ze względu na nierozerwalną łączność elementów reportażowych i publicystycznych w tym rodzaju prozy. Obydwa utwory są literackimi sprawozdaniami z wycieczek chłopów polskich do kołchoźników radzieckich. Nie potrzeba chyba dowodzić społecznej doniosłości utrwalenia w formie literackiej doświadczeń i obserwacji tych nielicznych z konieczności chłopów polskich, którym dane było na własne oczy poznać rzeczywistość radzieckiej wsi. Przecież nie leżało w granicach możliwości tych kilkuset wybranych, by swymi spostrzeżeniami podzielić się z ogółem chłopów polskich, by opowiedzieć im, o ile rzeczywistość radziecka przeszła ich oczekiwania, czego się w Związku Radzieckim nauczyli, jakie uprzedzenia do socjalistycznych form gospodarki rolnej przezwyciężyli dzięki naocznej obserwacji życia w radzieckich kołchozach, sowchozach i ośrodkach maszynowych. Chłopi delegaci zrobili to w swoich gromadach. Obowiązkiem pisarzy było użyć całego kunsztu słowa, by doświadczenia ich wyrazić jak najpełniej, naświetlić najwnikliwiej i w rezultacie stworzyć książki, które by służyły walce o socjalizację wsi polskiej.

W „Urodzaju" Zalewski dokonał daleko idącej selekcji materiałów. Z gromady chłopów delegatów wybrał reprezentacyjną postać Więsyka, członka spółdzielni produkcyjnej na Ziemiach Odzyskanych z typową nędzarską przeszłością chłopską i nierozwiniętą jeszcze w pełni świadomością klasową. Poprzez jego przeżycia pokazał, jak zetknięcie się z życiem na wsi socjalistycznej utwierdziło Więsyka w przekonaniu, że droga, na którą wkroczył, jest jedynie słuszną, bo prowadzącą do szczęśliwego życia droga, że jedynie nowoczesna kolektywna gospodarka rolna otworzy nowe perspektywy rozwoju przed wsią polską. Zalewskiemu chodziło najwyraźniej o rzeczową dokumentację słuszności drogi, na jaką wkroczyła wieś polska. Z bogactwa materiałów, dostarczonych przez obserwację życia kołchoźników radzieckich, wybrał Zalewski zjawiska najbardziej rzucające się w oczy, posiadające największą siłę przekonywania.

Pałac „pana i właściciela 210 tysięcy dusz" Szeremetiewa zamieniony na muzeum pobudza do efektownych przeciwstawień kultury dla wybranych i kultury socjalistycznej, muzealne sochy, którymi posługiwało się w carskiej Rosji 70 proc. gospodarstw, nabierają szczególnej wymowy, gdy się o nich pomyśli, patrząc na dziesiątki coraz to nowocześniejszych kombajnów w siewierskiej MTS, dążenia ludzi radzieckich do wyzwolenia się od zależności od sił przyrody nabierają nowych perspektyw, gdy się zajrzy do notatek polskiej chłopki, którą absorbuje zagadnienie, czy ludziom radzieckim wol-

Witold Zalewski

no się modlić i która z satysfakcją odnotowuje, iż w ojczyźnie socjalizmu panuje zupełna wolność religii. Wyborowi najważniejszych zagadnień i przeciwstawianiu starego temu, co się w socjalizmie rodzi, zawdzięcza Zalewski szerokość perspektyw porównawczych, plastykę i sugestywność obrazów nowej rzeczywistości socjalistycznej, demonstrowanych zresztą nazbyt oszczędnie.

W wydaniu książkowym „Urodzaj" uległ zasadniczym przeróbkom, zmianie uległa cała koncepcja utworu, który Zalewski rozbudował w kierunku beletryzacji materiału publicystycznego. Było to niewątpliwie następstwem dosyć krytycznej oceny pomysłu pisarskiego, jakim był „Urodzaj" w wersji drukowanej w „Nowej Kulturze", zwłaszcza że po autorze „Traktorów" spodziewano się bardzo wiele.

Czy beletryzacja wyszła „Urodzajowi" na dobre? Nie łatwo rozstrzygnąć! Problem reportażu zbeletryzowanego jest problemem trudnym, zasad zawsze obowiązujących ustalić się nie da. W „Początku opowieści" beletryzacja niewątpliwie umożliwiła wszechstronniejsze uchwycenie procesów społecznych wielkiemu reportażowi, nie przyczyniając się do pomniejszenia dokumentarnych wartości książki, która jest przecież historią powstawania pierwszego w Polsce miasta socjalizmu.

W drugiej wersji „Urodzaju" materiały reportażowe (autentyczne fakty z wycieczki chłopów do ZSRR) zostały zużyte do motywacji procesu dojrzewania ideologicznego Ochala (Nazwisko Więsyk zmienił Zalewski na Ochal), który z autentycznego delegata, z podanym przez Zalewskiego życiorysem w pierwszej wersji, stał się skonstruowanym po literacku bohaterem w wersji drugiej.

Moim zdaniem zabieg Zalewskiego zawiódł. Z dobrego reportażu nie powstało dobre opowiadanie. Więsyk z reportażu, którego wycieczka do ZSRR przekonała o słuszności obranej drogi, był trafnie podpatrzonym typem rzeczywistego delegata, Ochal jest słabą konstrukcją bohatera.

Uatrakcyjnienie narracji środkami właściwymi opowiadaniu dokonało się kosztem zatraty najcenniejszej właściwości reportażu — autentyzmu. Nawet najdłuższe cytaty z notatek chłopów delegatów w opowiadaniu noszą na sobie piętno fikcji literackiej. O formie artystycznej winna decydować treść.

Jarochowska, utrzymując formę reportażu publicystycznego, zastosowała biegunowo różne metody pisarskie. Zalewski w pierwszej, reportażowej wersji porządkował, selekcjonował, przeciwstawiał, Jarochowska starała się jak najmniej organizować fakty, wystrzegała się wszelkiej konstrukcji literackiej, książce swojej nadała formę dokumentu, w którym fakty zapisane są z drobiazgową dokładnością w chronologicznym porządku na pozór suchym, urzędowym stylem, który można by po prostu nazwać nazbyt sprawozdawczym, gdyby autorka nie posługiwała się nim dla podkreślenia dokumentarności książki, w której fakty mają mówić za siebie, czytelnik ma sam wyciągać wnioski, podsuwane czasem dyskretnie w tytułach poszczególnych rozdziałów („Maszyny dają ziemi urodzaj", „Według pracy zapłata")

Począwszy od sylwetek chłopów polskich w pierwszym rozdziale książki, kreślonych z ankietową niemal zwięzłością („Jan Sendek ma lat dwadzieścia dziewięć i pochodzi spod Jędrzejowa. Ojciec jego posiadał dwa i pół hektara ziemi, nie ziemi — samych piasków. W roku 1940 wywieziono Jana do Niemiec na przymusowe roboty. Pracował u bauera ponad siły, musiał karmić, doić i oporządzać osiemdziesiąt krów"), poprzez opis podróży, w którym Jarochowska przytacza prowadzone przez chłopów dyskusje, poprzez sumiennie rejestrowane fakty, dotyczące poszczególnych kołchozów, sowchozów, ośrodków maszynowych i instytutów badawczych aż do skrupulatnego podsumowania, w którym Jarochowska wylicza korzyści, jakie poszczególny delegat odniósł z wycieczki do ZSRR. Książka zadziwia ogromem zebranego materiału, bogactwem podpatrzonych szczegółów, konkretnością i rzeczowością obserwacji, o których autor niewiele mówi od siebie, ponieważ fakty, liczby, wykresy, dosłownie powtórzone rozmowy świadczą za siebie, są aż nadto wymowne, nie wymagają dodatkowych wyjaśnień.

Sprawozdawczość, dokumentarność, autentyzm książki Jarochowskiej są wyrazem świadomej roboty pisarskiej. Jarochowska narzuciła artystyczne wędzidło swojej prozie, jej głęboką choć ukrytą emocjonalność, ukazując dyskretnie w wewnętrznych spięciach zdań („ojciec jego posiadał dwa i pół ha ziemi, nie ziemi — samych piasków" str. 7), w stosowaniu charakterystycznych powtórzeń, nadających poetycką niemal rytmikę prozie. („I żeby, gdy zboże stoi jeszcze na pniu, nikt się nie pomylił, granicę między polami wyznacza kosa lub sierp. Obkasza się nimi działki należące do różnych ogniw. I żeby przy żniwach nikt się nie pomylił, granicę między warstwami w stercie wyznacza się słomą albo żerdziami. Oddziela się nimi zbiory różnych ogniw — układanych w jeden stóg. I żeby przy młocce nikt się nie pomylił, oddzielnie młóci się zbiory różnych ogniw" str. 146), wreszcie w podniosłym, poetyckim obrazowaniu dawkowanym oszczędnie przy rozważaniach ogólnych („Na polach radzieckiej Ukrainy szeleszczą kłosy pszenicy, słoneczniki zadzierają głowy ku niebu, a o zmierzchu, gdy cichnie warkot motorów, słychać, jak porykuje bydło. Kraj posuchy, głodu i rozpaczy stał się krajem zwykłej ludzkiej radości. Ujarzmiona jest ziemia i ludzie przeobrażeni także nie dziwią się już swemu szczęściu." str. 35). Książka Jarochowskiej w prostej, artystycznej formie daje wiele solidnej wiedzy o życiu radzieckiej wsi.

Z tym wszystkim powstaje zagadnienie, czy Jarochowska, autorka książki o wiele ambitniejszej pod względem informacyjnym od „Urodzaju", wybrała słuszniejszą od Zalewskiego drogę, czy książka nie jest po prostu za trudna dla niewyrobionego czytelnika, dla którego zamierzony zresztą przez autorkę brak wyrazistszego problemowego uporządkowania materiału może się wydawać brakiem uporządkowania w ogóle. Piękna, nowa, oparta na pracowicie zebranym materiale książka Jarochowskiej o radzieckich kołchoźnikach i socjalistycznym rolnictwie winna przecież „zbłądzić pod strzechy".

„O człowieku radzieckim" — druga z kolei po tomiku „Aby pokój zwyciężył" książka publicystyczna Andrzejewskiego — to przykład prozy publicystycznej bardzo wysokiej klasy. Andrzejewski może służyć za wzór pisarza dopracowującego się coraz głębszego, socjalistycznego rozumienia sztuki, wyrosłej z potrzeb życia, związanej jak najściślej z życiem. Twórczość Andrzejewskiego jest wyrazem w całej pełni świadomej postawy pisarskiej.

„Mogę z całą pewnością, na jaką stać człowieka, powiedzieć — pisze Andrzejewski — w art. „Pochwała skrobania kartofli" (N. Kultura, nr 6), że dzisiaj kocham sztukę głębiej i mądrzej niż umiałem ją kochać wczoraj i przedwczoraj. I nigdy, nawet w bezkrytycznych dniach młodości, nie danym mi było zaznać takiej wierności wobec sztuki i wobec piękna, jak właśnie teraz, kiedy na miarę swojej wiedzy i talentu odczuwam potrzebę, aby właśnie jako pisarz zabierać głos w każdej sprawie, która porusza mój umysł i serce, wzbudza miłość lub gniew, radość czy zgryzotę".

I dlatego Andrzejewskiego nie potrzeba przekonywać o przydatności takich form artystycznych jak felieton, artykuł, essay; wszak w „Głosie Szczecińskim" ukazują się systematycznie jego prace tego typu, wszak do druku przygotowuje Andrzejewski już trzecią książkę publicystyczną. Potrzeba różnorodnych narzędzi walki ideologicznej podsunęła świetnemu prozaikowi myśl wskrzeszenia zamarłego już od czasów heroicznego okresu historii mieszczaństwa gatunku literackiego, powiastki filozoficznej w „Zadufkach", które niezależnie od sprzecznych, choć na razie mówionych, ocen wzbudziły przecież ogólne zainteresowanie.

Andrzejewski publicystykę traktuje jako sztukę, której się musi uczyć nawet wybitny prozaik, w której trudno mówić rzeczy nowe bez istotnego wysiłku twórczego, która wymaga takich samych ambicji artystycznych jak tak zwane wielkie formy. Zalewskiemu i Jarochowskiej łatwiej było uniknąć zdawkowości i sztampy, bo w książkach ich przeważały elementy reportażowe, sam materiał zaczerpnięty z konkretnych obserwacji był dostatecznie nowy, by ułatwić pisarzom unikanie komunałów. W książce „O człowieku radzieckim" uprawia Andrzejewski publicystykę czystą, fakty reportażowe służą mu co najwyżej za punkt wyjścia do rozważań ogólnych o „radzieckim człowieku", a w tych jakże łatwo powtarzać stare prawdy, obiegowe sądy.

Książkę Andrzejewskiego można uznać za wyzwanie, rzucone miłośnikom wytartych szlaków, tak jak wyzwanie takie znajdziemy w cytowanym już artykule w „Nowej Kulturze". „A czyż możemy mieć zaufanie do pisarza, którzy bierze pióro do ręki nie po to, żeby wzbogacać własną świadomość i rzemiosło, lecz w tym tylko celu, aby odcinać kupony od swojej dotychczasowej wiedzy i ciągnąć za uszy rzemiosło już osiągnięte? Cóż za nędza zostać naśladowcą i epigonem samego siebie!

Dla uargumentowania znanych powszechnie prawd, że ustrój socjalistyczny znosi niesprawiedliwość społeczna, stwarza warunki dla rozkwitu kultury, wyzwala jednostkę, dając jej możliwości wszechstronnego rozwoju, uniezależnia człowieka od przyrody, wlewa nową treść w pojęcia moralności, miłości człowieka i patriotyzmu, zużytkowuje Andrzejewski całą swoją rozległą wiedzę o życiu, imponujące oczytanie, błyskotliwy talent pisarski i prawdziwą pasję, dzięki której książka tchnie nienawiścią do wszelkiego wstecznictwa, pogardą dla głupoty, drwiną z naiwności, a przede wszystkim wielką miłością do tego wszystkiego, co się zrodziło w ojczyźnie radzieckiej, co ponad wszelką wątpliwość świadczy, że po ponurej, niesamowitej w swym okrucieństwie no-

Foto Sławny

Maria Jarochowska

tak tragiczną świadomością błąkał cy kapitalizmu, w której przecież z się autor „Ładu serca", narodził się wspaniały dzień socjalizmu.

Punktem wyjścia rozważań Andrzejewskiego nad problematyką życia radzieckiego, nad zagadnieniem kultury i moralności socjalistycznej, nad charakterem pracy i wolnością

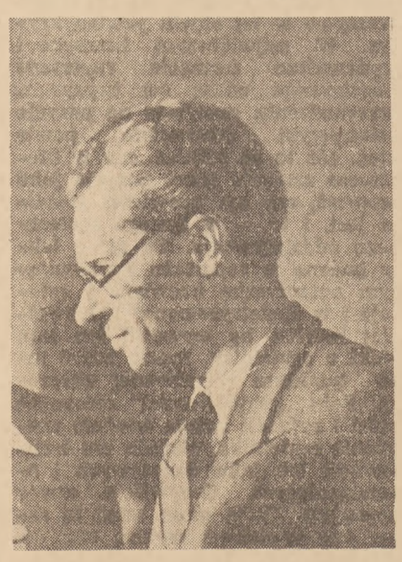

Jerzy Andrzejewski

jednostki w ustroju socjalistycznym, są obserwacje konkretnych faktów z życia radzieckiego, z którymi dane było Andrzejewskiemu zetknąć się w czasie dwutygodniowego zaledwie pobytu w Związku Radzieckim. Pobyt w Muzeum Lenina w Moskwie daje Andrzejewskiemu asumpt do refleksji nad rolą jednostki w społeczeństwie, widok ubiorów ludzi radzieckich nastręcza okazję do zestawień powszechnego dostatku widocznego u ludzi radzieckich z przepychem nielicznych wybranych i skrajną nędzą ogółu w Nowym Jorku czy Londynie, obejrzenie leningradzkiego Pałacu Pioniera pozwala uświadomić sobie, czym różni się młodość zrodzonych w socjalizmie od młodości tych, którzy jak Pawka Korczagin o socjalizm musieli walczyć, lub jak kolporterzy Humanité i Unity o socjalizm walczą.

Książka Andrzejewskiego wyrosła z potrzeb walki i dlatego rozważania i refleksje autora nie są przypadkowe co do kierunku, nie mają nic wspólnego z beznamiętnym dumaniem. O toku wywodów decyduje najczęściej konkretna potrzeba polemiki z wrogą propagandą, walki z chwiejnością i wątpliwościami niezdecydowanych, z błędami, nieświadomością, znajdujących się na właściwej drodze. Argumenty czerpie Andrzejewski z bezpośredniej obserwacji życia, z pism klasyków marksizmu, z danych statystycznych, z beletrystyki radzieckiej i powszechnej, a także z ksiąg ojców kościoła, z encyklik papieskich i przemówień mężów stanu. Argumenty te zaskakują trafnością i błyskotliwością skojarzeń, celnością sformułowań.

Wizyta w domu kultury jednej z dzielnic Leningradu, gdzie robotnicy radzieccy mogą korzystać z wszelkich dóbr kulturalnych, nasuwa Andrzejewskiemu porównania z sytuacją warstw w ustrojach klasowych. Warstwom tym zapewniano jedynie w dziedzinie religii dostęp do doświadczeń klas panujących. „Wprawdzie posiadacz mógł swego chłopa bezkarnie zabić, okaleczyć, wtrącić do więzienia, lecz w kościele chłop, pozbawiony poza nim wszelkich praw, mógł umocnić swoją wiarę, że jeśli zgodnie z nauką religii będzie posłusznie wypełniać swoje obowiązki niewolnika, bramy nieba otworzą się przed nim tak samo jak przed księciem. Rzecz natomiast charakterystyczna, że gdziekolwiek i kiedykolwiek powstawał ruch religijny biorący w obronę klasy uciskane, posiadacze natychmiast go niszczyli mieczem i ogniem" (str. 65). Następujący po tym wywód, poparty cytatami z „Państwa Bożego" świętego Augustyna, z listów św. Jana Chryzostoma, z pism Balzaka, z „Mein Kampfu" Hitlera, z amerykańskich encyklopedii, ukazuje cynizm zaprzedanych klasom panującym filozofów, głoszących, iż „niewolnictwo zostało ustanowione przez Boga jako kara za grzechy", programowość roboty polityków tych samych klas, którzy tak jak Hitler dowodzą, iż „państwo ludowe będzie musiało sprowadzić powszechne nauczanie do skróconej, podstawowe zagadnienia ujmującej formy", bo klasom, którym tacy filozofowie i tacy politycy służą, zależy na tym, aby w społeczeństwach było jak najwięcej bydła roboczego, dającego się na wszelki sposób eksploatować.

Andrzejewski dowiódł, jak twórcza, jak odpowiedzialna, jakiej wszechstronnej wiedzy wymagająca może być publicystyka, w którą autor wkłada rozum i serce, talent, i ambitny, rzetelny wysiłek. Trzeba by cytować całe strony, analizować wiele problemów, by wyczerpać zawartość tej świetnej książki, której myśl przewodnią zamknął autor na ostatniej stronie cytatem z Marksa: „Być radykalnym, to znaczy ujmować zagadnienia od ich korzeni. Korzeniem dla człowieka jest sam człowiek" i komentarzem własnym: „Socjalizm uczynił to. Sięgnął do człowieka i odzyskał człowieka, ponieważ dzięki niemu człowiek odzyskał sens istnienia."

Trzy omówione książki o Związku Radzieckim stanowią dobry początek urodzaju utworów literackich poświęconych tej niezwykle ważnej, oczekiwanej i bogatej tematyce.

Henryk Bereza

*) Jerzy Andrzejewski — O człowieku radzieckim; Książka i Wiedza, 1951, str. 97. Red.: A. Jakimowicz.

Maria Jarochowska — Chleb i sól; Książka i Wiedza, 1951.

Witold Zalewski — Urodzaj; Czytelnik, 1951, str. 81. Red.: H. Wilczkowa.

JERZY PIORKOWSKI

Reportaż komunisty

Książkę tę czytałem już dość dawno — prawie dwa lata temu. Mimo to kilkakrotnie powracałem do niej myślą, sięgałem po jej mocno zużyty ciągłym szperaniem tom. Mało jest książek, do których tak właśnie powracam.

Myślę o książce Juliusza Fuczika pod tytułem „W kraju, gdzie jutro jest już dniem wczorajszym". Jest to wielki reportaż literacki z podróży po Związku Radzieckim, odbytej w latach trzydziestych. Zasługuje na baczną uwagę nie tylko dlatego, iż obrazy nakreślone na jej kartach — trud i radość życia codziennej walki i pracy — są dzisiaj szczególnie nam bliskie. Książka Fuczika nasuwa szereg myśli ogólniejszej natury — jako jedna z najciekawszych pozycji reportażu literackiego. U nas, niestety, często jeszcze jesteśmy świadkami złego ustosunkowania się — i to zarówno ze strony pisarzy, jak i krytyków — do tej dziedziny twórczości literackiej.

Nikt tu nie wsadza swego krytycznego nosa, nikt nie dodaje otuchy pojedynczym ciekawym piórom. W takiej więc sytuacji, wbrew hucznym a gromkim nawoływaniom o reportaż, ten nasz literacki meldunek z pola walki o socjalizm jest wyblakły i schematyczny, podobny raczej do meldunku z wojny pozycyjnej — w okresie ciszy frontowej.

Dzisiaj książka Fuczika winna być więc dla nas szczególnie aktualna. Fuczik opisuje lata jakże podobne w swoim obrazie do naszych obecnych. Był to również twardy, najeżony nie byle jakimi trudnościami czas, kiedy w twardej, zaciekłej walce i pracy Związek Radziecki budował podstawy socjalizmu.

Książka Fuczika — to właśnie krwisty, dramatyczny meldunek z owego pola walki. Fuczik swój reportaż opiera na osobistych, bezpośrednich spostrzeżeniach i uwagach. Ale są to spostrzeżenia i uwagi pisarza-komunisty, który potrafi realistycznie patrzeć na życie i świat. Z nurtu przepływających wydarzeń wyławiać rzeczy istotne, prawdziwe. Fuczik jest bezlitosny wobec przypadku, choćby posiadał on piękną, nęcącą oprawę. Jakże biegunowo przeciwna jest jego postawa w stosunku do niektórych naszych pisarzy, dla których wielka budowla, wielki fakt jest nieraz pretekstem do własnych cudacznych konstrukcji formalnych!

Czytałem niedawno jeden taki reportaż, w którym autor na dwóch bitych kolumnach druku poszukiwał na budowli sprawców sabotażu, których w końcu... nie było. Nic dziwnego, iż wówczas ginie i blednie obraz i rozmach samej budowli, jej nowych ludzi, że ów oddech nowego życia jest bardzo dychawiczny, przyduszony sensacyjnymi przygodami domorosłego detektywa.

Dlatego też warto do książki Fuczika zajrzeć — i dla nauki. Fuczik dobrze wie i rozumie istotę reportażu, tajemnicę jego techniki.

Reportaż bowiem — to nie impresja literacka, ani też źle skomponowane opowiadanie, a tak dziwacznie nasi krytycy potrafią jeszcze te utwory kwalifikować. Sądzę, iż reportaż — to pogranicze wielkiej publicystyki i epiki. Te dwa elementy przenikają się nawzajem. Są nierozerwalnie ze sobą związane. Reportażysta musi posiadać gruntowne przygotowanie, gruntowną dokumentację swej tematyki, musi umieć celnie i żywo dobierać argumenty, być rzeczowym — jak rasowy publicysta. Ale jednocześnie ma się odznaczać wrażliwością pisarskiego spojrzenia, jego umiejętnością kojarzenia obrazowego rozumienia głębi uczuć i wzruszeń ludzkich. Tę właśnie trudną sztukę posiadł w wysokim stopniu Fuczik. Jest on tutaj śmiały i nowatorski. Jakże inaczej wygląda każda zachłannie wznosząca się krzywa wzrostu produkcji w jego opisie, jak plastycznie komentuje on Lenina i Stalina w pełnych dramatycznej siły obrazach.

A przy tym wszystkim Fuczik jest przecież pisarzem o wielkiej prostocie, lapidarności i zwięzłości stylu. Reportażysta to niejednokrotnie i domorosły historyk. Cóż warta byłaby „historia stalingradzkiego traktora", historia Stalingradu, gdyby nie była rzucona na Carycyńskie tło rewolucji?

Czym jest więc właściwie ten pisarz, któremu stawiamy te tak poważne wymagania? Reportażysta — to zwiadowca literatury realizmu socjalistycznego. On to bowiem pierwszy zazwyczaj szpera po terenach pisarsko nieodkrytych, najeżonych drutami kolczastymi przeszkód dotąd powszechnie nieznanych, minami, na których boleśnie może oberwać niejeden zbyt pewny siebie nawet dużej miary talent. Do pracy tej nie można zabierać ze sobą w pisarskim tornistrze ładunku wyrozumowanej flegmy, spokojnego mentorstwa, pseudo-obiektywizmu. Potrzeba tutaj, jak nigdzie bodaj, gorącego, serdecznego pióra pisarza czującego swoją wielką współodpowiedzialność za to wszystko, co się u nas dzieje. Reportaż literacki — to nie chłodny, miarowo spływający, jak woda z kranu, strumień słów. To burzliwy, pełen pasji i życia prąd, żłobiący sobie niejednokrotnie nowe koryto wśród odwiecznych skał naszej literackiej geografii. Książka „W kraju, gdzie jutro jest już dniem wczorajszym" będzie tutaj pięknym wzorem, pouczającym przykładem. Fuczik zaś, to nie tylko piękna postać pisarza-humanisty, idącego nieulękle na śmierć, ale to jednocześnie — i przede wszystkim — wzór pisarza-agitatora, nieznanego żołnierza swej armii, który dobrze wiedział, jak używać pióra, aby trafiało wroga celnie — i jak pocisk torowało drogę własnej piechocie.

Tej podstawowej umiejętności walczącego człowieka — ciągle ustawicznie trzeba się nam uczyć.

Józef Piórkowski

ST. REQUE

ZNAD SEKWANY

Z grubsza biorąc, połowę budżetu miasta Paryża — 27.295.000.000 fr. — pochłania prefektura policji.

Podczas gdy w roku 1935 stan miejscowych sił policyjnych wyrażał się cyfrą 13.000 ludzi, dzisiaj nie można nawet myśleć — zdaniem radnych gaullistowskich — o uszczupleniu efektywów policyjnych, mimo że od tamtego czasu ilość ich wzrosła w dwójnasób: 25.375 ludzi.

Istniał ostatnio konkretny projekt radnych komunistycznych, zmierzający do zmniejszenia wydatków na paryskie siły policyjne. Projekt ów przewidywał zaoszczędzenie 4.628.120.000 franków na następujących pozycjach.

Strajkujący z Boulogne Billancourt w walce z policją.

Zmniejszenie efektywów policyjnych do stanu z 1939 r. (20.328 ludzi	4.530.000.000 fr.
Zmniejszenie kosztów konserwacji pojazdów mechanicznych	45.000.000 fr.
Zmniejszenie wydatków na sprzęt . .	15.000.000 fr.
Zmniejszenie wydatków na opłacanie konfidentów . .	6.000.000 fr.
Zmniejszenie wydatków na zakup i utrzymanie psów policyjnych	1.320.000 fr.
Zmniejszenie wydatków na lotnictwo policyjne	17.000.000 fr.
Zmniejszenie wydatków na zakup broni . .	12.000.000 fr.
Zmniejszenie wydatków na sprzęt służący stosowaniu gazów	1.000.000 fr.
razem:	4.628.120.000. fr.

Mimo że oszczędności te w niczym nie umniejszyłyby skuteczności działania policji w takich dziedzinach jak utrzymanie porządku, czy zwalczanie bandytyzmu — projekt ów został utrącony.

Projekt odciążenia budżetu miasta Paryża nie wejdzie w życie.

Nie potrzeba chyba specjalnej dociekliwości, aby zdać sobie sprawę, że też nie o zwalczaniu bandytyzmu myśleli radni gaullistowscy, przeciwstawiając się zmniejszeniu budżetu prefektury policji na rzecz innych potrzeb miasta, które nie legitymują się ani pałką policyjną, ani gazami łzawiącymi.

PEWNEGO LISTOPADOWEGO DNIA

Dzień jest pochmurny; nie tyle deszcz, ile drobna deszczowa mgła opada co pewien czas na ulice. Światła neonowych reklam, ślizgając się po warstwie wilgoci, stają się jeszcze bardziej wyraziste. Jak zazwyczaj, bez względu na pogodę, nieustanny ruch trwa na wielkich bulwarach.

Grupa przechodniów, którzy przystanęli obok stacji metra Strasbourg-Saint Denis, patrzy w ślad za autokarami policyjnymi, przesuwającymi się właśnie ulicą. Autokarów jest około tuzina. Przejechały, zatrzymując się przy niedalekiej Porte Saint Martin.

Trotuary są pełne ludzi mijających witryny sklepów, szybciej lub wolniej idących, zależnie od tego, czy ustaje siąpienie deszczu, czy nie. Jezdnią przetacza się niekończąca się fala aut.

Właściwie trudno by określić, w którym momencie pojawili się policjanci. Ledwo obiektyw fotograficzny zdążyłby uchwycić wznoszenie się pałek i doskok do grupy mężczyzn, stojących przy wyjściu z metra, a już ulica przeobraziła się całkowicie: na jezdni — tłum! Już formuje się pochód, już nad głowami kołyszą się transparenty: „pas d'armes aux nazis! souvenstoi d'Oradour!...„

W świetle neonów hasła są czytelne, ale o wiele dalej wyprzedza je skandowane wołanie pochodu.

Protest przeciw dawaniu broni hitlerowcom, protest w imię zamordowanych w Oradour, wypełnia ulice, każe otwierać się oknom domów, nie da zagłuszyć się rykowi klaksonów aut, które napierają z tyłu, za pochodem, nie mogąc go wyminąć. Suną więc za manifestantami powoli, stłoczone, jedno auto obok drugiego, tworząc ruchomą i szeroką barierę, przez którą nie mogą się przedrzeć wozy policyjne.

Nagle hasła przybierają na rytmiczności, stają się śpiewem coraz pełniejszym... Marsylianka!

Na jezdni wala się kilka oderwanych obcasów, kilka białych kikutów pałek. I jest czarno od peleryn policyjnych.

Manifestanci rozpierzchli się, przedarli się bocznymi ulicami. Lecz za chwilę, w innym punkcie bulwarów, znowu rozlega się skandowane wołanie „pas d'armes aux nazis!" i znów olbrzymi zator aut, znów przez całą szerokość bulwarów idzie tłum, i znów policja...

Zwarte gromady kasków — długi wąż kasków, ciągnący wzdłuż murów — kaski na każdym kroku. Legitymowanie i zatrzymywanie przechodniów — 100, 200, 500... 800 aresztowanych uwożą autokary policyjne.

Ale manifestacja, jakby osłonięta czapką niewidką, zanika w pewnych momentach, by znów, o kilkaset metrów dalej, wyrósć masą nóg, rąk i głosów — głosów, które spotężnieją jeszcze bardziej, gdy ukaże się na bulwarach czoło olbrzymiego pochodu, nadciągającego od strony dworca Saint Lazare.

Nad tłumem — wysoki, nie do zatrzymania, nie do zdarcia transparent głosów: „Nous — voulons — la — paix!"

AKOLICI

Upłynęło już sporo czasu od owego dnia, gdy prefektowi policji, Baylot, wydawało się, że wystarczy ogłosić zakaz manifestacji przeciw przyjazdowi Adenauera do Paryża, aby manifestacja nie odbyła się. Wydawało mu się, że, aby zakneblować usta stolicy Francji, wystarczy zgromadzić na Polach Elizejskich — gdzie manifestacja była początkowo przewidziana — kilka tysięcy CRS, uzbrojonych po zęby.

Prefekt Baylot będzie jednak długo pamiętał ów dzień. Podczas gdy siły policyjne, które zgrupował na Polach Elizejskich, postukiwały obcasem o obcas, legitymowały przechodniów, dla wprawy pakując ich częściowo do „koszy na sałatę" (jak ulica paryska nazywa wozy policyjne) — w tym samym czasie dawały już znać o sobie manifestacje w olbrzymim trójkącie: plac Republiki — plac Opery — dworzec Saint Lazare.

Oczywiście, prefektowi Baylot z nawiązką starczyło efektywów w czarnych, czy granatowych kaskach, by pchnąć je natychmiast na odcinki „zagrożone"; za późno było tylko, by ogłosić tam „stan wyjątkowy", jak to uczynił w odniesieniu do Pól Elizejskich. Żadne zarządzenia, wyrażane pałką, nie zdołały zdusić manifestacji, zagłuszyć wołania wielotysięcznego tłumu, ani tego głosu, który jak z ulicznej trybuny rozbrzmiewał z dachu jednego z samochodów, stłoczonych przy skrzyżowaniu Richelieu — Drouot:

„My, lud Paryża, który w potężnym ruchu jednomyślności narodowej powstał przeciw remilitaryzacji Niemiec..."

Mimo puszczenia w ruch potężnej machiny policyjnej, Paryż dał zdecydowaną odprawę akuszerom armii po-hitlerowskiej, wyraził dobitnie, co myśli o odrodzeniu Wehrmachtu i o tak drogiej Eisenhowerowi sprawie zwrócenia zbrojnym siłom Hitlera honoru żołnierskiego. Honor!... Podobnie jak w wygrywaniu najniższych instynktów, celuje imperializm, celuje faszyzm w wypruwaniu trzewiów z najbardziej szczytnych pojęć.

Ludzie, rządzący Francją, którzy podpisali cyrograf na waszyngtońską politykę wojny i którzy chcieliby narzucić ją całemu krajowi, przeprowadzając operację na opinii publicznej według wzoru „udała się operacja — pacjent zmarł", szermują z równą wprawą zawołaniami o „obronie kultury europejskiej" jak i o „konieczności kontynuowania cywilizacyjnej roli Francji w jej terytoriach zamorskich". Wiadomo, co ta cywilizacyjna rola oznacza dla Indochin, Madagaskaru, Algeru, Maroka, czy Tunisu, gdzie dzisiaj, wespół z policją, „pacyfikują" kraj hitlerowcy, którzy po klęsce Trzeciej Rzeszy gromadnie zaciągali się do Legii Cudzoziemskiej, by stać się niemal jej trzonem, by dalej uprawiać swoje ponure rzemiosło — tym razem pod trójkolorowym sztandarem, na którym napis: „wolność, równość, braterstwo".

Podobnie jak dzisiejszym francuskim akolitom Eisenhowera, nie brakło również ich bliźniakom z 1934 roku wzniosłych haseł, za których pozłotką, przeznaczoną dla naiwnych, krył się ołów. Sens wydarzeń z dni lutowych 1934 r. przybiera na sile w sytuacji obecnej. Wówczas — gdy dla lig faszystowskich zawołaniem było słowo Berlin, tak jak dziś jest Waszyngton — bojówki niosły na laskach, z wprawionymi w nie żyletkami, „triumf wolności i uczciwości".

LUTY 1934 — LUTY 1952

Gdy prefekt policji paryskiej, Baylot, zakazał obecnie manifestacji w rocznicę wypadków lutowych (tak jak została też zakazana manifestacja przeciw Adenauerowi i Eisenhowerowi), z całą pewnością spotkałoby się to z aplauzem prefekta z 1934 roku — Chiappe; jeśli takiego aplauzu nie ma, to jedynie dlatego, że b. prefekt Chiappe zginął w katastrofie samolotowej, jadąc do Syrii jako wysłannik hitlerowskiego rządcy we Francji — Petaina.

Nie na darmo faszyści we Francji mówią z rozczuleniem o b. prefekcie Chiappe — to on przecież zapewnił pełną bezkarność bojówkom lig faszystowskich, które, buszując po Paryżu już od pierwszych dni stycznia, przygotowywały atmosferę wrzenia, mającą doprowadzić do zamachu stanu.

Afisze i ulotki, głoszące „godzinę rewolucji narodowej", właśnie w imię „triumfu wolności i uczciwości", stały się w dniu 6 lutego 1934 r. zapowiedzią punktu kulminacyjnego akcji faszystów.

O zmierzchu, po próbie podpalenia gmachu ministerstwa marynarki, coraz większa ilość bojówkarzy gromadzi się na placu Zgody, by stamtąd, poprzez most na Sekwanie, przygotować atak na Zgromadzenie Narodowe, znajdujące się po drugiej stronie rzeki. Policja nie reaguje. Na moście jedynie Gwardia Narodowa przeciwstawia się bojówkom, prącym naprzód z okrzykiem: „śmierć deputowanym! gwardię do wody! policja z nami!"

Na placu płonie podpalony autobus. Wzbijają się w górę płaty ognia. Nad tumult głosów wyrasta kwik koni gwardyjskich, ociekających krwią od uderzeń lasek z wprawionymi w nie żyletkami. Pod naporem faszystów, uzbrojonych w żelazne pręty, wyrwane z ogrodzenia Tuilleries, Gwardia Narodowa cofa się do połowy mostu, za zaporę z samochodów ciężarowych. Czoło ataku znajduje się teraz o sto metrów od Zgromadzenia Narodowego, gdzie popłoch i panika deputowanych, gdzie nad ławami poselskimi rozlega się głos Thoreza, piętnującego bezkarność, jaką cieszyli się faszyści, i wołającego, że mimo wszystko do ludu należeć będzie ostatnie słowo.

Tymczasem na plac Zgody nadciągają nowe kolumny faszystów z okrzykiem „niech żyje Chiappe!".

Zanim jeszcze rozlegną się strzały i dwadzieścia ciał padnie na asfalt ulicy, zanim jeszcze pułkownik de la Rocque, przywódca faszystowskiego „Croix de Feu", wyśle telegramy mobilizacyjne na prowincje o sukurs dla zdobycia gmachu Zgromadzenia Narodowego — już w wielu punktach Paryża rodzą się kontrmanifestacje robotnicze.

Od świtu następnego dnia trwa dalej atmosfera puczu. Następuje dymisja rządu. Pierre Laval — jeden z przyszłych treuhaenderów Hitlera na Francję — pośredniczy w rozgrywkach o utworzenie rządu faszystowskiego. Śpieszy się im, bo czas nagli... Coraz mocniej zaryso-

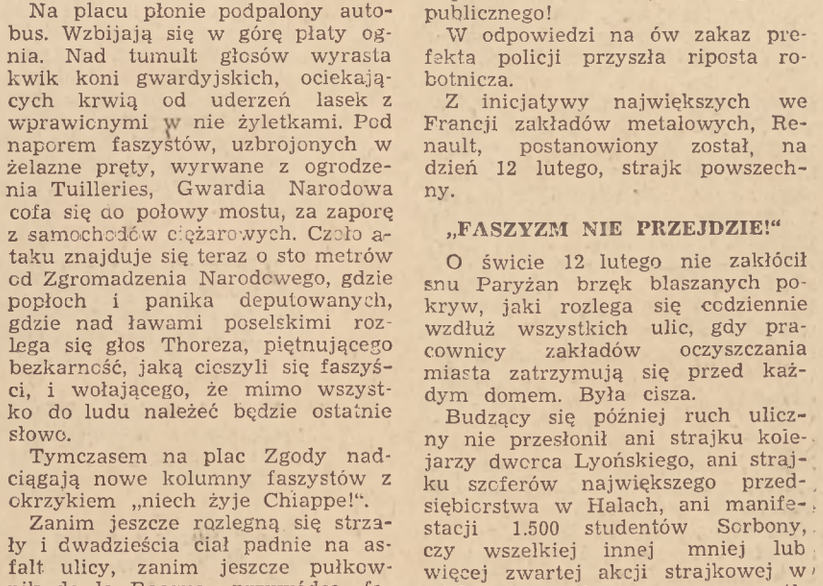

Robotnicy z zakładów Renault usunąwszy policję z fabryki budują barykadę.

wuje się przecież nadejście chwili jedności robotników komunistycznych — apel „Humanité" o przygotowanie powszechnego strajku politycznego trafia wszędzie. Wbrew wyczekującej postawie przywódców socjalistycznych jedność akcji zaczęła się.

Wieczorem, w dniu 9 lutego, antyfaszyści idą ze wszystkich stron w kierunku placu Republiki. Jest mgła. W mgle — łoskot tysięcy kroków, dzwonienie podków końskich, sygnały gwizdków policyjnych, warkot motorów samochodowych, głośny krzyk „precz z Chiappem!". Wokół placu Republiki, wokół dworca Wschodniego, przez ulice Lancry, przez ulice Saint Maure — strzały, barykady, szarże! Jest noc, niepodobna do innych.

Po nocy i mgle wczesny świt odsłoni na ulicach jedynie pobojowisko; walające się czapki policyjne i berety, jakiś hełm, garść łusek po wystrzelonych pociskach, kilka gwizdków, pałki i kamienie — i ślady krwi. Krew sześciu robotników, zabitych przez policję.

Strajkujący robotnicy atakują policję, która ukryła się za przewróconą ciężarówką.

Ta noc zadecydowała, nadała nowy bieg wypadkom, wydarła inicjatywę ligom faszystowskim, by przejść następnie, w dniu 12 lutego, w potężny akord powszechnego strajku i ruszyć przez Paryż manifestacją stu pięćdziesięciu tysięcy robotników, by doprowadzić później do zwycięstwa Frontu Ludowego.

Akcja robotnicza uratowała republikę przed przeprowadzanym od wewnątrz atakiem faszystów.

Było to w roku 1934.

W roku 1952 prefekt policji paryskiej, Baylot, zakazał tradycyjnej manifestacji w rocznicę wypadków lutowych — tak jak w okresie okupacji niemieckiej.

W dniu 10 lutego 1952 r. oddziały „garde - mobiles" pilnowały, z karabinami w ręku, by nawet złożenie bukietu kwiatów na placu Republiki nie zamąciło... spokoju publicznego!

W odpowiedzi na ów zakaz prefekta policji przyszła riposta robotnicza.

Z inicjatywy największych we Francji zakładów metalowych, Renault, postanowiony został, na dzień 12 lutego, strajk powszechny.

„FASZYZM NIE PRZEJDZIE!"

O świcie 12 lutego nie zakłócił snu Paryżan brzęk blaszanych pokryw, jaki rozlega się codziennie wzdłuż wszystkich ulic, gdy pracownicy zakładów oczyszczania miasta zatrzymują się przed każdym domem. Była cisza.

Budzący się później ruch uliczny nie przesłonił ani strajku kolejarzy dworca Lyońskiego, ani strajku szoferów największego przedsiębiorstwa w Halach, ani manifestacji 1.500 studentów Sorbony, czy wszelkiej innej mniej lub więcej zwartej akcji strajkowej w wielu zakładach pracy poszczególnych dzielnic.

I im dalej od centrów Paryża, im bliżej wielkich ośrodków robotniczych, które szerokim wieńcem otaczają stolicę, tym ostrzejsze jest oblicze strajku... Asnieres, Boulogne-Billancourt, Clichy, Courbevoie, Gennevilliers, Ivry, Issy les Moulineaux, Montreuil, Puteaux, Saint Denis, Saint Ouen, Suresnes, Vitry... Wymowne jest milczenie maszyn fabrycznych.

Na południowo-zachodnim skraju Paryża leży Boulogne-Billancourt, miejscowość licząca osiemdziesiąt tysięcy ludności. Mimo nazwy nie ma tu nic, co by mogło przywieść na pamięć cieniste aleje niedalekiego lasku Bulońskiego. Wszystkie drogi — włącznie z kolejką podziemną, która wiąże Boulogne Billancourt z Paryżem — wiodą tutaj do huczących zazwyczaj robotą zakładów Renault.

Gdy nad Boulogne Billancourt wstaje szarzyzna lutowego świtu, u bram, prowadzących do licznych warsztatów i oddziałów fabryki, robotnicy z pikiet strajkowych rozcierają zziębnięte ręce. Świt jest chłodny.

Jest kilkanaście minut po siódmej, gdy na placu Nationale ukazują się kaski. Kaski i pałki. Kierują się ławą ku głównemu wejściu do Renault.

Odgłosowi gromadnego stukotu butów policyjnych po posadzce holu z miejsca odpowiada inny dźwięk — łomot żelaza, którego w fabryce nie brak, i wołanie, zadyszane jak bicie na alarm: „les flics!...". Ten głos, donoszący o najściu policji, z szybkością ognia przerzuca się z warsztatu do warsztatu.

Jest moment napiętego milczenia, poprzez które, jak wciąż zwężająca się linia demarkacyjna, biegnie pas wolnej jeszcze przestrzeni w holu. I linia kasków załamuje się. Cofa. Na świeżych jeszcze śladach policji wyrasta barykada. Rozlega się z niej głos, donośny i prędki jak decyzja, którą należy powziąć, gdy nie ma chwili czasu do stracenia...

Ilość kasków na ulicy Yves Kermes, na placu Nationale, na ulicy Emile Zola wzrasta bez przerwy. Jest ich wreszcie tyle, że prefekt Baylot uważa już za zbędne wszelkie dalsze zwlekanie... Lecz i odpowiedź jest natychmiastowa. Kamienie i dachówki bębnią, o bruk, o kaski. Plącze się, potyka, załamuje szarża policji, nie dosięgnąwszy tłumu w kombinezonach roboczych, w kurtkach, w marynarkach. Pod ulewą kamieni następuje rejterada policji i nowe przegrupowanie na skrzyżowaniu ulic Yves Kermes i Emile Zola.

Dziesiątki nóg wpierają się w ziemię, dziesiątki ramion podważają bezruch olbrzymiej ciężarówki, której pudło pada wreszcie z łoskotem, tworząc zaczątek barykady. Również dwa wozy policyjne przewracają się na ziemię, bezradnie kręcąc w powietrzu swoimi ośmioma kołami.

Z nowych, w pędzie nadjeżdżających, wozów wyskakują policjanci, usiłując przeprowadzić skuteczniejszy tym razem atak od strony nadbrzeża Sekwany. Ale z bram fabryki wysypują się coraz to nowe gromady ludzi.

Rozbijany łomami bruk staje się arsenałem niewyczerpanym, mimo że z każdym zamachem ręki ubywa kamiennych pocisków, a rąk jest tysiące. Czarny, ruchomy mur peleryn i płaszczy, poprzedzany — na długość ramienia — białymi pałkami, rozpada się.

I mimo powtarzających się ataków, mimo użycia gazów łzawiących, wzdłuż ulic, okalających zakłady Renault, przybiera na sile okrzyk, podchwytywany przez tysiące gardeł: „faszyzm nie przejdzie!".

„RÓŻDŻKA CZARODZIEJSKA"

W lutym 1934 r. konieczność natychmiastowej, jednościowej akcji była widoczna dla każdego robotnika, bez potrzeby przeprowadzania jakiejkolwiek analizy sytuacji — sytuacja, to był pucz faszystowski, przewalający się ulicą.

Obecnie faszyzm nie rzuca swoich bojówek na Zgromadzenie Narodowe. Tym razem de Gaulle chce osiągnąć swój cel, unikając pełnego światła, przedkładając kuluary Zgromadzenia Narodowego nad szarżę przez most na Sekwanie. Faszyzm wciągnął na łapy rękawiczki „praworządności", by nie zostawić odcisków swych palców na gardle ofiary. I palce zaciskają się nieustannie tą samą metodą, która prowadziła od „projektu niesamodzielnych combat-teamów" adenauerowskich do całkowicie samodzielnego Wehrmachtu, dowodzonego przez generałów hitlerowskich.

W chwili, gdy jeden z ministrów francuskich (Duchet) uważa za zupełnie naturalnie zwrócić się jednocześnie do de Gaulle'a i do przywódców socjalistycznych, proponując im porozumiewawcze rozmowy przy wspólnym stole — w chwili, gdy konferencja w Lizbonie uwypukliła bezpośrednią bliskość krachu gospodarczego, przed jakim znalazła się Francja wskutek polityki zbrojeń — w takiej chwili tym bardziej zrozumiała staje się zaciekłość, z jaką usiłowano przeciwdziałać strajkowi w rocznicę wypadków lutowych i, gdy się to nie udało, zbagatelizować jego znaczenie.

Jest to jednak specyficzny rodzaj bagatelizowania, wyłącznie na wynos, na użytek propagandowy. Faure, de Gaulle, Guy Mollet i inni zdają sobie w pełni sprawę ze znaczenia owego strajku, mimo ich radosnych stwierdzeń, że nie objął on całej klasy robotniczej. Nie im, oblatanym politykierom, potrzebne są wyjaśnienia, że do strajku politycznego, jakim w całym tego słowa znaczeniu był strajk ostatni, należy przykładać inne miary. Nie im trzeba przypominać, że w pierwszym dniu puczu z 1934 roku „tylko" 25.000 robotników stawiło czoło faszystom, by w następnych dniach rozróść się w setki tysięcy, by doprowadzić później do zwycięstwa Frontu Ludowego.

Zresztą—właśnie w następstwie tego bagatelizowanego oficjalnie strajku — policja okupuje obecnie warsztaty wojskowe w Neuilly Plaisance, zakłady „General Motors" w Gennevilliers. W tydzień po strajku rozpoczęła się akcja policyjna, zakrojona na tak olbrzymią skalę, że zakłady Renault otacza 15-tysięczna armia policji, że w pobliskim Issy les Moulineaux stacjonuje trzydzieści samochodów pancernych, że Lasek Buloński zapchany jest odwodami policyjnymi, że nie inaczej jest w Porte d'Auteuil i Porte de Saint Cloud.

O sukcesie strajku, o jego wpływie na wewnętrzną sytuację Francji świadczy już dostatecznie chociażby taki fakt, że dziś, gdy rząd chce przeprowadzić akcję zastraszenia, usiłując zwolnić z pracy robotników, którzy uważają za swój obowiązek i prawo protestować przeciw faszyzacji oraz polityce wojny, w ciągu dwu dni zebrano trzy miliony franków na fundusz pomocy dla zwolnionych. Potężny prąd solidarności objął już robotników, którzy nie wzięli udziału w strajku.

Policja szarżuje na manifestujących robotników.

Solidarność i jedność akcji — za tymi słowami kryje się siła, której nie zdołają spętać ani faszyści, ani potężna armia policyjna, ani mistrzowie w demogogii.

Dymy demagogii nie staną się mostem, po którym rząd, zawiązawszy Francji oczy, mógłby przeprowadzić ją nad przepaścią: 800 miliardów franków deficytu w budżecie wskutek polityki zbrojeniowej — nowa 15-procentowa podwyżka podatków — zmniejszenie o 60 miliardów sum przewidzianych na wydatki cywilne. Te astronomiczne cyfry, których wielkość uniemożliwia niemal pełne ich ogarnięcie, odzyskują swój realny sens w codziennej konfrontacji z cenami skaczącymi w górę bez przerwy, co dwadzieścia cztery godziny, tak że ani marzyć anemicznym zarobkom o ich dopędzeniu.

W obliczu polityki nędzy, w obliczu faszyzacji, zacieśnia się solidarność i jedność akcji robotniczej. Rząd łudzi się, że pałki policyjne staną się specyficzną „różdżką czarodziejską", która zapobiegnie reakcji mas robotniczych.

...Z grubsza biorąc, połowę budżetu samego miasta Paryża pochłania prefektura Policji. Prefekt Baylot miał już jednak okazję zdać sobie sprawę, że pałki tracą swą „magiczną" właściwość gdy wyjdzie im naprzeciw zdecydowana wola mas. Wie to Baylot i wiedzą to inni...

St. Reque

KAZIMIERZ BŁAHIJ

Latarnik z Jarosławca

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Jarosławcu, niedaleko Darłowa, opuścił osadę. Uczynił to na kategoryczne żądanie miejscowej ludności, przeważnie wiejskiej biedoty, która dłużej nie chciała cierpieć ani judaszowych namów, ani judzących nawoływań latarnika. Władze graniczne, troskliwie, po matczynemu, dbające o to, by skołatane wojną chłopskie rodziny mogły w spokoju zagospodarowywać nadzielone hektary, nienajlepszej wprawdzie, nadmorskiej ziemi — latarnika wysiedliły.

Zawakowało więc miejsce kierownika latarni, obsługiwanej teraz niesprawnie przez dwóch bodajże ludzi, nieznających się ani na radiotechnice, ani na skomplikowanych tablicach meteorologicznych. Tyle, że co wieczór latarnia na jarosławieckim cyplu słała w czarną ścianę nocy zespolonej z huczącym morzem żółte błyski. Lecz ani radio, ani buczki, mogące ostrzec statek, szukający namiarów w gęstej niczym wata mgle — nie były czynne. Latarnia w Jarosławcu niemałe ma znaczenie: gdyńskim trawersem przechodzą obok niej statki ładowne ze wschodu na zachód: na Sund i na Kanał Kiloński; tędy idą z zachodu do Gdyni i Gdańska statki po węgiel, albo wiozące maszyny, surowce z Chin, Afryki — z całego świata. Tak więc jarosławiecka latarnia na statkowym kursie, wykreślonym ręką nawigatora, staje się kamieniem milowym na tysiącmilowym szlaku, w nocy zaś rozbłyskująca żółtym okiem — kontrolerem bezpiecznej żeglugi.

W Urzędzie Morskim łamano sobie nie bez powodu głowę nad wynalezieniem nowego kierownika latarni. Pod koniec Planu Trzyletniego bito się o fachowców w każdej fabryce z uporem, wyrywając sobie techników, mechaników, czasami ze szkodą dla ogólnej sprawy. Ludzi było brak, a uczyć nienauczonych dopiero się uczono. Zresztą i kandydatów na takie stanowisko nie było. Gdańsk, Gdynia czy Szczecin — porty dochodzące do głosu na światowych rynkach żeglugowych — kusiły łatwością życia i zarobków. Jarosławiec, odległy od linii kolejowych, nawet nie wieś, lecz osada — kilkanaście domków, przykucniętych za grzbietem wydm — rzucona od gminy nieco z boku, jakby niepotrzebna przy powiatowej drodze — nie mogła być przedmiotem zainteresowania dla fachowca, przywykłego do gwaru portów, jęku syren statkowych czy fabrycznych, związanego z pulsującym życiem miasta. Samo też życie latarnika jest trudne: dyżury w dzień i w nocy, ustawiczne zajęcze czuwanie na ostrzegawczy ryk syreny, stróżowanie na cyplu i aż do łez wypatrywanie, czy nocy granatowej z granatowym morzem sklejonej nie przetnie czerwony na ratunek wzywający błysk rakiety. Życie w osadzie, zamknięte wśród bytowania kilkunastu rodzin, przypomina klasztor...

Tak to mniej więcej rozmyślał dyrektor Urzędu Morskiego, człowiek mający wiele rozmachu w postępowaniu, lecz trzeźwo oceniający sprawę, że kierownika latarni jarosławieckiej przyjdzie szukać długo. Był też radośnie zaskoczony, gdy oznajmiono mu, że następca usuniętego z pasa granicznego latarnika czeka na przyjęcie.

Był to człowiek niemłody, lat chyba więcej niż pięćdziesiąt, o skroniach już pobielonych siwizną i twarzy posiekanej gęsto zmarszczkami. W jego ruchach było coś z rzemieślnika; ramiona miał zsunięte do wewnątrz, nieco zgarbione, jakby nawykłe do zginania się z pilnikiem w ręku nad warsztatowym imadłem. Z całej postaci biła pewnego rodzaju solidność i opanowanie.

— Gdzie pracowaliście?

— Różnie... bywało, że i wcale nie pracowałem. Teraz, ostatnio, w takiej jednej prywatnej firmie.

— Świadectwa jakieś macie?

Wydobył z kieszeni portfel z brązowej, powycieranej w wielu miejscach skóry, palcami rozdzielał papierki. Jeden z nich wraz z czerwoną książeczką położył na biurku. Dyrektor czytał:

— Bajno? Aleksander Bajno. Jesteście radiomechanikiem? Pracowaliście w 1933 w Państwowych Zakładach Radio- i Telekomunikacyjnych jako mechanik, hm... A dlaczego w papierach macie, że w 1937 byliście pomocnikiem?

— Zdegradowano mnie... Za strajk.

— Aha. A teraz, macie jakiś dowód? Świadectwo?

— Tak. Skończyłem kurs radiomechaników jeszcze raz — podsunął małą książeczkę w czerwonej okładce.

— Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Służyłem w Marynarce Wojennej.

— Hm...! Dlaczego chcecie iść na latarnię? Pracowaliście w prywatnej firmie: łatwa robota i łatwy zarobek?

— Byłem niedawno na naradzie aktywu. Przemawiał sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Partii. Krytykował tych partyjniaków-fachowców, co poutykali po różnych prywatnych firmach, zamiast iść w teren, pomagać organizować państwowy przemysł, właśnie u nas na Ziemiach Odzyskanych. Oto dlaczego do was przychodzę...

Dyrektor potaknął rozumiejąco.

— Latarnik — trudna służba. Nie jesteście młodzi...

— Jestem członkiem Partii.

— Kiedy możecie jechać do Jarosławca?

— Choćby jutro. Rodzina przygotowała się...

— W porządku. Załatwicie resztę w personalnym...

Jarosławiecka latarnia co noc omiatała wodny przestwór żółtym snopem światła, ale gdy pewnej mglistej nocy zajęczały buczki mgłowe — ludzie w osadzie zrozumieli, że przybył nowy kierownik latarni.

Domek, w którym osiedlili się Bajnowie, stoi tuż nad brzegiem morza. Bałtyk jest ich codziennym towarzyszem rozmyślań i rozmów, czasem towarzyszem wściekłym, grzmiącym z głębin wodnych ciężkim hukiem fal, a kiedy indziej łagodnym jak dziecko, cicho gaworzącym. Domek jest nieduży, z pokojami na piętrze i na parterze, o dużych oknach.

Zagospodarowali się w nim szybko, radośnie podnieceni wspólnym działaniem przy budowie wspólnego ogniska. Ona zawiesiła w stołowym, jak świątki w podhalańskich chałupach, kartonowe arkusze w czarnych ramkach: dyplomy. Pierwszy najwyżej, akt nadania przez PKWN Karolinie Bajno medalu „Za Wolność i Zwycięstwo"; nieco niżej — dyplom uczestnika walk o wolność i demokrację ludową — za partyzantkę w AL. Nieco później przybył do dokumentów rodzinnych akt nadania Karolinie Bajno „Złotego Gryfu Pomorskiego", odznaczenia za repolonizację Ziem Odzyskanych. Ale to przyszło znacznie później. On zawiesił różowy dyplom i kartę rzemieślniczą ukończenia kursu radiomechaników.

Dzieci mają troje: najmłodsza dziewczynka ma lat trzynaście. Syn kończył osiemnaście, gdy przybyli do Jarosławca. Starsza córka — po dwudziestce. Osadnicy wnet poznali rodzinę Bajnów od dzieci najpierw: najmłodsza Bajnówna biegała z „osadniczkami" do szkoły w Łęcku; syn zaczął pracować w gminnej spółdzielni. Karolinę Bajno wybrano na przewodniczącą Ligi Kobiet jako że: „kobieta odznaczona, zasłużona i znać, że obrotna" — jak tłumaczyły swoją wyborczą decyzję żony osadników.

Jeden Aleksander Bajno poza zebraniami partyjnymi mało bywał wśród ludzi. Zamknął się w budyneczku latarni, dniami i nocami przesiadując w towarzystwie silników, płątaniny aparatury radiowej i nadajników sygnałowych. Z narzędziami w ręku grzebał w aparaturze, coś poprawiał, ulepszał. Zdawał się nie istnieć poza latarnią. Wreszcie skonstruował prosty wyłącznik, pozwalający za jednym przekręceniem kontaktu uruchomić całą aparaturę świetlną latarni. Był uszczęśliwiony tym usprawnieniem. Któregoś dnia zaproponował zmniejszenie liczby latarników zmianowych, tłumacząc inspektorowi z Urzędu Morskiego:

— Koszty własne, towarzyszu, to ważna sprawa. Tamci mogą się przydać przy innej robocie. A ja tu z dwoma dam radę. Ludzie to są świadomi, zadanie rozumieją. Więc zmniejszcie etaty...

Wychodził na brzeg i śledząc pobliskie dymy statków cieszył się tym ożywającym morzem. Radio przynosiło mu wieści z kraju: ze stoczni, z których spływały nowe statki, z portów, w których rosły tony przeładowywanych towarów. Stojąc wieczorami na wydmie, biegł spojrzeniem za śladem latarnianego światła, według którego być może w tej chwili namierzał swoją pozycję oficer-nawigator z „Mickiewicza", idącego do Indii, czy młody asystent z „Sołdka", wiozącego szwedzką rudę do hut. Patrzał w żółte oko latarnianego cyklopa i myślał: „moja latarnia..."

Wtedy to przeczytał Sienkiewiczowskiego „Latarnika". Książeczka, wydobyta z córczynej biblioteczki, wzbudziła w nim nowe uczucie. Współczuł aspinwallskiemu latarnikowi, którego po drogach węgierskich bitew, po „plenach" Stanów, po żółtych wodach Amazonki, przez Morze Barentsa gnał od Ojczyzny coraz dalej i dalej tułaczy los. I dziwił się czasami, porównywując ze swoim życiem, jak to mogło się dziać, że człowiek, ten hartowny żołnierz Skawiński, zrezygnował z drogi do macierzystego portu, zamurowując się w półgrobie — w aspinawallskiej latarni — i poczuł się szczęśliwy. Porównując tak ze swoim życiem dodawał głośno: „O tę Ojczyznę trzeba było walczyć..." i jakby usprawiedliwiając starego latarnika — mówił: „Skawiński nie miał już siły..."

Do Skawińskiego wracał nieraz. Przypominał sobie fragmenty jego krótkiego szczęścia na wieży latarni, lecz najczęściej wracał do owej sceny, gdy do aspinawallskiego latarnika przyszła w mickiewiczowskich strofach — Polska. Sięgał do szuflady po książeczkę o rogach pozaginanych, o kartkach nierzadko poplamionych atramentem i czytał:

„Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie.. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie. Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algerze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabinu, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tym większą też skwapliwością i z tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinawallskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach".

Wieczorami odczytywali z Karoliną listy od starszej córki, która pisała do Jarosławca z Warszawy o swych uniwersyteckich zajęciach — była już na trzecim roku prawa — o egzaminach pomyślnych, o życiu w „Akademiku"; choć odlegli, przeżywali z nią razem jej smutki i radości. Bajno mówił wtedy do żony:

„Widzisz, taką mamy wreszcie Polskę: córka robotnika uniwersytet kończy..."

*

Polska przyszła do niego niespodziewanie. Stanęła mu przed oczami cała, tak jaką już znał od lat, ale po raz pierwszy zobaczył ją tak wielką i prawdziwą.

Było to pewnego popołudnia, gdy pełnił dyżur. Za oknem huczał Bałtyk; tego miesiąca morze poddawane nagłym sztormowym wstrząsom było jak nigdy niespokojne. Zdawało się, że mas wodnych, rozkołysanych wściekłymi podmuchami wichrów, rozpędzonych w nieustannym biegu od brzegów skandynawskich, nie zdołają powstrzymać łysawe wydmy, a latarnia na cyplu trzaśnie pod ich uderzeniami. Lecz wydmy jak zwykle odpierały strzępiaste i ze spienionymi grzywami bałwany, zmuszały je do uległego skłonu przed siłą ziemi i do powrotu. Chmury szły ciężkie, wsparte na ramionach horyzontu. Swoją granatowo - stalową grozą spędziły znad latarni biały obłoczek mew, które rozpierzchły się wśród czerwonych dachów jarosławieckiej osady. Morze grzmiało za oknami latarnianego domku, zmuszając do czuwania. W takich to dniach Skawiński rozkoszował się swoim złudnym szczęściem na aspinawallskiej latarni, popadając w drzemkę nasyconą majakami. Widziały mu się czworoboki „czwartego pułku", widział mu się Bem, wiodący go na złocisto - czerwoną linię austriackich kirasjerów, zgięte postacie czarnych z Luizjany, których wyzwalał z Armią Północy. Życie odkręcało mu się nagle i radośnie podniecony przeżywał je po raz drugi.

Tego dnia styczniowego Bajno jak zwykle miał dyżur. Zajrzał do książki, w której wypisywali uwagi jego pomocnicy, sprawdził meldunek „meteo", poszperał w nadajniku sygnałowym i rozpiąwszy zielonkawy waciak zasiadł za stołem, wpatrzony w połyskującą lakierem i miedzią aparaturę. W dyżurce było ciepło, za to za oknem wiatr skowyczał zaplątany w radiowe maszty i tłukł bezsilnie o szyby.

Gazeta, pozostawiona na stole, przykuła jego uwagę niezwykłą wielkością tytułowych liter. Przymrużył oczy i przeczytał: „Projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

Przeczytał głośno, jak uczeń, by lepiej sam siebie rozumieć: „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest republiką ludu pracującego".

Fala wspomnień jak wody bałtyckie, gnane podmuchem wichru, runęła naprzód, ogarnęła go całego. Przed iluż to laty słyszał te słowa: „republika ludu pracującego"? Twarzy tamtego wprawdzie już nie pamiętał, ale nazwisko człowieka, który zburzył jego półniewolniczy spokój, towarzyszy mu do dziś. Strajk drogowców w Pułtusku, tłumy robotników o dłoniach pozdzieranych tłuczniem i okrzyki, ciężkie jak polne kamienie, lecące w stronę miasta. Marceli Nowotko! Od niego to po raz pierwszy słyszał o takiej Ojczyźnie, w której chleb każdy sobie kroić będzie wedle włożonej pracy. Zapachniały mu nagle kurzem drogi wiodące z Pułtuska do Warszawy willowych domków na Saskiej Kępie i Warszawy „Polusa", „Annopolu" i baraków na Felińskiego. Zabrzmiały mu w uszach syreny fabryczne Gerlacha, Loevensteina, „Dzwonkowej" i Szpotańskiego, które nie jego przecież wzywały w tych latach. Tamte lata pamiętasz? — pytały zdania konstytucyjne.

Twardą, Towarową, Krochmalną kluczył dniami całymi pytając: „Czy szanowny pan nie ma dla mnie pracy? Mogę założyć dzwonek, naprawić światło? Zrobię solidnie, tanio, jestem radiomechanikiem, mam świadectwo" — wyciągał osłabionymi dłońmi złożony we czworo papierek, wyczytując ze spojrzenia tamtego, czy będzie dziś mógł kupić chleb. Chował papierek, całe swoje bogactwo, za które nikt nie dał mu nawet ćwiartki razowca do kieszeni i szedł na Ciepłą do „Pośredniaka". Czekał w kolejce do śniegu „za pięć złotych". I znowu krzyżował miasto w bezrobotnych wędrówkach, z pytaniem: „Czy szanowny pan nie ma dla mnie jakiejkolwiek pracy?"

Na Nowym Swiecie, przy witrynach, po psiemu, wpatrywał się w różowe płaty łososia i pszenne laski bułek.

Dziewiętnaście lat minęło jak przekroczył bramę szarego bloku przy Ratuszowej, ściskając w garści papierek, angażujący go na stanowisko radiomechanika. Ileż to razy odczytywał: Państwowe Zakłady Radio- i Telekomunikacyjne. Teraz wydało mu się, że szczęście się do niego uśmiechnęło, że skołatany przez wszystkie cztery żywioły, jak statek zawinął do portu. W świetlicy na Mińskiej, w pokoju ukrytym za biblioteką, dowiadywał się z ust lewicowych działaczy, że port, do którego dobił, jest wprawdzie jego macierzystym portem, ale jest takim portem, w którym on, Aleksander Bajno, nie ma praw. Przekonał się o tym rychło, gdy brał udział w pierwszym strajku, w następnym, gdy protestowali przeciwko budowie radiostacji dla faszystów Franco. Wygnano go z fabryki za to, że stanął na czele delegacji robotniczej, żądającej podwyżki płacy, za to, że wraz z innymi okupował trzy dni fabrykę. Zabrano mu wtedy największe bogactwo, świstek papieru złożonego w czworo: świadectwo radiomechanika.

Już przestał liczyć lata. Człowiek wpisany na „czarną listę" nie ma potrzeby odtwarzać w szczegółach dni. Wiadomo, były one głodne, bez pracy... Wojna je zmieniła na okupacyjną noc, w którą słuchał Moskwy i rosyjskich słów, płynących z głośnika w pułtuskim warsztacie radiotechnicznym; roznosił je wśród ludzi, jak dobra wróżka z bajki — skarby. W przeddzień przybycia do domu gestapo powiedział do żony: „Pamiętaj, żeśmy robotnicy, na nas spada odpowiedzialność za naród..."

Czytał teraz Projekt Konstytucji jednym tchem. Ogarnęła go radość, że widzi oto Konstytucję, w której każde słowo jest sprawdzalne.

— Prawo do nauki? Starsza kończy uniwersytet, młodsza może pójdzie na medycynę — rozmawiał sam z sobą nad arkuszem gazety.

„Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni. Oj, jedyna, jedyna" — przypomniał sobie radość tęsknoty Skawińskiego i radość ogarnęła go jeszcze większa, że on jest w kraju, że idzie do niego Polska — dysząca kominami fabryk i coraz silniej hucząca odłosami traktorów z chłopskich pól.

Zmierzch już zapadał; morze nabrało stalowego połysku, znaczone pienistą koronką fal. Wracał do przeczytanych ustępów, wydobywał z pamięci nazwiska towarzyszy poległych w walkach i tych, z którymi odbudowywał pułtuską elektrownię, dziękował w myślach ludziom o wielkich nazwiskach za to, że swój trud dali do tych wspaniałych strof.

Granatowa chmura przykryła mu światło okna i kazała oderwać oczy od słów: „sumiennie wypełniać obowiązki wobec Państwa". Odrzucił gazetę. Latarnia!

Przekręcił kontakt i wybiegł przed ganek. Żółty snop światła przeciął ciemniejący nieboskłon i łagodnie położył się na falach. Latarnik stał z odkrytą głową.

*

Z jarosławieckim latarnikiem, tow. Aleksandrem Bajno, rozmawiałem którejś niedzieli. Śnieżyca ustała, tylko wiatr hulał jeszcze wśród wydm, ale my wyszliśmy na brzeg bałtycki, pragnąc niejako tu właśnie dokończyć opowieści o sprawach minionych. Latarnik powiedział:

— Pytaliście mnie o Skawińskiego? Cóż, my w kapitalistycznej Polsce żyliśmy podobnie jak Skawiński na tułaczce: ze skurczonym sercem. Teraz mamy serca pełne, a na drogę niejedna książka nam została...

Uśmiechnął się i począł schodzić z wydmy ostrożnie, by nie nastąpić na rzadką roślinę, wczepioną w piaski. Latarnia jarosławiecka górowała nad nim swym strzelistym, czerwonym masywem.

Kazimierz Błahij

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

MARUSIA

25 lat temu w Związku Radzieckim rozpoczęła się szeroka akcja, skierowana przeciwko pozostałościom moralności drobnomieszczańskiej, zatruwającej część radzieckiej młodzieży. Akcję tę prowadził Komsomoł, jasno stawiając zagadnienie walki o nową socjalistyczną moralność.

Biorąc aktywny udział w tej walce wielki poeta radziecki Włodzimierz Majakowski w szeregu swych wierszy („Do porządku dziennego", „Miłość", „O szykowne życie", „Marusia się otruła", „Tajemnica młodości" i inne) z właściwym mu sarkazmem i pasją w sposób niesłychanie przekonywający odpowiadał na pytania nurtujące młodzież.

Na tych jego wierszach uczyły się tworzyć nowe stosunki pomiędzy ludźmi, uczyły się budować nowe życie całe pokolenia radzieckiej młodzieży.

Dzisiaj, kiedy u nas od szeregu miesiecy w prasie młodzieżowej, w klubach robotniczych, na zakładach pracy toczy się żarliwa dyskusja o stosunkach pomiędzy chłopcami i dziewczętami, o moralności socjalistycznej, kiedy dyskusja ta demaskuje chuligaństwo i bikiniarstwo jako przejawy wpływu wroga klasowego na naszą młodzież, wiersze Majakowskiego uderzają swoją trafnością. Po dziś dzień zachowały one wartość bojową, po dziś dzień są bronią w naszym ręku w walce o nowego człowieka nowego społeczeństwa.

Red.

Wieczorem po pracy komsomolec ten nie jest już waszym towarzyszem. Nie próbujcie nazywać go „Borią", lecz podrabiając nosowy francuski akcent — powinniście nazywać go „Bob".

„Komsomolska Prawda".

W Leningradzie młoda robotnica otruła się, ponieważ nie miała lakierków — takich właśnie, jakie nosiła jej przyjaciółka Tania.

„Komsomolska Prawda".

Grzbietami chmur się tuła
młodziutki miesiąc w nowiu...
„Marusia się otruła,
leży na Pogotowiu".
Niedawno
jeden taki
uwidział się dziewczynie:
pomadowane baki,
fryzura —
w brylantynie.
Monterem był ów Iwan,
lecz —
pod paryski smak —
kazał się on nazywać
„elektrotechnik Jacques".
Te same wciąż jej słowa
powtarzał ze sto razy:
— Panieńską cnotę chować
to —
przesąd burżuazji. —
Zmówili się, chodzili,
aż —
Jacques
znudzony
ziewa
Przekonał się,
że Lili
dessous zgrabniejsze
wdziewa.
Marusi zapłakanej
rzekł,
pełen kurtuazji:
— W małżeńskie iść kajdany
to —
przesąd burżuazji. —
Powiedział grzecznie jej:
— Adieu! —
(nie minął miesiąc czasu),
dlatego że
buciczkom jej
francuskich
brak
obcasów.
Na bucik —
trza pieniędzy,
a wziąć pieniędzy —
znikąd!
Za grosz
Marusia
rędzny
kupiła
arszeniku.
Krótkiemu życiu —
kreska.
Kie-lich
wy-chy-ło-ny...
Marusia
w czterech deskach
w chusteczce
śpi
czerwonej.
Paskudny wiatr się zbiera.
Pod wieczór,
w takt wichurze,
w komórce
był referat:
„Schyłkowy prąd w kulturze".

DLACZEGO?
Czy stary kto,
czy młody —
któż nie zna
tych melodyj?
Gdzież
rodzą się
te głupawe romanse?
Czy tam,
gdzie biała zanosi się zgraja?
Nie!
Komsomolskie
zrodziły ją
masy —
w naszym,
w radzieckim kraju.
Łatwo
na wroga
otworzyć ogień.
Lub —
szablę z pochwy
i uszu przytnij!
Lecz jak nam
dzisiaj
zmierzyć się z wrogiem?
Chowa się.
Sprytny!
Cokolwiek
byśmy
wzuli lub wdzieli,
burżujską starzyznę
nosimy na ciele.
Nie widzisz
prostej drogi,
człowieku!
Nasza kulturka —
od zeszłej niedzieli,
a ich —
od wieków!
I rosną
nieuczone
oślice
i osły,
niczym nie chronione

KRYSTYNA PAŁYS

W miasteczku pana Mikołaja Reya

Do wagonu sączył się leniwie świt przez zapocone szyby. Wsiadający na małych stacyjkach pasażerowie przynosili z sobą na watowanych kurtkach i zimowych czapkach z nausznikami zapach porannej mgły. Przystawali na korytarzu, gdyż w przedziałach trudno było wetknąć nawet przysłowiową szpilkę, skręcali papierosa z machorki i palili. Dym zwisał nad ich głowami ciemną chmurą.

— Wędzarnię zrobili z pociągu — skarżyła się tęga jejmość wyciągając z walizki spory kawałek pieczonej kury. Stojący w drzwiach przedziału chłopak pocieszył ją dobrodusznie: — Za chwilę będzie pani miała miejsce, wszyscy wysiadamy w Rejowcu. — Przez okno oglądał okolicę wąsaty gospodarz w wieku około czterdziestu lat.

— Ho, ho, zazieleniło się po wczorajszym deszczu. Ziemia tutaj lekka, sama borowina to i siać będzie jeszcze można. Sam nieraz w życiu siałem późno pszenicę i wyrastała na drugi rok gęsta jak las. Pszenica i pod śniegiem będzie rosła.

Te gospodarskie uwagi zakłóciła widocznie inna myśl, bo chłop zwrócił się do młodszych: — Pójdziecie zobaczyć nową koparkę? — zapytał. W duszy gospodarza kiełkowało coś nowego, obok myśli o siewach i plonach pojawiły się inne zainteresowania.

Za szybą w sinawym świetle wstającego dnia rozbłysły w regularnym czworoboku elektryczne lampy. Pływały jak świetliste kule w jesiennej mgle, rzucając z góry snopy świateł na wydłużone szyje transporterów, przypominających w tej niecodziennej iluminacji przedpotopowe ichtiosaury, na pękate betoniarki, długie jak szyje żyrafy dźwigi koparek i stożki ziemi, łudząco podobne do kopców termitów, a zostawiane na niwelowanych terenach dla ułatwienia pomiarów. Nasz gospodarz kierował się już razem z młodymi ku wyjściu, kiedy koła pociągu zadudniły na zwrotnicach stacji.

Wysiedli naprzeciw drewnianego budynku, ozdobionego dużą, białą tablicą z napisem „Rejowiec". Nad nią na słupie krążyły wskazówki po tarczy wielkiego zegara.

W taki to sposób pociągiem Warszawa—Bełżec dojechaliśmy razem z robotnikami na miejsce wydarzeń, biorących swój początek w planie 6-letnim. Wydarzeń, które wejdą do historii w rozdziale zatytułowanym „Budowa socjalizmu w Polsce" na stronicy dotyczącej rozbudowy przemysłu na Lubelszczyźnie.

Foto K. Wiernicki

Piotr Kowalski chłop małorolny z Zalesia Krasieńskiego pracuje na budowie jako murarz.

Nie śniło się nawet zażywnemu Imci Panu Mikołajowi Reyowi z Nagłowic, jakie bogactwa mieści w sobie ziemia, na której założył w połowie XVI wieku na świeżym karczowisku wśród dębowych lasów wieś Sawczyn, a potem rozbudował ją w miasto Rejowiec. Ogarnięty gorączką kolonizatorską swego wieku, praktyczny pan Rey pragnął nagłym rzutem podnieść rentowność włości, przyniesionych mu w posagu przez żonę Zofię Kościeniową. A „był to pan ciekawy i nigdy na jednym miejscu posiedzieć nie mógł" — jak go scharakteryzował biograf, Andrzej Trzecieski. Spędzał życie na rozjazdach między Haliczem, Proszowicami a Chełmem.

Fundamenty położone przez Reya pod literaturę polską okazały się trwalsze od jego poczynań gospodarczych. „Rozmowa między panem, wójtem a plebanem", „Żywot człowieka poczciwego" i „Zwierciadło" zajęły należne sobie miejsce w naszej literaturze, Rejowiec natomiast wegetował przez cztery wieki i cierpiał chronicznie na brak ludności, ponieważ założyciel nie stworzył swoim poddanym warunków do życia. Umysł tego utalentowanego piwosza zaprzątały zyskowne młyny i browary, a nie takie „faramuszki" jak chłopski byt.

Włości Reya przechodziły z rąk do rąk magnackich. Zniknęły bezpowrotnie dębowe lasy, ich miejsce zajęła anemiczna sosna, a potomkowie poddanych Reya borykali się z biedą na drobnych zagonach. Nie pozbyli się tej biedy nawet w początkach naszego stulecia, kiedy to odkryto w okolicach skarby, o których Rey nie miał pojęcia — wspaniałe pokłady marglu.

TEREN PENETRACJI OBSZARNIKÓW, REKINÓW PRZEMYSŁOWYCH I DZIAŁACZY SANACYJNYCH

Powstało na początku XX wieku naturalne jak na owe czasy małżeństwo magnaterii z finansjerą: Zjednoczone Fabryki Portland-Cementu „Firley" Spółka Akcyjna. (Portland-cementem nazywamy najlepszy gatunek cementu, wytwarzany początkowo w Anglii z pokładów znajdujących się na wysepce Portland). Parantelą w Polsce kapitalistycznej doskonała. W zarządzie tej spółki zasiadali: Edward hrabia Mycielski — jako prezes, wiceprezesostwo dzielili — książę Stanisław Lubomirski i Bruno Beck, a pełnymi inicjatywy członkami byli między innymi dr Wiktor Kutten i bankier — H. Bankier. Podawały sobie w tej spółce ręce elementy obszarnicze z rekinami kapitalistycznymi i luminarzami sanacji. Później znalazł się i kapitał zagraniczny w formie pożyczki zaciągniętej w towarzystwie francusko-belgijskim „Solvay". Magnackie nazwisko „Firley" doskonale nadawało się na szyld tego typowego dla opóźnionego w swoim rozwoju polskiego imperializmu przedsiębiorstwa.

Nasi wspólnicy jeszcze przed pierwszą wojną światową prowadzili niewielką cementownię na Bronowicach, przedmieściu Lublina. Pod Rejowiec zwabiły ich bogate pokłady marglu, przystąpili więc do budowy nowej fabryki na gruntach zakupionych od obszarnika Morawskiego. W budowie przeszkodziła wojna, tak że roboty wznowiono dopiero w 1921 roku, a zakończono w cztery lata później. Maszyny sprowadzono z Danii, a montażu dokonali eksperci z firmy światowej sławy — F. L. Smith.

Cementownia „Firley" ruszyła w lipcu 1925 roku. Gdy czerpiące zyski z eksportu cementu przedsiębiorstwa spostrzegły, że na rynku pojawił się nowy, groźny konkurent z bardzo wysokim gatunkiem cementu i bije wszystkie inne w kraju, a przy tym wytrzymuje konkurencje z zagranicznymi — szukają sposobów uwolnienia się od niego. Próby chemiczne w laboratoriach niemieckich i holenderskich przeszedł cement spod Rejowca zwycięsko, starano się więc zepchnąć go z rynku innymi drogami. W roku 1926 cementownie polskie w cichym porozumieniu obniżają ceny za swój towar. Cios był wymierzony celnie. Polski przemysł cementowy koncentrował się przeważnie w pobliżu śląskiej bazy węglowej, jedynie cementownia w Rejowcu musiała opłacać dalekie transporty miału węglowego, co odbijało się na kształtowaniu kosztów własnych. Obniżka cen, na której konkurenci nie tracili wiele, była dla cementowni „Firley" katastrofalna. Od tej chwili rozpoczynają się olbrzymie trudności finansowe. Spółka nie daje za wygraną i szuka wyjścia ze ślepej uliczki, w którą zapędzili ją konkurenci. Wyjście znalazła — kosztem robotnika. Prezesi dobrze pamiętali czasy budowy fabryki, okres dewaluacji, w którym manipulując dolarami postawili fabrykę za małe sumy. Za to robotnicy za tygodniowe wypłaty mogli kupić następnego dnia zaledwie bochenek chleba. Był wśród nich przecież H. Bankier, właściciel wielkiego młyna, a Wiktor Kutten prawnik kształcił się po to, aby wykorzystać całą swoją wiedzę dla zbijania fortuny drogą wyzysku. Doradził on, żeby otworzyć w cementowni sklepy, a należność za robotę wypłacać bonami, uprawniającymi do kredytu w tych sklepach. Zarobek miała teraz spółka podwójny: robotnik pracował bez pieniędzy, a w dodatku musiał nabywać towar, dostarczany przez spółkę po dyktowanych przez nią cenach. Wyrównywał więc swoją pracą i kieszenią straty, jakie ponosiła cementownia po obniżce cen cementu. Jeśli potrzebował koniecznie pieniędzy, dajmy na to na lekarza, musiał brać ze sklepu towar i odsprzedawać go handlarzom za połowę ceny. Ten podwójny wyzysk doprowadza robotników do ostatecznego kroku. W maju 1926 r. wybucha w cementowni strajk, załoga żąda wypłaty w pieniądzach, budowy łaźni, założenia ambulatorium i świetlicy. Po miesiącu kończy się ten strajk zwycięstwem robotnika, płace podwyższono, wybudowano łaźnię, a dopiero znacznie później zorganizowano ambulatorium. Sklepy spółki zamknięto, należność wypłacano w pieniądzach.

W latach 1927 — 1928 na rynku światowym następuje pewne ożywienie. Eksport cementu z Polski wzrasta z 41 do 150 tysięcy ton. Między spółką „Firley" i przeciwnikami dochodzi do porozumienia, zaczyna się wspólna pogoń za zyskiem pod egidą oficjalnego kartelu, który zdobywa rynki dalej położone jak Bałkany, Egipt, Mezopotamia, kraje bałtyckie i zamorskie. Robotnicy z Rejowca dobrze pamiętają list polskiego inżyniera z Argentyny, w którym opisywał swoją radość po ujrzeniu na obczyźnie beczki z polskim napisem i wychwalał wysoki gatunek cementu. Polski inżynier musiał wtedy szukać pracy za morzami, tak jak polski chłop, bo w kraju nie było za co budować.

Spółka „Firley" potrafiła się kosztem robotnika uchronić od bankructwa, ale nie potrafiła utrzymać się w czasie światowego kryzysu gospodarczego. W roku 1931 wyrzuca ona na bruk całą załogę cementowni. Ludzie wegetują początkowo na zasiłkach dla bezrobotnych, część robotników i urzędników idzie tłuc kamienie na szosach i otrzymuje za to wynagrodzenie od Sejmiku Powiatowego w Chełmie w soli i zbożu. Dopiero w roku 1934 rusza w cementowni jeden piec i pracuje z przerwami niepełny rok. Robotników przyjmuje się z powrotem do pracy na głodowych wypłatach. Poprawa daje się zauważyć dopiero w roku 1936, kiedy w Europie rozpoczynają się już przygotowania do wojny. Kartel cementowy (jako jeden z mniejszych) przestaje oficjalnie istnieć. Polskie władze kapitalistyczne rozwiązują go z kilku innymi, pozorując tym demagogicznym pociągnięciem dalszą grabież majątku i dochodu narodowego przez rekinów przemysłowych. „Ciche porozumienie" trwa jednak nadal aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Dla robotnika w planach i kalkulacjach spółki „Firley" nie było miejsca. Wydać jak najmniej, a wyeksploatować do ostateczności i zyskać jak najwięcej — było hasłem kartelu, w odpowiedni więc sposób potraktowano konieczną budowę osiedla robotniczego. Nie wszyscy robotnicy mogli dochodzić do pracy z Rejowca i okolicznych wsi, dlatego nabyto za bezcen od dziedzica Morawskiego grunty położone w niecce, zbierającej odpływowe wody z całego terenu. Tam wybudowano w rocznych odstępach czasu trzy bloki, w których gnieździło się w niesłychanej ciasnocie 100 rodzin. Po strajku jeden z baraków, służący początkowo jako mieszkanie dla załogi, przerobiono na świetlicę. Zdrowiem robotnika nie zaprzątano sobie uwagi. Dziś jeszcze pracują w cementowni ci, którzy wyciągali z silosu robotnika Szczupaka, uduszonego przez zwisy pyłu podczas oczyszczania zbiornika.

Maszyny i ludzi eksploatowano też do ostateczności w czasie okupacji. Nieoliwione tryby paliły się białym płomieniem, ale produkcji nie przerywano, byle dostarczyć jak najwięcej cementu na faszystowskie bunkry. W dniach panicznej ucieczki hitlerowców przed Armią Radziecką nie starcza wrogowi czasu na wywiercenie w murach fabryki otworów dla podminowania, zabiera tylko pasy transmisyjne. Załoga jednak czuwa, wie, że za wszelką cenę trzeba wypalić szlam w zbiornikach, bo jeśli stwardnieje — maszyny nie ruszą przez dłuższy czas.

PIĘKNE SŁOWO „POKÓJ" WYMAZUJE STARĄ NAZWĘ

Od owego wydarzenia datuje się w dziejach cementowni nowy okres, w którym zabiera głos eksploatowany przez dziesiątki lat robotnik i decyduje o produkcji. Załoga cementowni w Rejowcu, pierwsza na Lubelszczyźnie, rzuca wezwanie do uczczenia czynem Kongresu Zjednoczenia partii robotniczych i Międzynarodowego Dnia Pokoju — dostarcza w podjętych zobowiązaniach po 500 i 1.000 ton cementu na potrzeby budownictwa, zgłasza 26 pomysłów racjonalizatorskich w kilku latach. Przez wprowadzenie współzawodnictwa, w najprymitywniej urządzonej kopalni marglu na terenie całego kraju, zwiększa wydobycie o 20 proc. W 1948 roku zdobywa sztandar przechodni jako najlepsza załoga w Polsce.

We wrześniu 1949 roku pada na wiecu masowym, zwołanym przed Międzynarodowym Dniem Pokoju, taki wniosek jednego z robotników: „Nie godzimy się na to, aby nasza fabryka nosiła nazwę związaną z rodziną magnacką. Nazwa naszej fabryki powinna wiązać się ze sprawami, o które walczymy, dlatego wolą całej załogi jest nazwać ją cementownią „Pokój", bo to najpiękniejsze dla nas słowo".

Uchwała robotników znalazła się następnego dnia w prasie i wyraz „Firley" znikł ze słownika fabrycznego, mimo że biurokraci zapowiadali trudności w prawnym załatwieniu sprawy. Przez jakiś czas prowadzono jeszcze z nimi wojnę, w papierkach urzędowych pisano „Firley", a w prasie i cementowni mówiono „Pokój", ostatecznie wymazano nazwę z akt przy pomocy Ministerstwa Przemysłu Lekkiego.

„Kulą u nogi" była dla załogi fabrycznej kopalnia marglu. Wydobywano go tutaj, jak za króla Ćwieczka, kilofami na 18 hektarach, wypuszczonych niegdyś kapitalistycznej spółce w wieczystą dzierżawę przez dziedzica Morawskiego. Otaczają tę kopalnię wąwozy 20-metrowej wysokości, wykute przez robotników w stromej ścianie. Tacy rekordziści jak Izydor Kiełczewski i Kazimierz Andrzejewski wisieli na lince w powietrzu i bili kilofami w margiel. Zanim załadowano kilkanaście tonowych wagoników upływały całe godziny. Tak wyglądała „od strony kuchni" nowoczesna kapitalistyczna fabryka, o której wspaniałych urządzeniach rozpisywała się fachowa prasa kapitalistyczna. Mechanizacja i piece obrotowe — owszem były, ale tam szło o towar lepszej jakości (chodziło przecież o zysk). To samo dążenie kazało jednak w kopalni utrzymać pierwotne formy wydobywania surowca, ponieważ o siłę roboczą było najłatwiej, płaciło się robotnikowi najmniej, a gatunek marglu był zawsze ten sam, obojętnie jakim wydobywany sposobem. W kopalni sama załoga nie mogła nic usprawnić — tu trzeba było mechanizacji robót.

Doczekali się tych zmian już w drugim roku Wielkiego Planu, nazywanego również Planem Pokoju. Plan ten otworzył w historii cementowni nowy etap rozwoju. W sąsiedztwie wyrasta bliźniacza, budowana już systemem socjalistycznym fabryka — najmłodszy z cementowych trojaczków Wielkiego Planu — Rejowiec II, który za kilka lat dorówna w produkcji „Odrze" i „Wierzbicy".

Roboty w Rejowcu prowadzi inżynier Staniszewski, który pracował przez pięć lat na budowach radzieckich. Plany budowy to jego „konik" tym bardziej, że były opracowywane w oparciu o wzory i doświadczenia inżynierów radzieckich, wznoszących „Wierzbicę".

W kwietniu i maju kwitło jeszcze na terenie budowy żyto i zieleniły się kartofliska. W czerwcu 40-hektarowy plac przedstawiał wielkie rojowisko. Szyny kolejki wąskotorowej krzyżowały się z trasą setek chłopskich wozów, a jeśli nie wystarczała lokomotywa, zaprzęgano do wagoników parę koni. W ten sposób wydobyto sto tysięcy metrów sześciennych ziemi i usypano nasyp kolejowy pod bocznicę długości kilometra.

Przy robotach niwelacyjnych mieli najwięcej do powiedzenia „holendrzy" z powiatu bielskiego i włodawskiego. Tak nazywają tam chłopów, posiadających niebywałą umiejętność w kopaniu i ładowaniu ziemi. Według tradycji „holendrzy" są potomkami osadników z Holandii, którzy później budowali kanał Augustowski. Umiejętność ziemnych robót była widocznie przekazywana z pokolenia na pokolenie przez przodków wychowanych w walce z morzem o każdą piędź ziemi. Dlatego Tadeusz Wysocki z Włodawy, choć nosi nazwisko i imię po jakimś chodaczkowym szlachcicu, a z fizjognomii i postawy w niczym nie przypomina jasnowłosych olbrzymów znad morza, potrafi co dzień wyko-

Foto K. Wiernicki

Leokadia Malarczyk, Helena Banasik i Regina Guz (wyszkolone na budowie operatorki przy windach) żartują w czasie przerwy obiadowej z kolegami.

Przełożył ARTUR SANDAUER

SIĘ OTRUŁA

od „kulturalnej" ospy.
Wyjdź na ulicę,
aż oczy ćmi:
w każdej witrynie
burżujskie wybierki.
Jakiś kapelusz
z piórem „Grand-prix"
i
pokazują nosek
lakierki.
Na ulicach
pod wodzą Harry Peelów
zastawia sieć
nasze kino,
z naszej
rzeczywistości zawiłej
przenosząc
w krainę inną.
Żadnego tam Wańki,
żadnego Pieti,
same
Jeany,
same
Katy.
Prawiąc dusery,
mieląc jak młynki
ludzie
spełniają
szlachetne uczynki.
Pod rząd —
lordowie,
hrabiowie — pod rząd,
żyją
wśród różnych
wysokich sfer.
Zgwałcą
i mówią:
— Madame, pardon. —
Zarżną
i mówią:
— I thank you, sir. —
Na ekranie
każda —
hrabina co najmniej.
Kolią zabłyśnie,
wachlarzem machnie...
Jakże
się równać
z takimi hrabinami
fabrycznej Marychnie
czy Kachnie?
I prawią kawalery
nepmankom
dusery.
Lubią kawalery
paluszki z lakierem.
Umieją grać
te palce
na fortepianach
walce.
A w klubie odczyt —
dawka rycyny!
Międli co wlezie
spec od międlenia.
Rrraz —
„rewolucyjny",
dwa —
„rewolucyjny",
Lecz nie można —
aż do omdlenia.
Naprzeciw klubu —
drzwi piwiarni,

Od zgiełku
coraz parniej,
i gwarniej.
Stara się
wszelaka
muzyczna czeladź
fortepianić
i wiolonczelić.
Zajdźcie, kochani,
wstąpcie, kochanki,
łyknijcie,
proszę,
z pienistej szklanki.

CO?
Szynk
w pogardzie
mam ja.
Ale z tego
co wam?
Co doradzam w zamian,
by go powetować?
Dobre są
pocałunki
i wino,
i taniec.

Lecz...
i poezja jest winem,
i jeżeli
dla niej
choć raz
prawdziwie
dusza rozgorzała,
już
nie zastąpi wam jej
żadne chlanie,
żadne piwsko,
żadna gorzała.
Pamiętaj codziennie,
żeś ty —
twórca
nowych stosunków
i nowych miłości,
a stanie się nieważną
sercowa awanturka
z jakąś tam Lubą
jakiegoś tam Kosti.
Można —
rękawiczki,
można —
torebki,
można
kapelusze wsadzić na łebki.

Lecz nie ma
na świecie
piękniejszej odzieży
od brązu muskułów
i cery świeżej.

I jeśli
staniecie
zgrabni i czyści,
jakibądź garnitur
wam krawiec uszyje,
najmilsze dziewczęta
w naszej ojczyźnie
same
rzucą się
wam
na szyję.

pać i przewieźć z pomocnikiem 20 metrów sześciennych ziemi.

POJEDYNEK NA ŁOPATY

Wygrał ten Wysocki zakład, o którym mówiło się cały tydzień na budowie, chociaż tutaj każdy dzień przynosi coś nowego. Przechwalał się raz chłop z Marynina, rosły i mocny jak tur, że robotę Wysockiego odwali bez wysiłku.

— Możemy popróbować — powiedział Wysocki — jeśli jutro wykopiesz i załadujesz tyle co ja, oddam ci mój dzienny zarobek. Pyszałek warunki przyjął, zapowiadając z góry poczęstunek za wygraną i następnego dnia stanął do roboty. Na budowie szło wszystko zwykłym trybem, ale zakładników śledziło sto par oczu furmanów, a „komunikatów" z przebiegu tego oryginalnego pojedynku słuchało trzykrotnie więcej par uszu.

Z początku chłop z Marynina górował. Pracował z wielką fantazją, łopata śmigała mu tylko w rękach, a ziemia dudniła o dno skrzyni. Wysocki za to po cichutku jak mrówka grzebał się w marglu i sypał go nieustannie na swój wóz.

— Nie da mu rady, za ostro sobie poczyna — od razu zawyrokowali bardziej doświadczeni. Ale tur z Marynina nie dawał się przez dobre trzy godziny. W południe wyraźnie już osłabił tempo, włosy sklejał mu pot, zrzucił ciepłe okrycie, choć wiatr smagał ostry. „Holender" machał dalej równiuśko łopatą jak piórkiem i nawet nie zarumienił się.

— „Puchnie ten z Marynina" — poszedł w obieg komunikat. Poczęstunek był dla znajomków stracony. Wieczorem zmordowany chłop ledwie dokończył ładowania, a Wysocki wysypał już pięć metrów więcej od niego. Okrążyli ich robotnicy, padały uwagi.

— Nie siła tu odgrywa rolę, ale metoda pracy — tłumaczył „holender". Jeśli nie chcemy się zmęczyć, trzeba oszczędzać się w ruchu. Popatrzcie na moją łopatę. Jest dostosowana do tej pracy. Trzon ma krótszy od waszego i lekko wygięty, sama jest większa i po brzegach wyostrzona — idzie w margiel jak w masło. A teraz zobaczcie, jak to robię!

Miał Wysocki właściwy tylko sobie sposób trzymania swojej łopaty, tak że w czasie roboty zamieniał trzon na dźwignię dwuramienną i w ten sposób rozkładał ciężar.

Taką samą sprawnością jak Wysocki odznaczało się wielu „holendrów", a między nimi Chorąży, też z Włodawy. Obaj z Wysockim nie ustępowali w wytrwałości swoim niewielkim, włochatym konikom, dźwigającym na szyjach drewniane kabłąki. Byli bezkonkurencyjni, dopóki na budowie nie pojawiła się radziecka koparka.

Stoi sobie przy stromym brzegu zgrabna i obrotna jak gdyby ładowała jednym zamachem kilogramy a nie tonę. Kierowca w kabinie naciska sprzęgło i żelazne ni to pazury, ni to kły, wbijają się w ziemię, zagarniają z 10 kwintali do czerpaka. Mechanik znów coś majstruje, żelazne ramię zatacza łuk w powietrzu, potem wyrzuca do wagonika zawartość łyżki. Cała operacja trwa kilkanaście minut i załadowany pociąg rusza do starej cementowni. Pomaga się w ten sposób robotnikom starej kopalni.

Od sprawnej maszyny trudno oderwać oczy, jednak inżynier Staniszewski wsiada znów „na swojego konika" i prawi ciekawe rzeczy o swojej budowie.

— Pokłady marglu są tutaj nieprzebrane, starczy ich na jakich 500 lat, bo cały Rejowiec i okoliczne wsie stoją na marglu i to takim, który daje pierwszorzędny portlandzki cement. Starą fabrykę budowali inaczej niż my, ponieważ liczyli wtedy wyłącznie na zyski. Nowa cementownia produkować będzie trzykrotnie więcej od istniejącej, a praca w niej będzie całkowicie zmechanizowana. Kwalifikacje robotnika muszą być tak wysokie, żeby potrafił obsłużyć najbardziej skomplikowane mechanizmy, gdyż nie będzie w fabryce ani jednego odcinka produkcji ręcznej. Węgla do fabryki dostarczać będzie wywrotnica wagonowa, a rozprowadzi go transporter taśmowy. Zamiast łamania marglu „babką" (jak to robi się dotychczas w cementowni „Pokój"). puścimy go na specjalne maszyny. Szlam będzie dopływał do obu fabryk przewodem rurowym, nowoczesne ekshaustory będą tłoczyć do palenisk powietrze. Produkcja obu cementowni dorówna wydajności „Odry" i „Wierzbicy", a może je przewyższy. Montaż maszyn rozpoczniemy już w kwietniu tego roku. Ot, tam przygotowuje się pod nie fundamenty.

WIELKA SZKOŁA

Fundamenty wielkiej hali pieców sięgają kilkanaście metrów w głąb ziemi. Głębokie na dwa piętra doły pochłonęły setki metrów sześciennych „chudego" betonu, na który kładzie się dopiero beton normalny. W regularnych odstępach sterczy wśród szalowań 9 potężnych bloków, trzeba jeszcze postawić takich sześć prostopadłościanów, przypominających z daleka fantastyczne zapory przeciwczołgowe. Na dole nie widać pracujących ludzi, tylko szum elektrycznej windy, wyciągającej co kilka minut załadowane marglem taczki, mówi, że robota nie ustaje. Windę obsługuje zdrowa jak rydz dziewczyna — Leokadia Malarczyk. Jest takich operatorek na budowie trzy, wszystkie wyszkolono na miejscu.

Żaden chyba z chłopów przybyłych na robotę z Morawinka, Siedliszcza, Zalesia Krasieńskiego, Żabna, Stasina, Zawadówki, Marynina czy Izbienia nie ceni sobie tak wysoko zdobytej pracy jak Antoni Koń — niemowa. Bo też i życie tego 45-letniego kaleki w niczym nie różniło się od wegetacji zwierzęcia pociągowego u złego gospodarza. Komuż był potrzebny upośledzony już przez samą naturę biedak — Antoni Koń? Kiedy szedł przez wieś, dzieci wrzeszczały z daleka „niemowa idzie!", a potem chowały się za opłotki, żeby nie oberwać od starszych. Nikt nie śpieszył się przyjmować Konia do roboty, chociaż jeździł jej szukać nawet do województw zachodnich. Późną wiosną spotkał Konia niedaleko placu budowy dzisiejszy przewodniczący rady zakładowej, tow. Henryk Kazimierczak. Błagalne gesty chłopa zwróciły jego uwagę, zrozumiał, że biedakowi chodzi o pracę. Zaprowadził Antoniego Konia do biura i pośredniczył przy zatrudnieniu. Dziś Antoni Koń przekracza wysoko normy w zespole murarskim jako pomocnik i z dumą pokazuje książeczkę oszczędnościową z wpisaną premią.

W czasie przerwy obiadowej wpadł do biura szczupły, mizerny brunet i miął w zdenerwowaniu czapkę w ręku.

— Tak dalej być nie może! Wiecie dobrze, jakie otrzymałem zadanie — oczyścić rampę z materiałów. Wczoraj obiecaliście mi, że dostanę tyle wozów, ile potrzeba, dziś nie przyjechała połowa wyznaczonych ludzi. Ja takiego bałaganu znieść nie mogę. Jestem brygadzistą-stolarzem i kierownictwo z Chełma przysłało mnie tutaj tylko dlatego, że lekarze po operacji zabronili mi przez rok ciężko fizycznie pracować. Ci „nowi" ze wsi kombinują sobie, że lepiej opłaca się pracować z końmi przy wyładunku maszyn i na rampę nie przyjeżdżają, gdy trzeba zwozić materiały. Ot, w tym cały sęk, że nie rozumieją, jak opóźniają budowę przez takie kombinacje. Ale ja na nich znajdę już radę, zorganizują z woźniców brygadę transportową i podpiszą umowę o współzawodnictwie pracy. Skończy się z tym przyjeżdżaniem ze wsi na robotę kiedy im się podoba. Muszą nauczyć się dyscypliny, bo bez niej niesposób budować fabryki.

Skończyło się na zwolnieniu z pracy kilku kombinatorów i powstaniu brygady transportowej. W takich to sytuacjach uczy się dyscypliny nie przywykły jeszcze do systematycznej pracy chłop.

Poczucie odpowiedzialności za spełnienie wyznaczonych zadań zrodziło się w tym kilkusetosobowym kolektywie już w pierwszych miesiącach robót. Na Rejowiec II, „najmłodszą", a drugą co do wielkości budowę po Lubelskiej Fabryce Samochodów Ciężarowych na Lubelszczyźnie, nie od razu przychodziły wszystkie dostawy materiałów w terminie. Kilka opóźnień i słaby początkowo napływ ludzi do pracy sprawiły, że roboty pozostały w tyle za harmonogramem.

Co robi w takiej sytuacji nowoskleconv kolektyw?

Zbiera się 12 listopada i podejmuje zobowiązania, zmierzające do wykonania planu robót na rok 1951 w terminie. Współzawodniczą z sobą brygady, które prowadzi zespół ciesielski Białowicza i murarski Świetlickiego. Gdyby nie zobowiązania, nie stanęłaby do zimy pod dachem parowozownia, nie byłoby fundamentów pod warsztaty i ścian w garażach. Rzecz jasna, że bez intensywnej mechanizacji robót nie nadrobiliby zaległości. Przy hali pieców pracuje w dzień i noc betoniarka, prawdziwy kombinat, wyrzucający co godzina 80 metrów sześciennych masy betonowej.

„PIERWSZY KROK"

W południe zauważyliśmy naszego wąsatego znajomego z pociągu w stołówce robotniczej, wykorzystywanej wieczorem na świetlicę, dopóki nie stanie oddzielny budynek. Cementownia Rejowiec II będzie się różnić jeszcze tym od starszej, że świetlica stanie tutaj wcześniej od fabryki, podczas gdy tam robotnicy musieli walczyć o nią w miesięcznym strajku. W przedwojennej cementowni robotnik w południe przysiadał gdzieś w kąciku i zjadał w pośpiechu z garnuszka, co przyniosły mu dzieci albo żona. Na budowie podają do stołu ubrane biało kelnerki, a spać się idzie do hotelu robotniczego, gdyż przed rozpoczęciem robót stanęło tutaj osiem murowanych budynków dla 800 ludzi.

Ale nasz znajomy śpieszył się mocno, chociaż usługiwała mu milutka dziewczyna i na obiad było mięso, które tutaj jada się prawie co dzień. Zjadł co było na talerzu, otarł wąsy i trącił łokciem młodego sąsiada.

— Antoś, może by tak skoczyć do koparki? Zostało jeszcze trochę czasu.

Antosiowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Zastukały po sosnowej podłodze buty i tyle było ich widać. Przez okno zauważyliśmy, że skręcili w stronę starej kopalni, tej, której nie opłacało się zmechanizować spółce „Firley". Poszliśmy za nimi.

Wielka kotlina, obramowana prawie prostopadłymi ścianami wykutymi kilofem, młała w sobie coś z krajobrazu księżycowego. Białe, strome wąwozy i równe jak stół dno przypominały łudząco powiększone zdjęcia z powierzchni nierozdzielnego towarzysza globu ziemskiego. Szare ołowiane niebo i delikatny rysunek sosnowego lasu na skraju horyzontu potęgowały wrażenie. Strome ściany otwierały się z jednej strony i tamtędy sunęła jak potworny żuk, łomocząc gąsienicami, maszyna, którą nabił sobie głowę wąsacz z wagonu.

— A widzisz, utorowała sobie drogę — doszła nas rozmowa, gdy dogoniliśmy uciekinierów ze stołówki. Podeszli do sporej grupki ludzi, którzy też przyszli przyjrzeć się próbie zmechanizowania starej kopalni

— Może wsiądziecie na mój samochodzik — zapraszał żartobliwie nowoupieczony kierowca kolosa — Henryk Karaś, do niedawna szofer w starej cementowni. Biała tabliczka na koparce i na niej jeden wyraz „Skoda" mówił, aż nadto wyraźnie, skąd przybyła maszyna. „Nie zbliżać się do łyżki, kiedy maszyna w ruchu" — ostrzegały już po polsku drobne literki.

— Ładna łyżka — podśmiechiwali się robotnicy — dwie i pół tony bierze na raz.

A tymczasem pierwsza brygada z cementowni Rejowiec II przygotowała się do uruchomienia koparki. Elektrotechnik wdrapał się jak kot na słup i włączył kabel do linii elektrycznej. Na dachu koparki, mniej więcej na wysokości piętra, krzątało się dwóch chłopców. Oliwili masywne ramię dźwigu.

— Na cały miesiąc starczyłoby w chałupie nafty z takiej jednej bańki — mruczał nasz gospodarz. Jasne było już, dlaczego interesował się koparką. Patrzył, jak na budowę zajeżdżały całe pociągi z wyposażeniem dla nowej cementowni. Skrzynie, bębny, kotły i mnóstwo żelaznych części zajęło już całe hektary za hotelami robotniczymi. Widział na nich ten sam napis, jaki widnieje na maszynach w cementowni Pokój. Oglądał części pieca rotacyjnego. Na jednej z nich odczytał liczbę 22.800 t. Ileż to musi dźwigać jeden filar betonowy w hali pieców — zastanawiał się. Wiedział, że ściany hali staną dopiero po zmontowaniu maszyn, bo wprowadzić takie „smoki" w mury nie było sposobu. Wśród skrzyń znalazł też czeski napis „Skoda". W nich przyszły części do trzech koparek.

Obywatela czechosłowackiego Jarosława Klessę powitało przed kilku tygodniami na stacji w Rejowcu ośmiu młodych ślusarzy z warsztatów cementowni „Pokój". Zgłosili się całą brygadą na ochotnika do montażu koparki, a porozumieli z łatwością. I oni, i gość chcieli jak najprędzej zmontować maszynę. Klessa komenderował i pokazywał, a chłopcy robili. Potwierdziło się to, co powiadali starzy robotnicy — że Polacy to naród pojętny. Brygadzista Rudolf Niemiec z Rejowca i jego siedmiu ludzi — Glanc, Góra, Dolecki, Sapieha, Śmigasiewicz i Smyk zmontowali olbrzyma w 2.700 godzinach wyprzedzając harmonogram o 800 godzin.

W ostatnich dniach o koparce mówiło się na budowie i w cementowni. Da radę czy nie? Trzeba będzie kopać „ze strzelaniem" (tak określa się w cementowni rozsadzanie marglu środkami wybuchowymi) czy też nie? Wjedzie do kopalni dziś czy też dopiero za tydzień?

Maszyna utorowała sobie drogę w ciągu kilku godzin. Gdy do oszklonej kabiny wchodził Jarosław Klessa, ludzie odsunęli się dalej. Zagrzechotały puste wagoniki na szynach, pociąg zajechał po ładunek. Ciche brzęczenie sygnalizowało, że kierowca włączył prąd.

— Sześć tysięcy wolt, bagatela — mruczeli inżynierowie. A reszta czekała jeszcze ciągle na to, jak da sobie radę Czech z ładowaniem. Wagoniki miały przecież pojemność jednej tony, a łyżka nabierała dwie i pół na raz.

Tymczasem łyżka wbiła się żelaznymi zębami w margiel. Od skały oderwała się miękka bryła i zniknęła w zamykającej się paszczy. (Udało się bez „strzelania"). Żelazne ramię wykonało obrót i ładunek zawisł nad wagonikiem. Sypiący się margiel dudnił o blachę. Kiedy już zdawało się, że wysypie się za brzegi, błyskawicznie opadła klapa. Łyżka zamknęła się, ramię cofnęło się o dwa metry i reszta spadła do następnego wagoniku.

Inżynier stojący przede mną zagwizdał cicho. — Wirtuoz nie mechanik.

Pociąg był naładowany w kilkunastu minutach. Skończyły się kłopoty cementowni „Pokój" z kopalnią. Ludzie uciekali od tej roboty, bo na budowie była ciekawsza. Teraz koparka wykona w ciągu godziny pracę 30 ludzi. Henryk Karaś wprawdzie jeszcze nieprędko będzie tak ładował jak Jarosław Klessa, ale już porozumiano się z załogą „Wierzbicy" w sprawie przysłania „kosza", który pozwoli wyładować z łyżki do dwóch wagoników równocześnie.

Tak wyglądało zmechanizowanie kopalni marglu, która przestała być „kulą u nogi" dla cementowni „Pokój". Bez uroczystych mów i okrzyków, bo na socjalistycznych budowach dzieją się rzeczy dotąd nieznane prawie co dzień. Koparka miała być uruchomiona dopiero w roku 1952, ale to pamiętał tylko inżynier. Nowa cementownia zmechanizowała roboty w starej kopalni na dwa lata przed uruchomieniem swoich pieców.

Jarosław Klessa wracał z kopalni razem z brygadzistą Niemcem i kierowcą Karasiem. Gwizdał swój hymn narodowy „Gdzie dom jest mój". Wszyscy trzej czuli się jak zwycięzcy po pierwszej potyczce z trudnościami. Dokonali „pierwszego kroku".

✠

Wieczorem w pociągu mówiło się też tylko o próbie. Wąsacz słuchał wszystkiego i zapytał w końcu z nutką powątpiewania w głosie: — A mój Jasiek też tak kiedyś potrafi? — Miał syna w szkole przemysłu cementowego przy fabryce „Pokój".

Pytał chłop spod Rejowca. Patrzenia w przyszłość nauczył się on na wielkiej budowie. Tam świetlne kule znów pływały w wieczornej mgle, a na murach garaży poruszały się ciemne sylwetki. Brygady murarskie nie chciały mieć zaległości, śpieszyły się z wykonaniem zobowiązań.

Krystyna Pałys

LUCJAN WOLANOWSKI

Kontrasty i porównania

Przypadło mi niedawno zadanie omówienia na zebraniu sekcji reportażu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich działu reportaży jednego z wielkich dzienników warszawskich. Pragnąc dać w mym referacie pewne założenia teoretyczne, przystąpiłem do wertowania literatury prasoznawczej.

Zacząłem — przyznaję, że dość naiwnie — od licznych książek z dziedziny dziennikarstwa, jakie ukazały się na Zachodzie: po prostu przyjąłem ilość za jakość. Przestudiowanie kilkunastu poważnych prac „pouczyło" mnie, jak należy pisać reportaże o skandalach erotycznych tak, by nie narazić się na proces o zniesławienie (podręcznik made in USA), przeczytałem też francuską pracę pod frapującym tytułem „Jak zostać dziennikarzem w 20 lekcjach"? (i pomyśleć, że ci niepraktyczni Polacy zaprzątają młode umysły na uniwersytecie przez 4 długie lata, by dać pewne podstawy do zawodu dziennikarskiego...). Najbardziej jednak pouczająca (bez cudzysłowu) była dla mnie wydana w USA przed czterema laty antologia reportażu amerykańskiego. Dlaczego pouczająca? Zaraz będzie i o tym.

REPORTAŻ ŚMIERCI I ZAGŁADY

Otóż dzieło to obejmuje 34 najlepsze — zdaniem wydawcy Warda Greene — reportaże, jakie ukazały się w prasie amerykańskiej na przestrzeni z górą 80 minionych lat. 80 lat to — zwłaszcza w dziejach tak młodego jak Stany Zjednoczone państwa — wielki szmat czasu. Czytałem, aby dowiedzieć się, co opracowujący antologię uznał za najlepsze wśród dorobku reportażystów amerykańskich w tym okresie.

Zbiór zawiera dwa reportaże z egzekucji (jeden z nich pod obiecującym tytułem „Kobieta płonie" podaje szczegółowo, jak młoda kobieta ginie straszliwie poparzona na krześle elektrycznym), dwa reportaże opisują sceny lynchu, dwa reportaże „z łezką" obrazują pogrzeby (nieboszczycy: śpiewaczka i kardynał), dwa — katastrofy okrętowe, jeden reportaż mówi o kombinacjach gangsterskich podczas prohibicji, inny znów opisuje zastrzelenie przez policję osławionego bandyty Dillingera. Autor jednego z reportaży opowiada o Ku-klux-klanie, oblekając tę zbrodniczą szajkę w szaty taniego romantyzmu i mistycznego hokus-pokus. Dwa reportaże sądowe dotyczą spraw kryminalnych — cesią jednego z nich są zeznania kobiety, opowiadającej, jak w dzieciństwie została zgwałcona. Jeden reportaż opisuje powódź, a kilka — wydarzenia sportowe. Niezmiernie też charakterystyczne jest potraktowanie tematyki wojennej.

EDZIO GRA W KOŚCI

Wiadomo bowiem powszechnie, że podczas ostatniej wojny żołnierze amerykańscy walczyli na wielu frontach. Wydawałoby się więc, że antologia poświęci tej tematyce kilka pozycji reportażu wojennego — chociażby pióra poległego na jednej z wysp Pacyfiku słynnego Ernie Pyle ze zbioru „To jest wasza wojna".

Jednak wydawca wolał zamieścić jeden tylko reportaż z II-ej wojny światowej! Wybór zresztą dość osobliwy. Jest to historia szeregowca amerykańskiego imieniem Eddie, który przybywa na Wyspy Brytyjskie. Dzielny Amerykanin rusza do knajpy, gdzie grają w kości. Przoduje w tej grze pewien Polak — ale Edzio rozgromił go szybko. Wydawca wyjaśnia w komentarzu, że w 1943 r. reportaż ten został podmorskim kablem nadany w całości do Nowego Jorku — widocznie w obawie, że czytelnicy mogliby otrzymać dopiero po kilku dniach tę wiadomość o pierwszym sukcesie amerykańskiego oręża w Europie.

Ogółem biorąc, poza kilku pozycjami (spotkanie Stanleya z Livingstonem w sercu Afryki, czy lot Lindbergha nad Atlantykiem), reportaże zawarte w antologii opiewają śmierć, zagładę, zbrodnię i zniszczenie.

Czy znaczy to, że w dziennikarstwie amerykańskim nie było ludzkich, mądrych reportaży o człowieku, jego walce i trudzie? Przekonany jestem, że pozostały jakieś świadectwa dziennikarskie z tej epoki, kiedy to mówiono w Ameryce: „Jedź na Zachód, młody człowieku, i rośnij wraz z krajem"; niezawodnie istnieją też reportaże o walkach brygady imienia Abrahama Lincolna w obronie ludu hiszpańskiego czy reportaże o sprawie Sacco i Vanzetti — ale te nie weszły do antologii. Rok jej wydania wiele nam wyjaśnia. W roku 1948 nie było bowiem miejsca w antologii reportażu amerykańskiego na sprawy nie związane z zagładą, pożogą i śmiercią.

Dla porównania wspomnę, że wydana w zeszłym roku w Polsce antologia naszego powojennego reportażu krajowego („Most" — opracował Kazimierz Koźniewski), jakkolwiek może wzbudzać pewne zastrzeżenia odnośnie niektórych — zamieszczonych i niezamieszczonych — pozycji, to jednak oddaje wiernie oblicze współczesnego reportażu polskiego. Odbudowa kraju, współzawodnictwo pracy, uprzemysłowienie, przemiany na wsi, ujarzmianie przyrody, walka z analfabetyzmem, oto tylko kilka charakterystycznych tematów, które mieli na warsztacie reportażyści polscy. Wydaje mi się, że choćby zestawienie tematyki tych dwu antologii pokazuje jasno i wyraźnie, którędy przebiega granica między obozem pokoju i postępu a obozem wojny i wstecznictwa, pokazuje, gdzie myśl bieży ku sprawom życia, a gdzie epos śmierci i zagłady frapuje wydawcę opracowującego antologię.

PRÓBA KRYTERIÓW

Za podstawę do rozważań nad poszczególnymi reportażami w naszej prasie codziennej przyjąłbym następujące kryteria: 1) Siłę przekonywania. 2) Słuszność oceny opisywanych zjawisk. 3) Stopień zainteresowania, jaki przez opracowanie tematu autor zdoła wzbudzić u czytelnika — ocena barwności stylu, kompozycji, obrazowości opisu, prostoty języka. 4) Uwzględnienie przez autora ewentualnej kontrargumentacji czytelnika.

Nie da się oddzielić w reportażu sprawy formy od sprawy treści. Nie ma nudnych tematów — są tylko nudni reportażyści. Reportaż o najbardziej głębokiej i słusznej treści nie spełni swej funkcji politycznej, a więc zasłuży na ujemną ocenę, jeżeli napisany będzie nudnym i mentorskim stylem, jeżeli autor nie rozwinie swych wywodów w sposób żywy i przekonywający. Na odwrót — majstersztyk stylu, żywy i obrazowo napisany reportaż, będzie bezwartościowy, jeżeli autor sam nie zgłębił omawianego zagadnienia, jeżeli za parawanem pięknych słów kryje się mętniactwo i uboga treść, jeżeli są błędy faktyczne, jeżeli autor nie potrafił dotrzeć do sedna sprawy i naświetlić jej z żarliwością godną naszych czasów.

PRÓBA OCENY

Przed rokiem narada twórcza reportażystów Ukrainy zastanawiała się nad problemami: dlaczego reportaże napisane przed laty o inicjatorach ruchu stachanowskiego — Stachanowie czy Paszy Angelinej — nie wytrzymały próby czasu. Jak podała „Litieraturnaja Gazieta" (nr 76 — 1951), dyskutanci doszli do wniosku, że jakkolwiek reportaże sumiennie opisywały życie i metody pracy stachanowców — to jednak nie sięgnęły głębiej. Nie odpowiadały one bowiem na najistotniejsze pytanie: „Dlaczego właściwie stachanowcy zdecydowali się na nowy styl pracy"? Autorzy tych reportaży nie dostrzegli po prostu procesu narodzin nowego człowieka, nie ujawnili jego świata wewnętrznego.

Sądzę, że za kilkanaście lat wnikliwy krytyk podobnie oceni reportaże zamieszczone we współczesnej nam prasie polskiej. Nasz reportaż bowiem, jakkolwiek zrobił wielki krok naprzód na przestrzeni ostatnich kilku lat, ciągle jeszcze cierpi na pewne oddalenie od spraw człowieka — spraw, o których trzeba opowiadać prostym, bezpośrednim, ludzkim językiem. Uważam, że daliśmy się zbytnio pochłonąć zawrotnemu tempu samych wydarzeń, a nie wnikamy dostatecznie w życie i myśli tych, którzy tworzą historię, którzy są twórcami opisywanych przez nas wydarzeń.

SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH

Szczegółowe scharakteryzowanie sytuacji w polskim współczesnym reportażu gazetowym wykracza poza ramy niniejszych uwag, ograniczę się przeto do naszkicowania zasadniczych „grzechów" tego niezmiernie ważnego działu — dysponuję bogatym materiałem dowodowym na poparcie każdej z tez.

Głównym grzechem nazwałbym schematyzm, który w niektórych jaskrawych wypadkach przeradza się wprost w „radosną twórczość". Trafiają się jeszcze reportaże o dziarskich robotnikach, którzy okazują krzepę w każdej okoliczności i gdzie wszystko kończy się zawsze happy-endem. Bohaterowie reportażu mówią sloganami, niedawni analfabeci używają w rozmowie naukowych terminów; wszystko razem robi wrażenie nie reportażu, ale uroczystej akademii — tylko bez części artystycznej.

Sprawa języka. Zapominamy często, że niesłychany wzrost nakładów czasopism w Polsce nie wynikł stąd, że inteligent kupuje dziesięć gazet zamiast jednej — lecz przede wszystkim stąd, że rozszerzył się krąg czytelników, że gazeta dociera do ludzi, którzy dopiero niedawno posiedli sztukę czytania, którzy posiadają bardzo nieraz ograniczone wykształcenie. Mówienie do takich ludzi obowiązuje do używania języka prostego, jasnego, do unikania tych nowotworów złośliwych naszej mowy, które rodzą się zwykle na pożywce straszliwego żargonu urzędowego. Do takich ludzi trzeba przemawiać bezpośrednio — ale bez protekcjonalnego poklepywania po ramieniu, jak to się jeszcze niekiedy zdarza.

Do jasności języka nie przyczynia się też bynajmniej używanie specjalnych terminów fachowych, które dla olbrzymiej większości czytelników nic nie znaczą. Sugerujemy się bowiem niekiedy własną pracą nad danym zagadnieniem i zdaje nam się, że jest ono zrozumiałe i przystępne dla ogółu. Zdarza się też — osobliwie w reportażach o tematyce wiejskiej — że autorzy starają się posługiwać wątpliwej jakości gwarą lokalną, w której jednak nie są zbyt pewni siebie. Stwarza to w konsekwencji element niezamierzonego humoru, który w równej mierze szkodzi jakości reportażu, jak poprawia ją szczery, na właściwym miejscu umieszczony uśmiech.

Mamy też jeszcze wypadki zwykłej fuszerki, zwykłego „bujania", które wynika bądź z niezrozumienia pewnych zagadnień, bądź też po prostu — co jest szczególnie bolesne — z podawania zmyślonych faktów i wkładanie w usta bohaterów reportażu słów, których nigdy nie wypowiedzieli. Reportaże takie wyrządzają nam wszystkim wielką krzywdę; nie widać jeszcze pełni poczucia odpowiedzialności za słowo pisane dla milionów czytelników.

Stylowi naszemu brak jeszcze dostatecznej barwy i żywości, nie zawsze udaje się nam podkreślenie prostymi środkami kolorytu lokalnego środowiska. Nie zawsze reportaż nasz pozbawiony jest zbędnych szczegółów, które są tylko balastem a nie dodają znamion autentyczności.

Dobór tematów nie zawsze jest trafny. Są też jeszcze tereny naszego kraju, na które nie dotarł reportażysta, są jeszcze dziedziny naszego życia, leżące odłogiem w spisie zainteresowań reportażu krajowego.

Wydaje się też, że reportaż jest tą dziedziną, w której ciągle jeszcze widzi się zbyt mało nowych nazwisk, gdzie do czołówki z rzadka tylko doszlusuje ktoś nowy. Redakcje niezbyt śmiało powierzają jeszcze odpowiedzialne zadania młodym reportażystom. Niezbyt jeszcze dostatecznie stosowane są tak celowe metody szkolenia młodego narybku jak wysyłanie w teren wespół z bardziej doświadczonymi autorami i polecenia dublowania tego samego tematu: porównanie opracowań może dać wiele zarówno redakcji jak i zainteresowanym reportażystom.

PRÓBA POPRAWY

Uważam, że wiele dobrego powinny przynieść reportażowi polskiemu dyskusje w odpowiednich sekcjach Związku Literatów i Stowarzyszenia Dziennikarzy pod warunkiem jednak, że — zwłaszcza u dziennikarzy — nie ograniczą się tylko do Warszawy, a obejmą również ośrodki prowincjonalne.

Reportażowi powinny też poświęcić więcej uwagi wydziały dziennikarskie na uniwersytetach, gdzie sprawy te traktowane są trochę po macoszemu.

Odpowiednie planowanie reportaży powinno udostępnić autorom więcej materiału i zmniejszyć konieczność pośpiechu, który nie zawsze wychodzi reportażom na dobre.

Nowe życie tchnęłaby w reportaż polski współpraca czołowych literatów. Polewoj, Paustowski, Simonow — oto tylko kilku czołowych literatów radzieckich, których podpisy znajdujemy pod reportażami w prasie. U nas ta właśnie forma twórczości przyciągnęła do gazety dopiero niewielu literatów. Jak ciekawy musiałby być reportaż Iwaszkiewicza czy Andrzejewskiego!

W tej chwili w całej Polsce maszyny drukarskie rzucają na kraj milionowe nakłady dzienników, czasopism, drukują się reportaże zaklęte w sunącą papierową taśmę czarnymi znakami czcionek. Reportażyści przejeżdżają codziennie tysiące kilometrów rzemiennym dyszlem, by pokazać zachodzące przemiany i uwidocznić ich cały sens. Ciężka to i odpowiedzialna praca.

Piszemy o sprawach człowieka. Tylko od nas zależy, by sprawy te przedstawić prosto i jasno, śmiało i rzetelnie.

Lucjan Wolanowski

Leon Kruczkowski
PRAWO DO KULTURY
str. 38 zł 1,80

Stanisław Szenic
GENERAŁOWIE I HITLER
str. 151 zł 7,—

Otto Grotewohl
PO TRZYDZIESTU LATACH
str. 169 zł 6,70

M. L. Szyfman
SĄDOWNICTWO USA I KRAJÓW ZMARSHALIZOWANYCH
str. 65 zł 2,80

Janusz Gołębiowski
ZUBOŻENIE KRAJÓW KAPITALISTYCZNYCH W WYNIKU ZBROJEŃ
str. 73 zł 4,60

Witold Zalewski
URODZAJ
str. 81 zł 4,50

„CZYTELNIK"

ANTONINA VALLENTIN
Leonardo da Vinci
Tłum. z angielskiego S. Sielski
Str. 475, tabl. 32 płótno zł 24.—
„KSIĄŻKA I WIEDZA"

GRZEGORZ LASOTA

DYSKUSJA O POEZJI

Kiedy dwóch mówi to samo — to nie jest to samo

I

Wydaje się, że wiele nieporozumień dotyczących współczesnej poezji zamknięte zostało w znanym przysłowiu, że kiedy dwóch mówi to samo, nie zawsze jest to samo.

Walka o wyższą jakość naszej literatury często służy niestety jako zasłona dymna, zza której oddawane są na oślep strzały, z pozycyj zupełnie nam obcych. Nieraz nieporozumienia stają się tak jaskrawe, że podziw bierze, jak można przy pomocy rzekomo marksistowskiej metody i terminologii dochodzić do opacznych i dziwacznych wniosków. Oto znany i bynajmniej przecież nie wrogi nam krytyk Henryk Vogler w 28 numerze „Życia Literackiego", omawiając twórczość Kubiaka, całą swoją uwagę skupia na kilku jego wierszach pisząc co następuje:

„Inny rodzaj oryginalnej i odrębnej w naszej młodej poezji współczesnej racjonalistyczno - realistycznej transkrypcji liryzmu stanowi „Co się zdarzyło w hotelu „Różanka". Nie najszczęśliwiej i prymitywnie jeszcze — jak to stwierdzono wyżej — kojarzone poprzednio elementy tworzą tutaj wyjątkowo świeży i czysty step poetycki... Rysopis małego miasteczka, knajpy hotelowej, wrogiej kompanii handlarzy i lumpów, pijaków i karciarzy, szynkarza i jego dwóch córek, a obok tego wiec robotniczy, na którym poeta głosi ideologię Partii — nakreślony jest z olśniewającą przenikliwością realiów, zdumiewającą przy tych nieledwie muśnięciach piórkiem. Ta przykładowa zwięzłość i jednoznaczność materiału językowego jest samym czystym rdzeniem poezji, tym co nazwałbym bezpośrednią mową liryczną. Istotną cechą tego typu poezji jest właśnie to, że w drugiej jej warstwie, we właściwym obrazie poetyckim, nie ma niczego ponad tym, co się już znajdowało w warstwie pierwszej. Ludowa balladowość rytmu — która jest tutaj już dobrze wytrawioną resztką dotychczasowej mechanicznej śpiewności — nadaje tylko potrzebną atmosferę, ale całość do tej atmosfery się nie ogranicza. W zakończeniu następuje jej przezwyciężenie, osądzenie „W hotelu Różanka", rzutowanie w przyszłość. Kiedy w zamknięciu cytowanego poprzednio wiersza „W Warszawie" księgarz potrafił tylko mówić „z żalem": „patrz, okładkę zostawili, ale kartki wszystkie wyrwali" — tutaj poeta stwierdza krótko:

Pewnego dnia...
Opowiem chłopcu
o złotych oczach —
Pamiętaj, był
gdzieś taki kraj,
miasteczko małe,
mniejsze niż kąkol"...

Czasownik „był" opowiada krótko o nieuniknionych rozwojowych procesach historycznych, o zwycięstwie socjalizmu w przyszłości; czasownik „pamiętaj" podkreśla konieczność rewolucyjnej czujności. Wyodrębnienie obu tych słów w jednym rządku wierszowym — zrozumiałe."

Nie wiadomo, co w tym podziwiać bardziej: mglistość i napuszoność zawiłych wywodów krytyka, czy też rozweselającą kwintesencję jego sądów. Wiersz „W hotelu Różanka" to jeden z najsłabszych utworów w omawianym przez Voglera tomie. Taka krytyka zatrzymuje rozwój poety, prowadzi go na zdradliwe manowce stylizacji, pomniejsza jego oczywiste osiągnięcia na drodze do realizmu, takie jak „Towarzysze mówią o nim", jak „Do żołnierza US-Army" i inne. Omawiany przez Voglera utwór charakteryzuje przecież zupełne odrealnienie atmosfery, pozbawienie wiersza cech historycznej konkretności, oparcie się o stylizację i zleżałe rekwizyty. Owi „oprawcy jagniąt i domokrążcy", owe „brzdęk, kufel, karty. Trzy czarne serca" to środki wyrazu, od których poetę należy raczej odciągać wskazując na ich nieprzydatność. Metafory i porównania „Miasteczko małe, mniejsze niż kąkol", „Miasteczko małe, mniejsze od róży", „Drzewa jak z cynamonu", „Okno za kratą w zielonym murze" — służą do wydobywania drogą nierealistycznej metafory egzotyki i dziwności nie mając absolutnie nic wspólnego z „olśniewającą przenikliwością realiów", jak bałamutnie wywodzi Vogler. Tu należałoby przytoczyć słowa J. Putramenta z referatu wygłoszonego na Plenum ZG ZLP w styczniu 1951 roku dotyczące pewnej metafory omawianego wiersza:

„Kubiak pewno nie zdaje sobie sprawy, jak wiele mu zaszkodziła jego dzisiejsza „nerudyzacja". Chwilami się zdaje, że ten poeta zapomniał, iż istotą poezji jest zwięzłość i prostota. Poetyckość bynajmniej nie polega na tym, żeby kiedy się widzi dwie blondynki mówić:

Dwóch córek słońcu
włos poślubiony...

Kiedy poeta odchodzi od swych błędów, krytyk ciągnie go do tyłu. Cała balladowość wiersza w rzeczywistości nie ma wiele wspólnego z poezją ludową, z realizmem, a jest wyrazem czysto literackich koncepcji poety.

II

Wstęp ten służył udokumentowaniu twierdzenia, że pozornie walcząc o poezję realizmu socjalistycznego i krytykując jej dotychczasowe osiągnięcia, tępiąc schematyzm, niektórzy pracownicy kultury, obciążeni bagażem drobnomieszczańskich, formalistycznych gustów w istocie walczą z realizmem socjalistycznym, lub w najlepszym wypadku (Vogler) przyczyniają się do hamowania jego rozwoju.

Kiedy dwóch mówi to samo — to nie jest to samo!

Tego rodzaju sytuacja miała i ma miejsce w związku z tomikiem wierszy Andrzeja Brauna, Andrzeja Mandaliana i Wiktora Woroszylskiego pt. „Wiosna Sześciolatki".

Trzej młodzi, utalentowani poeci postanowili napisać cykl wierszy, przedstawiających rozkwit naszej ojczyzny, przedstawiających w poetyckim obrazie rozmach i wielkość budownictwa Planu Sześcioletniego. Trzy miesiące podróży po kraju pozwoliło poetom na poznanie — jak piszą we wstępie do tomu — *„wielu trudnych i pięknych zagadnień, wielu wspaniałych ludzi, dzięki których wysiłkowi, poświęceniu i inteligencji nasza ojczyzna z dnia na dzień zmienia swoje oblicze, rozwija się, zbliża do socjalizmu."*

Wiersze zebrane w tomiku powstawały na gorąco, powstawały jako notatki pisane przez reportera na placu budowy, stanowiły pośpieszną relację z frontu naszego budownictwa, który całkowicie przekształca, oblicze naszego kraju. W czerwcu 1951 roku tomik był gotów i został złożony wydawnictwu. Jednocześnie wiele wierszy z „Wiosny Sześciolatki" opublikowano na łamach prasy.

Wydawałoby się, że takie przedsięwzięcie, że taka inicjatywa młodych poetów, pragnących jak najszybciej, doraźnie, spełniać zaszczytną rolę agitatorów — zostanie przyjęte przychylnie, spotka się z życzliwą krytyką, z uznaniem, zostanie przedstawione jako wzór właściwego stosunku do współczesnej tematyki, jako wzór partyjnej decyzji w doborze tematu.

Należało może oczekiwać już przed wydaniem zbioru, który ukazał się dopiero w ostatnich tygodniach — zasadniczej, nacechowanej życzliwością i wyrazami przyjaźni — ideowej krytyki. Tego należało oczekiwać od Sekcji Poezji przy ZG ZLP, od wydawnictwa.

W prasie odezwał się tymczasem jedynie Jan Aleksander Król („Wieś") z wywodami rozbrajającymi swym „wszystkoizmem". Był to rzeczywisty „głos z lewej strony".

W czasie dyskusji o „Wiośnie Sześciolatki" na terenie Związku zabrakło wielu głosów wybitnych poetów starszego pokolenia, dla których — jak widać — temat był niedostatecznie interesujący; sala świeciła pustkami, a z przeprowadzonej dyskusji trudno było wyłuskać pozytywne głosy. Wydawnictwo drukowało książkę przez osiem miesięcy...

Szybko nasi esteci ukuli opinię, że jest to nieudany eksperyment. Zaczęto z okazji walki o schematyzm nawoływać do pisania o szepcie traw, to uznane zostało niemal za podstawowe zadanie naszej poezji... (Patrz stenogramy dyskusji w ZLP pt. „Czy istnieje kryzys we współczesnej poezji?")

Nie mam nic przeciwko wierszom o szepcie traw, ale mam wiele zastrzeżeń do ludzi głoszących, że pisanie takich wierszy jest najpilniejszym zadaniem.

Tak więc w sądach o „Wiośnie Sześciolatki" gdzieś między palcami przeciekła wartość polityczna takiej roboty, gdzieś między wierszami zagubiono prawdę o tym, że próba Brauna, Mandaliana i Woroszylskiego stanowiła wyraz słusznej drogi poszukiwań. Zaczęto przeciwstawiać „Wiosnę Sześciolatki" próbie wierszy lirycznych innych poetów o nieskrystalizowanej postawie ideowej, wskazywano na ich postawę jako na najsłuszniejszą. Można by więc sądzić, że u podstaw tomu „Wiosna Sześciolatki" tkwił błąd polegający na tym, że poeci niesłusznie sięgnęli do „ogranego" dla niektórych tematu budownictwa socjalistycznego, niesłusznie postanowili napisać taki tom wierszy.

Bądźmy szczerzy. Myślę, że niechęć i nieżyczliwa krytyka, brak zainteresowania dla takich zjawisk i krytyka z pozycji formalistycznych stanowiła i stanowi niechęć do poezji partyjnej, do samej tematyki produkcyjnej, która wielu estetom się przejadła, którzy wolą widzieć na łamach naszych czasopism wiersze o Chopinie, Kolbergu, Wicie Stwoszu— zapominając o tym, że wysoka wartość tych wierszy nie zastąpi nam w żadnym wypadku poezji, mówiącej *wprost* o zagadnieniach budownictwa socjalistycznego.

III

Pisarze i krytycy zapominający, że nasze starania o rozszerzenie zakresu tematycznego polskiej literatury, o wzbogacenie poezji, o lirykę osobistą, o konflikty moralne i światopoglądowe — nie oznaczają absolutnie rezygnacji z literatury dotyczącej bezpośrednio zagadnień budownictwa podstaw socjalizmu — tacy pisarze i krytycy chyba bardzo nie pojmują, o co toczymy walkę.

Pisarze i krytycy (np. Flaszen) pojmujący walkę ze schematyzmem jako zakończenie etapu walki o pełnego, wartościowego, jednolitego i prawdziwie przedstawionego bohatera pozytywnego — tacy krytycy zapominają, jakim celom służyć ma nasza literatura i w jakiej sytuacji politycznej toczymy walkę o realizm socjalistyczny.

Pisarze i krytycy, zapominający o tym, że współczesność winna stanowić główny nurt naszej literatury, nie wzbogacają naszej literatury, nie rozwijają jej, lecz wręcz przeciwnie, zatrzymują ją w rozwoju. To fałszywe pojmowanie postulatów rozszerzania zakresu tematycznego naszej literatury, uwolnienia jej od zmory schematów — doprowadza do poważnych niebezpieczeństw. Pisarze zaczynają nieraz odwracać się od dnia dzisiejszego (najgroźniejszym przykładem jest twórczość dramaturgów, którzy słusznie pisząc o Reyu, Koperniku, walce Wielkiego Proletariatu, walce klasy robotniczej we Francji itp. zupełnie zapominają o polskiej współczesności. W poezji groźnym przykładem jest fakt, że zupełnie przemilczano temat trudności, które przeżywamy, zabrakło głosu poetów uczących, jak je pokonywać.

Nie wolno nam sądzić ani pochopnie głosić teorii o tym, że w gruncie rzeczy zakończyliśmy walkę o temat, a rozpoczęliśmy walkę o sposób przedstawiania tego tematu. Są to procesy od siebie nieodłączne, nierozdzielne. Nasza literatura i poezja w znikomym procencie podjęła olbrzymie bogactwo tematów, które tkwią w naszym nowym życiu. Często — jak słusznie pisze Andrzej Braun — tchórzostwo, łatwizna, nieszczerość, nie pozwalają naszym pisarzom na podejmowanie tematów ważnych, lecz trudnych do ukazania w dziele artystycznym. Nie można naszej poezji stawiać zarzutów, że jest przepolityczniona, lecz należy stawiać zarzut, że jest ideowo płytka, pozornie upolityczniona, że jej jakość artystyczna jest często niska, że praca nad wierszem nie zyskuje uznania w oczach młodych poetów. Walka z upraszczaniem i niską jakością naszej poezji tylko wtedy może być skuteczna, jeżeli będziemy pojmować ją jako walkę o pełniejsze wprowadzenie do naszej literatury nowego życia i jego przebogatych konfliktów, jako walkę o pełnego, prawdziwie przedstawianego bohatera naszego budownictwa.

IV

Na tej chyba tylko płaszczyźnie, płaszczyźnie życzliwości wobec tego, co nowe i co się rozwija, winniśmy przystępować do zasadniczej ideologicznej i artystycznej krytyki tych utworów, w których zamysł twórczy nie znalazł należytego odbicia, będąc w sprzeczności z ich kształtem artystycznym. Myślę, że nie należy dawać formalistom monopolu na walkę o jakość.

Uwagi swoje chciałbym udokumentować na przykładzie „Wiosny Sześciolatki". Pomysł jak wspominałem świetny. Trzech poetów po przeprowadzeniu rozmowy z kierownikami naszej gospodarki narodowej rusza w teren, zwiedza największe budowle sześciolatki i pisze wiersze. Wiersze o ludziach i budowie. Szlachetna intencja i szczery zapał ponoszą jednak porażkę. „Wiosna Sześciolatki" stanowi raczej zbiór przeciętnych i złych wierszy.

Dlaczego? Czy dlatego, że metafory są nietrafne? A może dlatego, że poeci piszą przeważnie nieregularnym wierszem? A może dlatego, że rymy nie są najlepsze? Nic. Wysuwanie na czoło takich argumentów — jak to bywa zazwyczaj w naszych dyskusjach — to po prostu nieporozumienie. Więc dlaczego złe wiersze? Dlatego, że poeci nie przemyśleli w dostatecznym stopniu problemu, co chcą w swym tomiku powiedzieć, jakie specyficzne zadanie — w odróżnieniu od artykułów i reportaży — ma on do spełnienia, jakimi środkami wielkie tematy naszego budownictwa mają zostać wyrażone. Nie uważam, żeby tematy właściwe dla reportaży lub dla artykułów nie mogły stanowić tematu dla wierszy lub opowiadań. Rzecz zrozumiała, że nie można dopatrywać się specyficzności sztuki w specyfice treści przez nią wyrażanych. Nie należy chyba mówić o tzw. „niepoetyckich", banalnych tematach. Niesłychanie trafnie protestuje przeciw takiemu ujmowaniu zagadnień radziecki uczony A. Burow stwierdzając, że nie można mówić właściwie o kręgu zagadnień wyrastających z życia społecznego, które w sztuce nie mogą odnaleźć odzwierciedlenia:

„Stawianie pytania czy sztuka może zajmować się np. fotosyntezą jest w równej mierze niesłuszne jak stawianie takich pytań powiedzmy w stosunku do historii lub ekonomii politycznej. Ale jeśli dla wyjawienia charakteru ludzkiego konfliktu społecznego, słowem — dla zrozumienia życia, trzeba ukazać istotę fotosyntezy, to artysta powinien to zrobić".

Rzecz polega chyba na sposobie widzenia i przedstawienia zjawisk, polega na specyficzności potraktowania tematu, na umiejętności zaczepienia o jedno ogniwo łańcucha interesujących nas problemów. Błąd autorów „Wiosny Sześciolatki" upatruję w tym, że zapomnieli o możliwościach poezji, która pozwala na przedstawienie najróżnorodniejszych zagadnień związanych z naszym budownictwem w inny, głębszy, ciekawszy, oryginalniejszy sposób, aniżeli można to uczynić w artykule lub reportażu.

Poważnym niebezpieczeństwem wydaje mi się pomysł operowania na ogół jedną formą: poetyckim reportażem, pomijaniem różnorodnych możliwości, które pozwalają na oświetlenie spraw budownictwa z różnych stron. O ile bogatszy, czytelniejszy byłby omawiany tomik, przy wkomponowaniu w całość wierszy o charakterze lirycznym, przy wydobyciu wartości estetycznych, jakie daje opis krajobrazu itp.

Zarówno w kompozycji tematycznej poszczególnych utworów jak i w doborze tematów, zagadnień — Braun, Mandalian i Woroszylski poszli na łatwiznę. Mimo przedstawienia wielu bohaterów naszego budownictwa, poeci na ogół zamknęli problemy życia ludzi planu w kręgu spraw produkcyjnych, w kręgu spraw oddzielonych od ich życia osobistego, zapominając, że budowa fundamentów socjalizmu oznacza tworzenie się socjalistycznego narodu, a proces powstawania socjalistycznego narodu oznacza również mnogość konfliktów moralnych, ideowych, bytowych, których nie można oddzielać od spraw planu Nie potrafiono w centrum zagadnień postawić człowieka, jego zwycięstw i trudności, splotu tych zwycięstw i tych trudności z jego psychiką, postępowaniem i to nie tylko na terenie budowy.

Sylwetki wyraźnie zarysowanych ludzi, których postacie stanowią oś utworu, znajdziemy tylko w wierszach Woroszylskiego i w jednym wierszu Brauna („Chłop Gałka", „Dyrektor Nowak", „Inżynier", „Dziewczęta z Ostrowca"). Ale i z tych wierszy mało się o tych ludziach dowiadujemy, postacie są płaskie, nieprzekonywające. Najlepszy jest Gałka z wiersza „Własność", którego psychologiczna sylwetka została narysowana celnie i prosto. Woroszylski postawił sobie za zadanie nakreślenie obrazu człowieka w momencie jego decyzji, która określa wewnętrzną postawę ideową. Scena przekazania dla inwentarza spółdzielni dwóch koni przez dotychczasowego indywidualnego gospodarza utrwala się w pamięci. Bardzo dobra, wzruszająca w swej wymowie jest pointa ujmująca dobitnie istotę wspólnej gospodarki, w której inwentarz jest własnością każdego i wszystkich zarazem:

Poważne było zebranie. Nie
rzucano słów lekkich.
Sawicki w mozolnym skupieniu
protokółował.
A gdy po wszystkim gromadnie
na drogę wylegli,
do nieba, zoranego gwiazdami,
zadzierali głowy.
Druty telegraficzne przyjaźnie
gwarzyły obok.
„Do domu, tatko?" — „Tak,
Władziu, do domu pójdziemy",
„Dwa konie — myślał Gałka. —
Nasze konie oba.
Bogatsi o dwa konie jesteśmy
w spółdzielni".

I co dalej? Ile takich wierszy jest w tomie?

Kilka zaledwie.

Próby przedstawienia głęboko przeżytej postaci bohatera pozytywnego — podstawowego celu naszych wysiłków — nie powiodły się, nie zostały uwieńczone sukcesem.

Źródłem tych i innych błędów zdaje się być niewłaściwa metoda zastosowana przez autorów „Wiosny Sześciolatki". W niedostateczny sposób zaznajomili się oni z problemami budowy, powierzchownie poznali życie, walkę, zwycięstwa i porażki na budowlach sześciolatki i ten nieprzetrawiony, nieprzemyślany materiał komponowali w kształt artystyczny.

ANDRZEJ KIJOWSKI

Reportaże Pawła Jasienicy

Prasa codzienna donosi nam stale o budowie nowych fabryk, o powstaniu nowych spółdzielni, o sukcesach jakiejś załogi. Jedzie tam natychmiast reportażysta, którego główną ambicją jest to, aby podchwycić wydarzenie czy zjawisko najbardziej aktualne, aby — jak się to mówi — nadążyć za tempem życia, bowiem uważa się — i słusznie — że zadaniem reportażu jest między innymi najbardziej żywa i natychmiastowa reakcja. I ta *ambicja aktualności* jest chyba pierwszą z głównych cech współczesnego reportażu.

Przybywa reportażysta do fabryki, do PGR-u, na budowę czy do spółdzielni produkcyjnej i natychmiast dostaje się w ręce fachowców, dumnych (najczęściej) lub niezadowolonych (rzadziej) ze swych osiągnięć. Opowiadają mu o wszystkim, chwalą się lub skarżą, pokazują wszystko — bo wszystko uważają za ważne i godne pokazania, sypią fachowymi wyrażeniami, wtajemniczają reportażystę w arkana swych sztuk. I reportażysta (ambicją jest wierność opisu, prawda szczegółu, rzetelność informacji) notuje wszystko, wypytuje, sprawdza, podkształca się nieraz w hodowli czy budownictwie — aby tylko nie strzelić głupstwa i swej ambicji do ścisłości zadość uczynić. *Rzetelność informacji, konkretność opisu, maksymalna lojalność wobec przedmiotu opisywanego* — oto chyba druga, istotna cecha współczesnego reportażu.

I jeszcze jedną ma ambicję nasz reportażysta: aby w szczegółach budowy czy produkcji nie zatracić twarzy działającego, czującego i myślącego człowieka. Więc pilnie patrzy wokół, notuje w pamięci twarze, gesty, wyrażenia swych rozmówców, nieraz sięgnie w ich życie „prywatne" (tak się przyjęło u nas określać wszystko, co człowiek robi poza pracą), aby potem w reportażu dać sylwetki bohaterów budowy, produkcji czy hodowli. Ta ambicja — ambicja konstruowania — to trzecia, bardzo charakterystyczna cecha współczesnego reportażu.

Z tych ambicji powstał typ reportażu i pożyteczny, i ciekawy — typ reportażu poruszającego się na granicy dziennikarstwa i literatury — z dziennikarstwa czerpiący swą autentyczność i aktualność, z literatury zaś tendencję konstruowania bohatera. Reportaż ten spełnia ogromną rolę: śledzi czujnie wszelkie osiągnięcia i potrzeby naszego życia, informuje i agituje — stanowi też warsztat dla pełniejszych form literackich, przyśpiesza krystalizację realistycznej, prawdziwie współczesnej powieści, noweli czy dramaturgii.

Słabo rozwija się jednak przy tym typ wielkiego reportażu, reportażu-studium, którego ambicją byłoby nie tylko zanotowanie czy opisanie oglądanego faktu, ale także interpretacja jego treści, przekraczająca zakres wiadomości zdobytych podczas zwiedzania danej fabryki, spółdzielni czy nawet — przypuśćmy — budującego się miasta. Typ reportażu, ogarniającego zjawiska szersze, przekraczającego granice jednego przedmiotu obserwacji; typ reportażu, który był inspirowany nie tylko przez obserwację aktualnych wydarzeń, ale także przez studia socjologii, historii, ekonomii, etnografii, architektury — i wielu, wielu innych jeszcze dziedzin wiedzy o życiu, mogących służyć do pogłębienia obserwacji, mogących opisywanym faktom nadać jeszcze większe, jeszcze istotniejsze znaczenie.

Wielki reportaż uwarunkowany jest politycznym zaangażowaniem się pisarza w dokonującym się procesie wielkich przemian społecznych, marksistowskim pojmowaniem procesu historycznego, pasją agitatora wielkich idei.

Książka Pawła Jasienicy *) ma ambicję nawiązania do tradycji wielkiego reportażu. Książka ta powstała z objazdu ziem położonych w trójkącie Wisły i Nidy — ziem najbardziej może dotąd zaniedbanych, zacofanych, upośledzonych zarówno przez zaborców, jak i przez rządy sanacyjne — ziem dotkniętych w dodatku klęskami wojennymi.

Jasienica patrzy na te ziemie przede wszystkim okiem historyka. Używa swej historycznej erudycji dla wspomnienia dawnych — wspaniałych często dziejów tych ziem, z sentymentem historyka odgrzebuje z tych dziejów bardzo zapaskudzone często ślady. Przyjeżdża np. do jaklegoś Szydłowa i „oczekuje widoku wspaniałej purpury", bowiem — jak pisze — słyszał „niejedno o zębatych murach Szydłowa, pamiętających średniowiecze, o tamtejszym zamku królewskim, bramach, tudzież prastarych kościołach. Szukałem oczyma czerwonych zrębów warowni na miejscu wysokim" (str. 143). Udowadnia zaraz, że słyszał niejedno i ciągnie ciekawy, pełen dat, nazwisk i anegdot wywód o historii Szydłowa, o jej blaskach i nędzach — snuje ten wywód wciąż wywołując sugestie oglądanego dziś widoku Szydłowa: szaro, cicho, brudno, ubogo.

Ale nie dla sentymentalnych wzdychań historyka tak snuje się ta opowieść, bowiem prowadzi ona do wniosku — wniosku ważnego, aktualnego:

„Historii polskiej uczyć się należy w Sandomierszczyźnie. Na tych glinkach i lessach dokumenty i dowody rzeczowe leżą wypreparowane niczym na stole pokazowym. W tych stronach słowa „stare i nowe" dziwnej nabierają treści. Bo stare oznacza tutaj, jakże często, wyniosły mur obronny i nieoglądany gdzie indziej skarb sztuki gotyckiej — a nowe, to mizerna kleć przystawiona do tych wspaniałości w dumnym stuleciu XX" (str. 156).

„Mizerna kleć XX wieku... Mamy prawo mieć nadzieje, że nasze stulecie wystawi obok gotyckich murów swój własny pomnik, godny przynajmniej tego, by z nimi sąsiadować. Ale w 1950 niejeden jeszcze Szydłów w Polsce śpi, zagruzowany „mizerną klecią" rozkładających się formacyj".

Jasienica skrzętnie notuje wszystkie spotkania z nową epoką, wspanialszą i dumniejszą od tej, która pozostawiła sandomierskim miasteczkom gotyckie mury twierdz, śpichrzów i klasztorów. Ze szczytu Łysicy dostrzega „światła Starachowic, Wierzbnika, Ostrowca i „błyszczące piętra" zelektryfikowanych już domów wiejskich. I — pisze dalej — „...niedaleka już jest noc, gdy... cała ta czasza lądu napłynie światłem do pełna". (str. 33/34).

Pisząc o tym, że na dojazd do niektórych miejscowości Sandomierszczyzny wciąż jeszcze „diabeł ma monopol", śledzi bohaterską walkę z bezdrożami — walkę toczoną co dnia przez Fiaty, Chaussony i Leylandy PKS-u. Pisząc o tym, jak to Wisła między Nowym Korczynem a Sandomierzem — wbrew teoriom geografów — nie łączy, a dzieli dwa brzegi, z radością odnotowuje fakt, że rozpoczęły się już prace nad budową kolei Kielce — Żabno (dziś bliskiej ukończenia).

Z Sandomierszczyzny zawędrował Jasienica do Krakowa. „Bo — jak pisze — wobec Koprzywnicy i Krakowa obowiązuje ta sama recepta". Więc znów następuje podobny wywód: najpierw stare, wspaniałe dzieje Krakowa, znaczone zabytkami, potem zepchnięcie Krakowa gdzieś na skraj historii, i dzieje jego spokojne, tak spokojne i tak marginesowe jakby to nie dzieje były, ale po prostu brak dziejów... Tak się snuje znów ten sam ciąg refleksyj, wspominków, anegdot, by wreszcie dotrzeć do tego faktu, który stał się dziś najbliższym, bliższym niż Smocza Jama dla Krakowa skojarzeniem: dociera więc Jasienica do faktu Nowej Huty i na tej samej zasadzie co Szydłowowi i Koprzywnicy typuje Krakowowi wspanialszą od gotyckiej epokę rozwoju.

Była historia, potem nie było historii, a teraz znowu będzie historia. Tak mniej więcej wygląda konstrukcja ambitnej i ciekawie napisanej książki Pawła Jasienicy. A przecież nie można tak powiedzieć, że była tu kiedyś historia i zostawiła po sobie trochę gotyckich murów, potem zaś jej nie było i wtedy właśnie, kiedy jej nie było, te gotyckie mury obrosły pleśnią „mizernych kleci", obskurnych domostw, chałupek, stajenek, obórek, sklepików — i pozwoliły „historii ujść szczelinami" — jak powiada Jesienica cytując wiersz swego towarzysza podróży — poety Tadeusza Chrzanowskiego.

Nie można tak powiedzieć. Historia działała tutaj cały czas. Jej pomnikami, mniej może efektownymi niż gotycki portal, ale za to bardziej tragicznymi są właśnie te „mizerne klecie" lat wyzysku, nędzy, walki o minimum egzystencji. Wiele potrafi Jasienica powiedzieć o pomniku średniowiecznego rycerza, w jego twarzy wyczyta jakieś dumne i wspaniałe dzieje. Szary kmiotek w cajgowej marynarce, pijany sklepikarz w jakimś Szydłowie, zacofany mieszczuch krakowski budzi w nim tylko litość i smutną refleksję: „historia stąd przed laty szczelinami uszła". A to właśnie pomniki, smutne pomniki historii coraz bardziej dojrzewającej do epok nowych i doskonalszych, do epok wielkich, rewolucyjnych przemian społecznych

Bo nie jest to też tak — jak to wynika z książki Jasienicy, że już tam teraz będzie historia w tym Szydłowie, w tej Koprzywnicy i w tym Krakowie, bo „kmiotek" zobaczył autobus, a krakauerów płoszą buldożery. Wiele jest jeszcze miasteczek i wsi, gdzie nie dojeżdża PKS, gdzie jeszcze nie dotarły buldożery, ale nie ma takiego zakątka Polski, gdzie by nie można mówić o dziejącej się historii, bo wszędzie wre walka o nowe. Nie ma zakątka, gdzie by nie można mówić o narodzinach nowej epoki, bo wszędzie dociera nowa szkoła, nowy sposób myślenia, nowa książka, wszędzie jest partia, są ludzie, którzy rozumieją już sens nowej epoki, choć nie zaznali jeszcze w pełni dobrodziejstw cywilizacji.

Ślady historii tropi Jasienica wyłącznie na krajobrazie cywilizacji. I to jest jego pomyłka. Mówi o „starym" w sensie starych murów, i o „nowym" w sensie nowych murów, gdy tymczasem trzeba mówić o starych i nowych przejawach ludzkiej działalności, ludzkich uczuć i pragnień.

Jasienica jest publicystą, który przeszedł ostatnio poważną ewolucję swych poglądów. Zebrane w tomie „Wisła pożegna zaścianek" reportaże pozwalają nam śledzić zaledwie początek tej ewolucji. Od tematyki wojskowo - historycznej, ujmowanej ze stanowiska „trzeźwego", lecz wyraźnie określonego klasowo, burżuazyjnego neopozytywizmu, czerpiącego niewątpliwie natchnienie i ze spuścizny historycznej „szkoły krakowskiej", z ideologii „racji stanu" młodych mocarstwowców z przedwojennej grupy „Polityka" (podobnie jak Bocheńscy, Pruszyńscy i inni) i z Dmowszczyzny przechodzi Jasienica do żywej obserwacji współczesności i to pozwala mu niewątpliwie rozszerzyć swój horyzont poznawczy, dostrzec zaczątki nowego. Ale stare schematy, nawyk myślenia kategoriami neopozytywisty, nie pozwala mu na razie na właściwy dobór, selekcję, interpretację zauważonych faktów. Rozważania nad historią, pozbawione jej ujęcia ściśle klasowego oglądanie dziejów ojczystych przez pryzmat pomników, bez uwzględnienia ich klasowej treści — to konsekwencja neopozytywistycznego spojrzenia na rzeczywistość, to poważne ograniczenie realizmu tych bystrych, żywym piórem spisanych obserwacji. Napór realizmu, uczciwa ocena faktów — to z drugiej strony taran, bijący mocno w zmurszałą „kleć" idealistycznych, klasowo ograniczonych poglądów pisarza, to wyraźna droga przyśpieszenia jego ewolucji ideowej. To jeszcze jeden dowód, że właśnie forma reportażu, żywego zetknięcia się z rzeczywistością, to często najowocniejsza, najskuteczniejsza droga zrozumienia tych prawd historycznych, które w pełni zrozumieć i należycie ocenić pozwala dopiero światopogląd marksistowsko - leninowski. Do tych pełnych perspektyw w spojrzeniu na rzeczywistość nie doszedł jeszcze Jasienica w swych reportażach, wydanych przez „Pax".

Andrzej Kijowski

*) *Paweł Jasienica:* Wisła pożegna zaścianek, Warszawa, Pax, 1951, str. 241 i 1 nlb.

Stąd też dystans wobec tematu, stąd też uczucie czytelnika, że wiersze pisali nie współtwórcy, lecz mimo wszystko postronni obserwatorzy. Nie można okiem reportera patrzeć na zjawiska, które ma przedstawić poeta, i to oczyma kiepskiego reportera, który w teren wyjeżdża na jeden dzień. Widać to zresztą najwyraźniej w wierszach pisanych w formie reportaży, w formie migawek, w których narrator przeprowadza rozmowy z pracującymi na budowlach ludźmi („Żyrardów — Piotrków", „Krajobraz ojczyzny", „Front w Kozietułach", „Walerian Nowak dyrektor kopalni", „Huta Częstochowa", „Kombajn węglowy Donbas").

To prześliźnięcie się po zjawiskach i niedostateczna ich znajomość powodowały fałszywe pojmowanie postulatu typowości, pomniejszanie elementów walki z trudnościami, z kłopotami, nieumiejętne przedstawienie całej dynamiki walki klasowej. Braun, Mandalian i Woroszylski pojechali w teren z góry ułożywszy sobie koncepcję tomu. Jeżeli w terenie widzieli zjawiska sprzeczne z koncepcją tomiku po prostu pomijali je milczeniem. I tak np. w Wałbrzychu, Nowej Hucie zetknęli się z problemami chuligaństwa i bumelanctwa wśród młodzieży — lecz o tym zamilczeli. Nie zaufali własnym oczom, nie zaufali temu, że potrafią ukazać zjawiska starego we właściwej proporcji — zaufali wymyślonym w Warszawie koncepcjom. A przecież trzeba wierzyć w zjawiska, które są w życiu. Ich naprawdę nikt nie wymyślił, one po prostu są i już.

Takie podejście do tematu zmuszało do zastosowania najprostszego przeciwstawienia; przed wojną była nędza i bezrobocie, dziś jest praca i wielkość budownictwa, przed wojną tu nic nie było, teraz powstaje kombinat, dawniej robotnicy pracowali w najgorszych warunkach — dziś lub jutro będą mieli wspaniałe warunki pracy. („Krajobraz ojczyzny" „Żyrardów — Piotrków", „MDM", „Fabryka Samochodów na Żeraniu", „Białystok", „Stocznia Gdańska").

Czyż nie słuszne przeciwstawienia? Słuszne. Może niepotrzebne? Potrzebne. Ale przecież rzeczą poetów (i to nie debiutantów, lecz piszących już od siedmiu lat) jest pokazanie tego przeciwstawienia, i w innej niż w artykule, ciekawszej, głębszej formie. Taką próbą, lecz nieudaną, jest wiersz „Walerian Nowak, dyrektor kopalni Staszyc".

W rezultacie tak pojęta typowość, oznaczająca w tych wypadkach niedocenianie walki klasowej, trudności, prowadzi do zniekształceń obrazu naszego życia i budowy, gdzie największe konflikty w gruncie rzeczy sprowadzają się do biurokracji, której poświęcono specjalny wiersz pod przepraszającym niejako tytułem „O tym też trzeba". A te trudności są takie:

...To jest dzieło, że w Dworach dwaj racjonalizatorzy
przez długie miesiące musieli wróżyć z gwiazd daremnie,

czy jaśnie wielmożny urzędas raczy szufladę otworzyć,
a jak raczy, to czy wyjmie z niej wniosek o premię.

To nie kto inny sprawił, ale ona właśnie,
że awansowanym na instruktorki, najlepszym andrychowskim
prządkom

paragraf miotlasty nazajutrz po awansie
zarobków połowę sprzątnął.

To jej głosem obojętnym i oschłym
na kopalni „Anna" megafon skrzypiał,
że kto nie uiści w Związku Górników składek członkowskich,
temu się je potrąci z najbliższych wypłat.

To jej wreszcie pupilkiem i pojętnym uczniem
była młodzieżowa brygada na wałbrzyskiej „Victorii",
która czyn majowy ogłosiła beztrosko i buńczucznie,
by później nie wykonać zwykłej miesięcznej normy.

Dobre i to, przynajmniej tyle kłopotów ludzkich dostrzeżono. Jaka szkoda, że wydzielono je w jeden nudny wiersz, a zapomniano np. o robocie wroga, o sabotażu, zapomniano w ogóle o sprawach bytowych, o warunkach pracy, które są przecież ciężkie w okresie budowy obiektów. Czyż poeta nie powinien tego pokazać i wyjaśnić, że budujemy dopiero podstawy socjalizmu, że w socjalizmie jeszcze nie żyjemy, że trzeba ofiar, wyrzeczeń niejednej chłodnej i głodnej godziny. Odważne pokazanie tych problemów pozwoliłoby na zarysowanie sylwetki bohatera pracy, na stworzenie przekonywających obrazów przodujących ludzi naszego czasu — pionierów socjalistycznego budownictwa. Tu, na budowlach, dostrzec można wielki proces ideologicznego dojrzewania, w ścieraniu się ludzi z problemami, w zetknięciu z techniką. Tej dynamiki walki albo nie dostrzeżono, albo świadomie nie pokazano. Na to nie pozwolił pośpiech. Natomiast pośpiech i powierzchowność doprowadzała do lekceważenia rygorów poetyckich, do rymowania właściwie fragmentów prozy:

Właśnie tego dnia, kiedy Stępień
wszystkie trzy pochwalił w gazecie, że dzielne,
jej —
komplet noży
przed czasem się stępił
i nie wyrobiła normy dziennej.
A wieczorem
padły słowa gwałtowne:

„Od dziś — chowam noże. Same sobie róbcie!"
I rozeszły się
trzy przyjaciółki, trzy zmianowe,
pierwsze, które w Ostrowcu robiły przy tarczówce.

Chłopcy wołali coś z tyłu. Nie słuchała.
„Fiuu, dumna, że choćby na plakat..."
A jej —
jej chciało się płakać,
jak bardzo dawno, kiedy była mała.

Cóż, inni jakoś i bez tego żyją,
jeszcze im lepiej może...
Nieprawda! Wiedziała — kiedy skończona przyjaźń,
ona
dobrze żyć i pracować
nie może.

Trudności — starczyło i przedtem. „Zawód nie dla dziewczyny"
Szyderstwa, litościwe kiwanie głowami...
Ale zawzięte były! „Nie dla nas? Zobaczymy!"
I zobaczyły, i dowiodły, że dla nich.

W cytowanym fragmencie wiersza Woroszylskiego piszący te słowa nie dostrzegł ani jednego obrazu poetyckiego, ani jednej przenośni, ani jednej metafory. Bardzo przepraszam, lecz moim zdaniem to nie wiersz, to kiepski reportaż.

Często wydaje mi się, że Woroszylski jest zupełnie pozbawiony poczucia rytmu. Wiem, że to nieprawda, dowodem tego wiele jego naprawdę pięknych utworów. Jednakże w wierszu nieregularnym, w którym tok narracji przybliża się do mowy potocznej, prozaizmy muszą być umiejętnie wtopione w wiersze, nie powinny w nich znajdować się takie zdania:

Czego włazicie na mnie? Natychmiast wyjść!
Nie dostaniecie pracy, macie złą opinię, o co wam jeszcze chodzi?..."

„Towarzyszu Nowak, to nie ja do was mówię, to Partia.
Pięciu dyrektorów po wojnie nie wyciągnęło planu.
Jeżeli wy, stary górnik, nie zetrzecie ze „Staszyca" plamy,
to nikt inny nie zrobi tego tym bardziej...

To nie tylko nie jest wierszem, ale jest po prostu złą prozą. Zaraz w obronie usłyszę, że przecież Majakowski...

Tak, Majakowski — to też mowa potoczna. To też zdania wykrzyknikowe, ale wmontowane w strofę tak, że nie lekceważą rytmu języka ani poetyckiej umowności.

Na każdym kroku spotykamy takie niechlujstwa. Mandalian celuje na przykład w złych rymach. („B — SP", „U nas — łuną", „Chleba — niebo"). Nie widać żadnej myśli w wysuwaniu tych a nie innych słów na koniec strofy, na rym. Nie można tego przecież lekceważyć. A oto przykłady: „brzóz — tuż", „jaskrawiej — trawą", „trzech — drzew", „drzemał — ziemia".

Sięgnijmy do Broniewskiego! Zobaczmy, jak rymuje on w swoich wierszach:

Umierający republikanie
Brocząc po bruku krwią swoich ran
W krwi umaczanym palcem po
ścianie
Wypisywali „no pasaran".

W pierwszym wypadku zupełna przypadkowość, lekceważenie słów, które wypadają na rymie, w drugim wypadku usilne starania o wybijanie na rym słów najważniejszych dla ideowej zawartości wiersza.

Nieuwagi, nieporządku w innych wierszach — wiele. Oto parę takich kwiatków wskazujących na zakłócenie związku przyczynowego między strofami, prowadzącego do nonsensów:

Nas ta wojna nie pokonała,
nie zniszczyły Oświęcim i Dachau.

Oto stoją, hala przy hali,
najeżone zębami dachów.

Co „stoi hala przy hali"? Oświęcim, Dachau? Nie. Mandalian myślał o Żeraniu. Albo:

Innym jest dzisiaj kraj nasz,
naprzód pchamy historię,
to wam,
towarzysze z Żerania,
zawarczą pierwsze motory.

I dziewczyna na murze,
w słońcu i kwietniu cała,
dłonie czerwone od cegieł
wyciąga po socjalizm.

Skąd się wzięła ta dziewczyna w ostatniej strofie, tego nikt nie wie łącznie z autorem, nie wynika to z toku wiersza.

Łatanie wiersza watą poetycką, zaimkami, spójnikami, przysłówkami, przewagą słów nieważnych nad ważnymi znajdziemy u Mandaliana, znajdziemy u Brauna (fatalny wiersz „Ojciec i syn"), w którym poeta pisze na przykład tak: *„on* wiedział *już jak jego* syn", *„jak jego* twarz skrzywiona potem", *„tak jak* nabrzmiałe *jego* żyły".

Również ze świeca w ręku można szukać trafnych metafor, porównań i epitetów. Natomiast złych, nietrafnych — jest wiele:

Cóż,
być może,
za lat, za parę,
robotnicy innej budowy
Filadelfię albo Paryż
będą nazywali Częstochową.

To nie ma nic wspólnego z dumą narodową. To przecież megalomania. Bardzo kocham swój kraj i Częstochowę, lecz kocham również miasto Komuny Paryskiej, miasto Voltaire'a, Diderota, Kartezjusza, Balzaka, Stendhala i Thoreza. Tak pisać to znaczy iść na tanie efekty.

Oto inne cytaty:

...Dobre są nasze dni,
od prac i spraw ciasne
dni siewów głębokich i żniw,
zwycięskiego ścigania się z czasem.

...trudnych dróg, którymi idziemy
coraz szybciej i pewniej,

nowych ludzi, nowych rzeczy,
nowych miejsc,
poszukiwań i odkryć...

Banał. W ten sposób Woroszylski mówił już w niejednym wierszu. („My", „Świt nad Nową Hutą"). Albo metafory Brauna: „Na twarzy ojca wokół ust biegły, jak szyny ostre bruzdy", „mózg jak kwas książki przeżera", u Mandaliana „Stopniałe brzozy", „ciężarne drzewa" (wiosną!).

Wreszcie niezwykle niepokojące jest podobieństwo poszczególnych wierszy do siebie, zwłaszcza Brauna i Woroszylskiego.

V

Śpiesznie i ze złością spisane notatki o wierszach z „Wiosny Sześciolatki" są ostre. Ocena w sumie jednostronna, gdyż w tomiku są również wiersze dobre („Krajobraz ojczyzny", „Własność", „Komuna mieszkaniowa w bloku nr 25", „MDM"). A nade wszystko pożyteczne. Pożyteczne są również wiersze słabe formalnie, o czym wymownie świadczy fakt, że po przeczytaniu wiersza „Dziewczęta z Ostrowca" zetempowcy z Pawafagu postanowili za przykładem tychże dziewcząt wprowadzić współzawodnictwo i metody moskiewskiej komsomołki Żandarowej.

O czym to świadczy? Świadczy to o tym, że takie tematy są potrzebne; że wiersze mówiące o takich sprawach mają materialny wpływ na wykonywanie Planu Sześcioletniego.

Dlaczego więc tak ostro oceniać „Wiosnę Sześciolatki"? Po co jednostronnie rozwodzić się nad jej brakami, niedociągnięciami? Po to, by wskazać na poważne niebezpieczeństwo, jakim jest w obecnej chwili lekceważenie pracy nad utworami, pośpieszne wypuszczanie w świat wierszy, stojących poniżej talentu autorów i to utworów tak nam potrzebnych.

Jeżeli jesteśmy świadomi tego, że często walka ze schematyzmem zamienia się w walkę z tym, co w literaturze nowe, jeżeli widzimy, że przez każdą szczelinę krytyki utworów chybionych, słabych lub niedojrzałych ideologicznie — usiłuje się przedzierać nasz nieprzyjaciel, wykorzystujący słabości naszej literatury — zrozumiemy, jaka wielka odpowiedzialność spada na partyjnych pisarzy, jak powinni podwyższać wymagania w stosunku do siebie.

A przecież Woroszylski, Mandalian i Braun to jedni z przodujących poetów, to pisarze, których twórczość (jak starał się również na innym miejscu udowadniać piszący te słowa) odgrywa poważną rolę w naszym życiu. Tymczasem „Wiosna Sześciolatki" nie stanowi kroku naprzód w porównaniu ze znakomitym „Dzisiaj" Mandaliana, „Świtem nad Nową Hutą" Woroszylskiego i „Serdecznym reportażem" Brauna. Nie jest krokiem naprzód dlatego, że nie została przemyślana ideowo koncepcja tomiku, że pisarze poszli na łatwiznę.

Wydaje mi się, że z takich pozycyj i w takich proporcjach można i należy krytykować schematyzm naszej poezji. Pragnąłem pokazać na przykładzie „Wiosny Sześciolatki", na czym polega różnica między krytyką schematyzmu, walką o jakość — prowadzoną z pozycyj często realizmowi socjalistycznemu obcych — a próbą krytyki naszej poezji, z naszych pozycyj. Pragnąłem udowodnić, że jeśli dwóch mówi to samo — pozornie — to jednak nie jest to samo. Na ile to się udało, na ile argumentacja jest słuszna i przekonywająca, ocenią czytelnicy i dyskutanci.

Grzegorz Lasota

WŁODZIMIERZ MACIĄG

Dwa nowe tomiki poetyckie

J. M. GISGES: „PIERWSZA MIŁOŚĆ"

Początkowe utwory zbioru *Jana Marii Gisgesa* *) oparte są bardzo wyraźnie na poetyce formalistycznego „awangardyzmu". Pomińmy fakt, że wiersze tego typu są trudne w lekturze, niezrozumiałe. — Ich zasadniczą wadą jest powierzchowność w przedstawianiu zjawisk, ślizganie się po ich zewnętrznej, dostępnej zmysłowo stronie. Tam, gdzie poeta chce nazwać problem, metafora formalistyczna spekuluje, szuka efektownego skojarzenia, które zamiast czytelnikowi zbliżyć zagadnienie, daje jego obraz w karykaturze. Forma tych wierszy Gisgesa jest o tyle bardziej drażniąca, że poeta podejmuje ważne, współczesne tematy. („Gminna biblioteka", „Wieczór autorski" „W miasteczku wystawa obrazów").

Przezwyciężanie formalizmu jest więc zasadniczą linią rozwojową poezji Gisgesa w dalszych częściach zbioru. Polega ono przede wszystkim na wprowadzaniu do wierszy treści humanistycznych, związanych z ludzkim przeżyciem i wzruszeniem. Porównajmy obrazy ludzi z utworów „Wieczór autorski" i „Na przyczółku sandomierskim":

Wejść do sali, gdzie ozdobą są
tylko źrenice,
jest zaskoczeniem, które zniewala.
Więc wyszedłem naprzeciw
umówionym spotkaniom
o twarzach świeżych, o zapachu
żywicznym.

Rysunek ludzi słuchających prelekcji autora jest ograniczony do paru powierzchownych impresji; brak wiadomości o ludzkich myślach i przeżyciach, stąd — obcość tak przedstawionych postaci, bo czytelnik nie zna ich po prostu.

Dziewczyna tę samą żwirową drogę
ledwo stopą muśnie, w dwojakach
niosąc
jadło strudzonemu bratu, który
cięciem
kosy słońca promień i trawę
przecina
na ziemi rozminowanej przez
saperów.

Formalistyczna impresja, której ślady i tu jeszcze widać, ustępuje miejsca nieco pełniejszemu rysunkowi człowieka, choć i tutaj jest on dość konwencjonalny. Bardzo ciekawym świadectwem walki z formalizmem jest wiersz „Rozmyślania drożnika". Poeta buduje sylwetkę psychologiczną drożnika z wrażeń, jakie w nim wywołuje obserwacja przejeżdżających pociągów. Dopiero w nocy, słuchając radia, czuje się związany z ludzkim społeczeństwem. Problem dziwaczny — ale pozwalający stwierdzić, że poeta czuje płytkość obrazu świata zbudowanego z impresji. Zacytujmy jeszcze inny piękny fragment o przekonaniach poety na temat roli człowieka w wierszu:

gdy treści szukam jak wieczornej
woni
w szarym dniu i w zwartej na
narzędziu dłoni,
albo idąc ulicą, gdzie budowy
przepych
rośnie jak drzewo — śpiew
zmęczonych słyszę
ludzi i na antenach go z wiatrem
kołyszę —
to wówczas pomyśl, kim jest
człowiek dla poety —

Realizacją tej myśli jest kilka następnych wierszy, z których dwa „O garncarzu z Iłży" i „Sztukator" są najpiękniejszymi wierszami zbioru. Gisges pokazuje teraz postaci ludzkie poprzez pryzmat ich pracy, obraz jej nie jest przy tym zbiorem powierzchownych wrażeń zmysłowych. Poeta zwraca baczną uwagę na sens obrazu, który staje się środkiem przekazania ważnych, humanistycznych, społecznych treści.

Znamienne, że Gisges zmienia zasadniczo warsztat artystyczny, nawiązuje do regularnej strofiki, do tradycji klasycystycznej. Są w tych strofach akcenty pewnej sztywności, zdarzają się wymyślne metafory — pozostałości po dawnej technice poetyckiej. Niewątpliwa jest natomiast umiejętność pokazania wielkości twórczej człowieka.

Ostatnią część zbioru stanowią dwie próby epickie, związane tematycznie z walką o socjalistyczną wieś. Pierwszy z nich „Miłość ścieżek nieutartych" mówi o elektryfikacji wsi, która staje się ogniskiem walki klasowej z kułactwem. Gisges pisze we wstępnym fragmencie utworu:

Jeśli odkryć człowieka
w wydarzeniu małym,
gdzieś w wiosennym ogrodzie
z cieniami zieleni
i odjąć dłoniom skrzydła, twarzy
zaś samotność,
dając w zamian za to narzędzie
i uśmiech —
O! Człowiek wówczas staje się
nasieniem,
które wzejdzie jak słowo na
kartce poety.

A jednak zagadnienie człowieka w krótkim poemacie nie zostało rozwiązane realistycznie. Autor kolejno zbliża różne postaci zaznaczone jedną zasadniczą cechą charakteru, po czym postaci te znikają oddając autorowi kierownictwo dalszych wydarzeń. We fragmencie II pojawia się anonimowa postać chłopki „niezdecydowanej", w III — również anonimowa postać chłopki, która niszczy przewody, wreszcie w IV — na zebraniu występuje chłop — płomienny zwolennik rewolucyjnych przemian wsi.

Takie ujęcie ma w sobie coś z teatru marionetek. Pokazuje się po kolei najważniejsze postaci działające, a autor na marginesie tego snuje sobie swoje rozważania, opowiada o konfliktach, jakie się między tymi postaciami zrodziły.

W drugim poemacie „Antek" Gisges zmienił sposób kompozycji. Obrał głównego bohatera, w którego życiu skupiają się najważniejsze wydarzenia fabuły. Poemat ten jest lepszy od pierwszego. Sam problem: przełamanie obawy przed kułakami, od których matka bohatera zależna jest materialnie, przeniesiony został do ostatniej części utworu i przedstawiony jako powzięta w czasie zebrania ZMP, pod wpływem przekonań kolegów, decyzja. Poemat jest właściwie nie skończony, bo decyzja Antka nie jest potwierdzona żadnym rzeczywistym działaniem. Dalszego ciągu utworu każe się także spodziewać obszerna ekspozycja, wyjaśniająca życie Antka i jego funkcję społeczną w rodzimej wsi. Poemat zaczyna się ciekawie, daje dosyć szeroki obraz wsi, interesująco dobrane są postaci drugoplanowe, wymaga jednak rozbudowy, większego zbliżenia postaci, akcja jego jest dopiero przygotowana. Wszystkie trudności, jakie stoją przed Antkiem, usuwa jedno zebranie ZMP, które uwalnia matkę Antka od zależności od Derkacza i bierze pod opiekę organizacji. Trochę za łatwo dzieje się to w poemacie. Mimo wszystko jednak fragmenty epickie Gisgesa świadczą o możliwościach autora w tym kierunku.

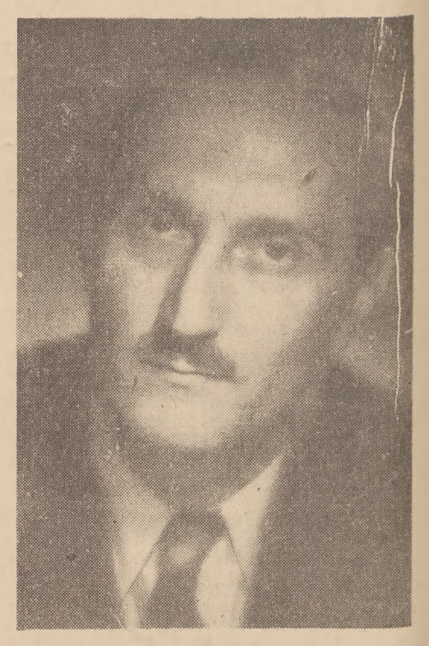

Jan Maria Gisges

FRANCISZEK FENIKOWSKI: „LEWY BRZEG"

Pierwszy zbiór wierszy *Franciszka Fenikowskiego*, który ukazał się pięć lat temu, zatytułowany był „Odra szumi po polsku *). Metafora ta wyrażała zakres realizowanej tematyki. Wszystkie bez wyjątku utwory mówiły o powrocie Polski na Ziemie Zachodnie. Utwory te były dość powierzchowne, ograniczały się do stwierdzania: wróciliśmy na polską ziemię, będziemy budować — młody poeta nie dawał sobie rady z powiązaniem wszystkich tych spraw z konkretnymi przeżyciami ludzkimi. Brak materiału życiowego, brak wiedzy o ludzkich sprawach, jakie się tu działy, spowodował ucieczkę w czasy Chrobrego, Długosza, a także Swarożyca i Smętka. W swym uwielbieniu dla polskich nazw miast i ziem poeta staje się niejednokrotnie przesadny i zbyt wiele poświęca im miejsca. Razi także łączenie polskości Ziem Zachodnich z konwencjonalnym krajobrazem piastowsko-rolniczym:

Nie wolno nam tu wrastać polnymi
brzozami,
co jak gęśle słowiańskie śpiewom
ziemi wtórzą,
nie wolno nam tu chwiać się
w melodyjnym takcie,
jak nadbrzeżne sitowie, jak wiklina
giętka...

W jednym tylko wierszu „Ręce" pokazał poeta konkretnego człowieka Ziem Zachodnich, żołnierza-osadnika. Dlatego właśnie że odbiegł tu od Arkon i mężów Czterdzieścicztery, że dał obraz rzeczywistości, wiersz zachował jakieś walory prawdy i uczucia.

Nowy zbiór poety obejmuje wiersze z lat 1947 — 1950 **). W zestawieniu ze zbiorem „Odra szumi po polsku" zauważyć można przede wszystkim rozszerzenie zainteresowań tematycznych. Poezja Fenikowskiego staje się przy tym bardziej ambitna, nie zatrzymuje się na pewnych ustalonych truizmach o rzeczywistości, na zewnętrznej stronie opisywanych zjawisk, ale zaczyna dążyć do ich interpretacji i artystycznego syntetyzowania. Dojrzewa także metafora, staje się lepiej przemyślana i odczuta. Poezja Fenikowskiego, od początku oparta na tradycyjnej formie stroficznej, zaczyna nabierać znamion pewnej oryginalności.

Taką np. oryginalną syntezą jest „Głos ogrodnika na wieczorze autorskim", poetycki protest przeciwko schematyzmowi literackiemu, wołanie o dokładniejszą, głębszą obserwację pracy ludzkiej. (Szkoda tylko, że wiersz ten jest stosunkowo mniej starannie opracowany. Po co te rysy naiwności w postaci ogrodnika?) Poeta umie teraz nasycić obrazy poetyckie bogatszą problematyką społeczną, dlatego utwory wyzbywają się werbalnej sztywności, zaczynają być wyrazem pewnego konkretnego stosunku do świata.

I na tej, świadczącej już o pewnych osiągnięciach, drodze napotyka poezja Fenikowskiego niebezpieczeństwa, które postaram się zasygnalizować.

Niebezpieczeństwo pierwsze polega na syntezie zbyt szerokiej i dlatego zbyt ogólnikowej, wyspekulowanej, a czasem nawet schematycznej. Przykładem będzie tu wiersz „Elektryfikacja". Widać, że poeta dostrzega cały kompleks przeobrażeń społecznych, wiążących się z elektryfikacją wsi. Ale nie umie ich poetycko przetworzyć, nie przedstawia w przeżyciach bohatera wiersza, poprzestaje na ogólnych informacjach:

...a człowiek wyrwany nocy
w moc mroku więcej nie wierzy
i garbiąc plecy nad książką
poznaje litery pierwsze.

W konsekwencji wiersz jest suchy, brak mu ładunku wzruszeniowego, bo poeta nie zdążył jeszcze pojęć: „elektryfikacja" i „walka z analfabetyzmem" zamienić na konkretne przeżycia ludzkie.

Podobnie gubi się czytelnik w różnorodnym materiale wiersza „Dziewczynka z gołębiem". Udane fragmenty, np. o budownictwie pokojowym:

...lecz my spinamy przepaście
klamrami stalowych mostów,
lecz my zszywamy ziemię
dróg asfaltowych ściegami,
wieńce wieszamy zielone
na krokwiach ceglanych domów
i drzewa sadzimy zielone
szczęściem pokoju szumiące...

powiązane są frazeologicznymi pointami o bryle ziemi wypychanej z ciemności w słońce, o „nowym, pogodnym świecie".

Niebezpieczeństwo drugie polega na sztucznej „poetyzacji" problemu, na szukaniu materiału artystycznego dla wyrażenia słusznych sądów w jakiejś fikcyjnej, wymyślonej rzeczywistości. Np. utwór „Poetyka" — gdzie poeta urządza na bieżni wyścig z czasem. Pseudoklasyczna personifikacja czyni wiersz ten trudno czytelnym. Podobnie w utworze „Lewy brzeg" — autor pragnąc wyobrazić łączność poety z murarzem warszawskim krąży dookoła określeń, że poeta jest murarzem słowa, a murarz poetą cegieł. W obydwu wierszach ważne problemy ideowe rozpłynęły się w formalistycznym, powierzchownym „chwycie" literackim.

Echa tej sztucznej poetyzacji, świadczącej o trudnościach w odnalezieniu odpowiednich środków artystycznych, są w zbiorze częste. Znajdziemy je w utworze „Preludium deszczowe", gdzie jakieś tajemnicze wypadki, związane z powodzią, połączone są z wrażeniami wyniesionymi z muzyki Szopena.

Włodzimierz Maciąg

*) Leszek Goliński, Franciszek Fenikowski: Odra szumi po polsku. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946, str. 56.

**) Franciszek Fenikowski: Lewy brzeg. Czytelnik 1951, str. 42.

*) Jan Maria Gisges: Pierwsza miłość. Czytelnik 1951, str. 52.

KOBIETY POLSKI LUDOWEJ

ZOFIA WASILKOWSKA — Prawa kobiet w Polsce Ludowej. Str. 46, zł 1.20
DOROTA KŁUSZYŃSKA — Co Polska Ludowa dała kobietom. Str. 87, zł 2.40
Kobiety na szlaku budownictwa socjalistycznego. Str. 44, zł 1.80.
Kobiety nowej Polski. Str. 228, zł 7.75.
Kobiety w walce o pokój i socjalizm. Str. 20, zł 1.20.
JANINA WEISSOWA — Kobiety polskie w obronie Pokoju. Str. 40, 2.80.

„KSIĄŻKA WIEDZA"

K-4382-1

KORESPONDENCJA

O WSPÓŁPRACY POZNAŃSKIEGO KOŁA MŁODYCH Z PRASĄ

Dyskusja o publicystyce, zapoczątkowana przez „Nową Kulturę" w nr. 6, spotkała się z żywym oddźwiękiem w naszym Kole. Artykuły Edmunda Osmańczyka, Tadeusza Konwickiego, Jerzego Andrzejewskiego, Stanisława Ludkiewicza — stanowiły temat wielu dyskusji między kolegami. Ponieważ poruszane zagadnienia są bardzo istotne również w odniesieniu do młodych, chcielibyśmy podzielić się na łamach „Nowej Kultury" naszymi doświadczeniami w zakresie współpracy z prasą w nadziei, że koleżanki i koledzy z Koła Młodych i innych ośrodków dorzucą także swoje spostrzeżenia do tego dyskusyjnego artykułu.

Gdy w grudniu 1950 r. powstało Koło Młodych przy Poznańskim Oddziale ZLP, tylko jeden z jego członków pracował etatowo w redakcji, a wśród niektórych koleżanek i kolegów krążyły dziwne teoryjki o wpływie pracy dziennikarskiej na warsztat pisarski: styl się zepsuje od gazecierskiej sztampy, język zubożeje, zagonisz się bracie w codziennej dziennikarskiej krzątaninie i wtedy o rozwijaniu i doskonaleniu twórczości nie ma mowy.

Ówczesny Zarząd Koła od pierwszego niemal dnia działalności wypowiedział wojnę podobnym nastrojom. W planie pracy sformułowano to w sposób następujący: „Koło będzie dążyć do jak najpełniejszej współpracy możliwie wszystkich jego członków z redakcjami miejscowych pism „Głosem Wielkopolskim", a przede wszystkim z redakcją partyjnej „Gazety Poznańskiej".

W pierwszym okresie, nosząca charakter „partyzantki" współpraca nie mogła dać efektywnych rezultatów: nie zawsze zamówione przez redaktorów działów kulturalnych prace były dostarczane i na odwrót: zdarzało się, że prace złożone w redakcjach zwracane były autorom bez dostatecznego objaśnienia przyczyn ich niedoskonałości. Kontakt młodych z pracą został jednakże nawiązany.

Od marca 1951 r. datują się rozmowy przedstawicieli Koła Młodych z redakcją „Gazety Poznańskiej" poświęcone projektowi wydania dodatku społeczno - kulturalnego do „Gazety Poznańskiej" pod nazwą „Widnokrąg"; młodzi zobowiązali się do ścisłej współpracy z redakcją powstającego dodatku. Pierwszy numer „Widnokręgu" ukazał się 14.4. 1951 r. i w artykule wstępnym m. in. zapowiadał „skupienie wokół siebie szerokiego kręgu piszących, pomoc w wyszukiwaniu nowych talentów, ułatwianie pisarzom nawiązania i utrzymania nieprzerwanego kontaktu z życiem mas pracujących".

Od pierwszego numeru „Widnokręgu" młodzi drukowali w nim swoje utwory, a trzech zostało przyjętych do redakcji na praktykę. Każdy utwór (obojętnie czy przeznaczony do druku czy odrzucony) był omawiany na kolegium redakcyjnym z autorem. Ale — teoryjki o rzekomo zgubnym wpływie gazety na twórczość pokutowały jeszcze u niektórych kolegów. — Czy redaktorzy pisma codziennego, nie krytycy, mogą ocenić trafnie to co napisałem? — zapytywali się. Koledzy ci zapominali, że redaktorzy partyjnej gazety mają poza sobą duże doświadczenie, znają teren i jego bolączki, mogą więc wskazać i naświetlić początkującym pisarzom szereg zagadnień, których ci nie dostrzegają, lub sprostować niewłaściwe do nich podejście. Niedocenianie lub co gorsza odrzucanie tej pomocy jest szkodliwą krótkowzrocznością, która prędzej czy później zemści się na twórczości.

W Kole zarysował się podział na tych, którzy w pełni doceniali korzyści, jakie im daje współpraca z prasą i na tych, które te korzyści negowali. Pierwsi (tych była większość) dojrzewali ideologicznie mając stały kontakt z szerokimi warstwami naszego społeczeństwa, docierali nawet do odległych miejscowości, wzbogacając swój warsztat twórczy masą nowych obserwacji, podchwyconych konfliktów, przeżyć. Uczyli się podpatrywać życie na gorąco, mówić o nim, pisać. Tym drugim — wkrótce się inwencja wyczerpała, zamiast wzbogacać środki wyrazu operowali łatwiznami, banałami.

Typowym jest przykład naszych satyryków. Ponieważ w miejscowej prasie i radio było duże zapotrzebowanie na satyrę, więc wszyscy dużo publikowali, powiedziałbym — za dużo jak na początkujących, aby nie zatracić samokrytycyzmu względem swoich utworów i w rezultacie obniżyć ich poziom. Tymczasem wymagania redakcji „Widnokręgu" wzrastały równolegle do podnoszenia się poziomu tego dodatku. W rezultacie u kolegów za mało nad sobą pracujących zaznaczył się spadek poziomu artystycznego ich utworów i spłycanie tematyki. Podczas ponownej weryfikacji członków komisja weryfikacyjna przy Poznańskim Oddziale ZLP usunęła z Koła wszystkich, którzy przez okres roku nie mogli się wykazać żadnymi postępami. Stan Koła spadł na 18 członków.

Z tej osiemnastki w chwili obecnej 5 pracuje na etacie w „Gazecie Poznańskiej", 6 dalszych z tą redakcją ściśle współpracuje, 4 kolegów zatrudnionych jest w redakcjach innych miejscowych pism na półetatach wzgl. ryczałtach. Tak więc z prasą związani są prawie wszyscy członkowie poznańskiego Koła Młodych. Nie potrzeba w tym miejscu podkreślać korzyści, jakie taka współpraca daje. Jeśli tocząca się na łamach prasy literackiej dyskusja o publicystyce wskazała na potrzebę powiązania pisarza z prasą codzienną, to tym bardziej ten postulat obowiązuje młodych. Dziwnym się więc wydaje, że w warszawskim Kole Młodych, które posiada pod ręką kilkanaście czasopism, zaledwie 3 członków Koła (na 35) pracuje w redakcjach na etacie, a tylko dalszych 10 współpracuje z prasą *). Obawiam się, że i wśród warszawskich koleżanek i kolegów — jak to miało miejsce swego czasu w Poznaniu — nie wszyscy doceniają potrzebę takiego powiązania.

„Próbą ogniową" poznańskiego Koła Młodych była realizacja projektu zredagowania całego numeru „Widnokręgu" własnymi siłami. Materiały złożyli koledzy w terminie 10 dni i to w ilości wystarczającej bodajże na dwa numery. Po przeprowadzeniu koniecznej selekcji ukazał się 26.I.52. 6-kolumnowy „Widnokrąg". Poezja, proza, krytyka, publicystyka.

Nie nadzwyczajny to był numer, ot — taki przeciętny. Ale oceniając nasz wysiłek nie należy zapominać, że przed rokiem jedną kolumnę poezji Koło przygotowywało... 2 miesiące, a zmontowanie 15-minutowej audycji do Radia było wydarzeniem wręcz epokowym. Koledzy poprzez pracą redakcyjną poznali teren, nawiązali codzienny kontakt z robotnikami i chłopami, wpatrzyli się w ich pracę, zrozumieli ich troski i radości. Ich droga do pisarstwa została skrócona. Wprawdzie posiadają jeszcze znaczne braki warsztatowe, ale nauczyli się rzeczy najważniejszej: czują się współodpowiedzialni za wszystko co się wokół nich w ludowej ojczyźnie dzieje, z młodzieńczą żarliwością cieszą się osiągnięciami, martwią się niepowodzeniami, wiedzą ile trudu i znoju, ile samozaparcia leży u podstaw naszych osiągnięć. Zrodziła się w nich pasja szukania prawdy, nieodłączna towarzyszka sukcesów pisarskich.

Niżej podpisany zadebiutował swego czasu w gazecie słabiutkim i deklaratywnym utworem, sześć razy odrzucanym, poprawianym, by dopiero za siódmym razem usłyszeć: — „Może iść..." poparte jednak sceptycznym kiwaniem głowy. I dopiero dziś z perspektywy czasu widzę, że uwagi te przyjmowane wtedy przeze mnie niemal z oburzeniem były ogólnie biorąc — słuszne. A zastanówmy się — mówię do koleżanek i kolegów z Kół Młodych — ilu z nas zapomina, że uwagi kierownictw redakcji są uwagami ludzi doświadczonych, którzy chcą nam pomóc? Zżymamy się, oburzamy, protestujemy. A słuszność jest przeważnie nie po naszej stronie.

Dodatki społeczno - kulturalne gazet terenowych posiadają bardzo nierówny poziom, prawie wszystkie borykają się z różnorodnymi trudnościami. Redakcje wszystkich tych dodatków z wdzięcznością by przyjęły uwagi oficjalnej krytyki pod adresem utworów literackich i publicystycznych w nich zamieszczanych. Tymczasem bardzo rzadkie i powierzchowne notatki o tych dodatkach, jakie pojawiły się w periodykach, nosiły charakter wyłącznie informacyjny. Spójrzmy na takie zestawienie: „Widnokrąg" w 42 numerach zamieścił następujące utwory członków poznańskiego Koła Młodych: 35 wierszy, 3 poematy po pół kolumny każdy, 10 nowel i fragmentów powieści, 25 wierszy satyrycznych i ponad 100 fraszek (nie licząc licznych recenzji, felietonów, reportaży literackich, artykułów publicystycznych itd.). Byłoby wielką pomocą zarówno dla autorów jak i dla redakcji „Widnokręgu", gdyby np. któryś z krytyków wytknął nam braki.

Opierając się na doświadczeniach poznańskiego Koła Młodych chciałbym wysunąć takie dezyderaty pod adresem komisji młodzieżowej przy Zarządzie Głównym ZLP, jako tezy dyskusyjne:

(1) Ustalić jako zasadę, że członkowie Kół Młodych winni praktykować w gazecie przez okres nie mniejszy niż pół roku.

(2) Członkowie Kół Młodych (także nie związani z prasą) winni brać udział w nastawieniowych zebraniach redakcyjnych, będących aktualną informacją polityczną dla redaktorów.

(3) Ponieważ przebieg dojrzewania pisarskiego jest równoległy do wzrostu poziomu ideologiczno-politycznego, wskazane by było, by komisja młodzieżowa przy ZG ZLP opracowała ramy źródłowe i metodyczne konkretnego planu szkolenia ideologicznego. Nie chodzi o to, by wprowadzić jakieś metody szkolarskie; młodzież czyta dużo, łapczywie, ale nie zawsze to, co by jej najbardziej pomogło w rozwoju twórczym. Tu muszą nam nasi starsi koledzy pomóc.

(4) Wprowadzić w jednym z czołowych pism literackich systematyczną ocenę prac młodych, ukazujących się w dodatkach społeczno-kulturalnych gazet terenowych, połączoną z oceną tych dodatków (dobór tematyki, ustawienie zagadnień, język, styl itp.).

Niewątpliwie na temat tych postulatów dyskusyjnych wypowiedzą się członkowie Kół Młodych innych ośrodków, dorzucą swoje doświadczenia i spostrzeżenia.

Tadeusz Borowski w jednej ze swych „Małych kronik" powiedział: ...Ołówek redaktora nie raz kreśli drogi, którymi pójdzie twórczość młodego pisarza". Kreśli i pomaga młodemu pisarzowi pokonywać trudności przeszkadzające w wejściu na tę właściwą drogę. Jeśli wśród członków poznańskiego Koła Młodych właśnie ci najbardziej z redakcją związani są najdalej w opanowaniu swego warsztatu twórczego — nie jest to rzeczą przypadku, lecz wynikiem stałego w dodatnim tego słowa znaczeniu oddziaływania klimatu redakcyjnego na młodych. O tym powinniśmy pamiętać.

Ireneusz Gwidon Kamiński
Poznań

*) Cyfry ze sprawozdania warszawskiego Koła Młodych za rok 1950/51.

O KRYTYKĘ LITERACKĄ DLA MASOWEGO ODBIORCY

Osią centralną zarówno podstawowych referatów na ostatnim Plenum Zarządu Głównego ZLP, poświęconym zagadnieniom krytyki, jak i większości wypowiedzi w szerokiej dyskusji, było zagadnienie konstruktywnej roli naszej krytyki w odniesieniu do twórcy. Stosunkowo znacznie mniej mówiono o zadaniach krytyki — zwłaszcza teatralnej — w odniesieniu do odtwórcy, natomiast zupełnie marginesowo stawiana była sprawa zadań krytyki w stosunku do odbiorcy, szczególnie tego nowego, masowego odbiorcy, dla którego krytyka ma być łącznikiem z twórcą, przewodnikiem orientującym go w kryteriach wartościowania, kształtującym jego stosunek do naszej współczesnej twórczości.

Biorąc za punkt wyjścia w naszych rozważaniach wypowiedzi, jakie docierają do nas ze strony fabrycznych załóg robotniczych i pracowniczych, biorących czynny udział w życiu kulturalnym organizowanym przez związkowe świetlice, kluby i domy kultury, spróbuję tu dać odpowiedź na pytanie, w jaki sposób krytyka powinna służyć dzisiejszemu masowemu odbiorcy?

Jako najbardziej istotne zadanie zarysowuje się udzielenie dzisiejszemu czytelnikowi czy widzowi teatralnemu pomocy w prawidłowym odczytaniu ideologicznej treści utworu: Nowy odbiorca — robotnik, chłop, czy inteligent pracujący obciążony jest często jeszcze balastem mentalności drobnomieszczańskiej i nie zawsze potrafi tę ideologiczną treść właściwie odczytać, tym bardziej, że często w niektórych utworach drugorzędne epizody zacierają właściwy obraz, a nawet powodują jego trwałe wypaczenie, zwłaszcza gdy nie dość politycznie dojrzały twórca zatraci właściwe proporcje, jak to się np. przytrafiło Kuśmierkowi w jego zbiorze opowiadań z terenu wsi, czy jak to np. miało miejsce w szeregu sztuk teatralnych wystawianych w ramach Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych.

Kryterium wartości mierzone siłą przeżycia emocjonalnego odbiorcy jest często sprawdzianem zawodnym.

Trzeba masowemu odbiorcy pokazać, na czym polega zawarty w sztuce, wierszu czy powieści, socjalistyczny patriotyzm i proletariacki internacjonalizm w odróżnieniu od nacjonalizmu i kosmopolityzmu, trzeba mu dopomóc w urabianiu sobie własnego, zdrowego i słusznego sądu o sprawach do niedawna mu obcych i niedostępnych, a dziś stających się nieodłącznym składnikiem jego codziennego życia.

Przez gąszcz tych spraw przedziera się dzisiejszy widz teatralny, dzisiejszy czytelnik z ogromnym trudem, stawiając często sobie i otoczeniu pytanie: „dlaczego?"

— Dlaczego nie wyświetla się u nas filmów kryminalnych, dlaczego zniknęły z półek bibliotek powieści „sensacyjne", dlaczego nie wystawia się dawnych operetek — tych natarczywych „dlaczego" jest bodaj więcej.

Nie możemy się łudzić, że na podobne pytania potrafi już dzisiaj bezbłędnie odpowiedzieć sobie każdy robotnik, chłop czy inteligent pracujący.

Byłoby przesadą żądanie od krytyki, ażeby stała się w tym wypadku jedynym przewodnikiem, o wiele poważniejsze obowiązki spoczywają tu na działalności kulturalno-oświatowej organizacji masowych, na prowadzonej systematycznie pracy ideologicznej i uświadamiającej, która obejmuje dziś miliony ludzi pracy w całym kraju.

Niemniej jednak stwierdzić trzeba, że nie rzadko aparat kulturalno-oświatowy zarówno związkowy, jak i rekrutujący się z innych organizacji masowych, również niewystarczająco uzbrojony jest w odpowiednią argumentację, i w tych wypadkach jedynym źródłem, które powinno dać wyczerpującą odpowiedź na szereg istotnych wątpliwości musi być krytyka literacka — rzecz jasna nie krytyka gubiąca się w drobiazgach i szczegółach, zbywająca często bardzo istotne sprawy utartym, szablonowym frazesem, lecz krytyka dydaktyczna, widząca wyraźnie całość zagadnienia, operująca różnorodnymi formami literackimi — szkicu literackiego, rozprawy, felietonu itp.

Trzeba podkreślić z całym naciskiem, że o ile poeta, dramaturg, kompozytor ma możność przedyskutowania problemów twórczych na sekcjach twórczych swego Związku, ma możność przeprowadzania dyskusji z kręgiem fachowców i znawców przedmiotu, korzystania z wydawnictw fachowych, o tyle odbiorca zdany jest tu niemal wyłącznie na uczciwą, rzeczową krytykę. Rzecz jasna, że krytyka taka nie może ograniczać się jedynie do łamów kilku pism literackich i dzienników. Trzeba ją szeroko popularyzować we wszystkich czasopismach terenowych i w czasopismach przeznaczonych dla ruchu świetlicowego jak „Świetlica", wydawana przez CRZZ, „Scena świetlicowa" Wyd. Samopomocy Chłopskiej i „Poradnik świetlicowy" Wyd. Min. Kultury i Sztuki.

Wiąże się z tym bezpośrednio poruszany podczas obrad Plenum przez Jadwigę Siekierską problem używania w recenzjach i rozprawach krytycznych terminologii fachowej. Nie wydaje mi się rzeczą słuszną unikanie pewnych ogólnie przyjętych określeń i zastępowanie ich pojęciami zrozumiałymi dla ogółu, względnie uproszczeniami. Obawa spotkania się z niezrozumieniem ze strony robotnika jest trochę nieuzasadniona. Ostatecznie każda gałąź wiedzy, każdy zawód operuje pewnym zasobem terminów fachowych, nie zawsze zrozumiałych dla ogółu. Jeżeli jednak fachowiec piszący książkę czy rozprawę naukową używa z całym spokojem np. słowa „teodolit", „obróbka termiczna", czy t. p., to równie dobrze i z równym spokojem krytyk literacki może i powinien używać słów takich jak realizm socjalistyczny, formalizm, naturalizm, kosmopolityzm itp. Jeżeli są dziś jeszcze ludzie, którzy nie rozumieją treści zawartej w tych słowach, to wydaje się, że w dzisiejszej zdecydowanej walce o likwidację wstecznych kierunków w sztuce, w rozwiniętej ofensywie o pełne zwycięstwo metody twórczej realizmu socjalistycznego, treść tych słów musi stać się jasną i zrozumiała dla wszystkich, jak jasne i zrozumiałe stały się słowa—walka klasowa, czujność, imperializm i inne. Trzeba nie tylko wyjaśniać szeroko i powszechnie bezpośrednie znaczenie tych słów, lecz trzeba również odkrywać polityczne korzenie kierunków przez nie określanych. Trzeba również uświadamiać ludzi, w jakim stopniu sztuka w społeczeństwach kapitalistycznych została bez skrupułów wprzęgnięta do wywoływania ideologicznego chaosu i demoralizacji społeczeństwa, jako jeden z najbardziej skutecznych środków oddziaływania emocjonalnego.

Wydaje mi się, że uprawiając krytykę twórczą, krytykę dydaktyczną, świadomą swych zadań wobec szerokich rzesz odbiorców, trzeba umieć te ogólne pojęcia wyjaśniać na konkretnych przykładach, tak jak to zrobił np. na jednej z narad minister Sokorski mówiąc o książce Kuśmierka i wskazując na ciążące na niej naturalistyczne wypaczenia.

Trzeba sobie uprzytomnić, że od krytyków ludzie dzisiaj chcą się uczyć i nie chodzi tu bynajmniej o jakąś nieliczną grupę znawców zagadnień literatury, lecz o wielomilionowe rzesze czytelników, widzów teatralnych czy kinowych, słuchaczy koncertów filharmonicznych, o tych wszystkich, dla których dziś otwarty został szeroko dostęp do kultury, i którzy z tego dostępu masowo korzystają. Dlatego krytyk dzisiejszy musi nie tylko wygłaszać sądy oparte o gruntowną znajomość przedmiotu, pełne poczucie odpowiedzialności za każde wypowiedziane słowo, ale sądy te muszą także zaspokajać potrzeby masowego odbiorcy. W tym celu ważne jest, aby krytyk znał jak najpełniej potrzeby, zainteresowania i wątpliwości czytelników.

Trzeba stwierdzić, że w tej chwili nie mamy u nas żadnej zorganizowanej metody „sondowania" opinii masowego odbiorcy, badania, jak została przez ogół przyjęta i oceniona jakaś nowa książka czy sztuka sceniczna.

Podczas obrad Plenum padł projekt zorganizowania przy ZLP Komisji Krytyki Literackiej. Otóż wśród licznych zadań stawianych przed tego rodzaju Komisją należałoby również umieścić sprawę zorganizowanego, opartego o organizacje masowe i instytucje czynnego upowszechnienia kultury prowadzenia badań nad kształtowaniem się sądów krytycznych ze strony masowego odbiorcy, m. in. również na użytek krytyków zawodowych, jako jeden ze środków wzmocnienia naszej krytyki.

Jarosław Karczewski

PO GŁOSIE KRYTYKA — GŁOS REDAKTORA

W związku z uwagami ob. Koźniewskiego i listem ob. Sielskiego w sprawie przekładu książki H. Manna „Biedacy" chciałabym, jako redaktor odpowiedzialny tej książki, stwierdzić, że wszystkie zmiany w przekładzie uzgodnione zostały z tłumaczem, który wyraził mi za nie szczególną wdzięczność.

Dziwi mnie, że ani ob. Koźniewski, ani ob. Sielski cytując przykłady polskie nie podali, jak brzmią one w oryginale. Ob. Koźniewskiemu wyjaśniłoby to jego wątpliwości, a ob. Sielskiemu odpowiedziałoby (miejmy nadzieję) na pytanie, dlaczego jego „widmowe, wyśnione barwy" i „obraz z bajki" zostały przeze mnie usunięte. W tekście niemieckim cytowany przez ob. Sielskiego ustęp ze strony 36 wydania polskiego brzmi: „Da, gerade da ward der Mond frei, strömte hin sein Licht über Haus und Garten — schenkte sie ihm geisterhaft, Farben des Traumes und der lüsternen Märchen, tiefblaue Schatten, silberne Wand; bot den Besitz ihm an wie ein Weib."

Ponieważ uważałam, że ob. Sielski w całym swoim przekładzie rozwadnia i lukruje tekst Manna, starałam się przywrócić mu jego pierwotną, miejscami chropawą zwięzłość.

Czy i o ile poprawki moje były słuszne, rozstrzygnie Sekcja Tłumaczy Związku Literatów, któremu sprawa ta została oddana do rozpatrzenia.

K. Dolatowska

Z SAL KONCERTOWYCH

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Nowy koncert Bacewiczówny, muzyka belgijska i IV symfonia Beethovena pod dyrekcją Fernanda Quinet

Ostatnim koncertem symfonicznym Filharmonii Warszawskiej (dn. 29 lutego i 2 marca b. r.) dyrygował przebywający na występach w Polsce **Fernand Quinet**, wybitny kapelmistrz belgijski, zasłużony działacz w dziedzinie polsko-belgijskiego zbliżenia kulturalnego. W programie znalazło się m. in. pierwsze w Warszawie wykonanie IV koncertu na skrzypce i orkiestrę **Grażyny Bacewiczówny** (prawykonanie tego utworu odbyło się o tydzień wcześniej w Krakowie).

Jest rzeczą zrozumiałą, że każde nowe polskie dzieło staje się przedmiotem szczególnej uwagi zarówno sfer fachowo-muzycznych jak i publiczności. Zainteresowanie było tym większe, że chodziło o twórczość kompozytorki tak wybitnej i czyniącej w ostatnich latach tak szybkie postępy jak Bacewiczówna. Nowy jej koncert, napisany jesienią ub. r., zaliczyć należy bezspornie do największych osiągnięć kompozytorki. Uderza tu przede wszystkim bogactwo i głębia myśli, które w takim nasileniu w dotychczasowej twórczości Bacewiczówny zaobserwować się dało chyba tylko w IV Sonacie skrzypcowej. Jedynie w tej ostatniej można znaleźć równie silny ładunek emocjonalny, równie silny rozmach i pęd do monumentalności. Część pierwsza, jak i druga, trzyma słuchacza od początku do końca w nieustannym napięciu. Część trzecia (finał) świadomie rozładowuje nastrój, kończąc dzieło akcentami żywotności, energii i optymizmu. W zestawieniu z powagą i skupieniem całości rozładowanie jest może zbyt radykalne — dotyczy to zwłaszcza głównego tematu finału. Przyznać jednak trzeba, że nie ucierpiała na tym jednolitość stylistyczna dzieła, co już jest bardzo wiele. Przykłady niektórych, genialnych nawet dzieł świadczą bowiem, jak dalece trudny i niewdzięczny jest problem właściwego rozwiązania sprawy finału sonaty czy symfonii.

Jednym z ważnych osiągnięć nowego utworu jest jego melodyka. Nawrót do melodyjności obserwujemy już od dłuższego czasu zarówno w dziełach Bacewiczówny, jak i innych polskich kompozytorów. Jednakże tematy IV Koncertu skrzypcowego posiadają pewną — rzadko we współczesnej muzyce spotykaną — wewnętrzną logikę rozwoju melodycznego. Nie ma tu przypadkowości, chaotycznej nerwowości, poszczególne frazy rozwijają się w sposób płynny, naturalny, przekonywający. Cechę tę posiadają wszystkie tematy części pierwszej: krótki, ale ważny konstrukcyjnie temat orkiestrowego wstępu, szeroki, szlachetny w linii pierwszy temat skrzypiec i liryczny temat drugi. Jeszcze w większym może stopniu stwierdzić to można w skupionej melodyce części środkowej — najlepszej bodaj z całego koncertu—fascynującej słuchacza swym powolnym narastaniem aż do gwałtownego, dramatycznego wybuchu orkiestrowego „tutti". Taki charakter melodyki w połączeniu z przejrzystością interesujących a prostych środków harmonicznych i podkreśloną już szczerością i siłą napięcia uczuciowego czyni z koncertu Bacewiczówny dzieło zrozumiałe i komunikatywne.

Przejrzystością odznacza się również konstrukcja oparta na formie koncertu klasycznego, ale przynosząca tak nowe i odkrywcze rozwiązania, jak zastąpienie przetworzenia tematycznego przez kadencję solową skrzypiec, a przez to organiczne wtopienie tej ostatniej w całość struktury.

Łatwo było przewidzieć z góry, że skrzypaczka — Bacewiczówna doskonale rozwiąże problem faktury partii skrzypcowej Czyni to ona jednakże bez najmniejszego uszczerbku dla faktury orkiestrowej Instrumentacja akompaniamentu orkiestrowego odznacza się wirtuozowskim blaskiem, frapuje śmiałym użyciem „blachy", świetnością barw, a przy tym ani na chwilę nie zagłusza skrzypiec, pozostawiając im cały czas pierwszoplanową rolę.

Omówienie byłoby niepełne, gdybym nie wspomniał o najważniejszym może: typ melodyki, emocjonalność, szerokość oddechu, liryzm — we wszystkim tym widać przy zupełnej odrębności stylistycznej nawiązanie od wielkich tradycyj Szymanowskiego. Te same cechy nadają jednocześnie dziełu klimat wybitnie polski. Jeśli III Koncert skrzypcowy Bacewiczówny obraca się jeszcze wokół mniej lub więcej surowej ludowości, to IV koncert przepojony jest prawdziwą polskością bez uciekania się do jakichkolwiek autentycznych czy też przestylizowanych cytat melodyki ludowej. I to jest może największe osiągnięcie, poważny krok w kierunku celu, do którego zmierzają wysiłki wszystkich naszych kompozytorów: w kierunku stworzenia własnego, odrębnego oblicza muzyki polskiej.

Oprócz koncertu Bacewiczówny usłyszeliśmy w programie dwa inne utwory. Wykonana na początku Passacaglia i Giga **Józefa Jongena** (ur. w r. 1873), jednego z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów belgijskich, to utwór na poważnym poziomie, świadczący o dużej wiedzy i dobrym opanowaniu rzemiosła kompozytorskiego.

W drugiej części koncertu znalazła się najrzadziej chyba wykonywana symfonia **Ludwika van Beethovena,** a mianowicie IV symfonia (B-dur)— całkowicie zresztą niesłusznie niedoceniana. Wpłynęło na to prawdopodobnie sąsiedztwo dwóch wielkich symfonii: III-ciej („Eroiki") i V-tej. Zapewne, że w stosunku do radykalnej, rewolucyjnie nowatorskiej „Eroiki" Symfonia B-dur stanowi pewien odwrót czy też raczej odpoczynek stylistyczny. Dlatego, bez względu na chronologię, wypada ją zaliczyć do wcześniejszej epoki twórczości Beethovena. Problem „wczesnego" Beethovena staraliśmy się wyświetlić nieco w poprzednim numerze „Nowej Kultury", stawiając tezę, że w tym okresie kompozytor nie tyle ulegał wpływom Haydna i Mozarta, ile po prostu był trzecim obok tych dwóch, zupełnie niezależnym przedstawicielem „klasycyzmu wiedeńskiego". W późniejszych zaś okresach oddalił się znacznie od stylu i metody twórczej szkoły wiedeńskiej, stając się — mimo zachowania wszelkich epickich form — bardzo już wyraźnym prekursorem romantyzmu. O ile „Eroika" stoi już właściwie „po tamtej stronie", o tyle IV Symfonia stanowi doskonały przykład przełamywania się w twórczości Beethovena „starego" z „nowym". Allegro I części, a jeszcze bardziej finał (część IV) wyrasta niewątpliwie z doświadczeń szkoły wiedeńskiej. To niezaprzeczony klasycyzm, chociaż klasycyzm własny Beethovena, zupełnie niezależny od Haydna i Mozarta, niezależny w znacznie większym stopniu niż w Symfonii I i II. Za to wstęp do I części, powolny wstęp poprzedzający Allegro — jego tajemnicze półcienie, refleksyjność, zadumanie, osobisty, subiektywny charakter — stwarza nastrój bliski sercu romantyków, nastrój, który pozwolił nadać tej symfonii nazwę „Romantycznej".

Bardzo typowy dla środkowego już okresu twórczości Beethovena charakter posiada przepiękne, pełne subtelności Adagio (część II). Również wybitnie beethovenowskie cechy widzimy w Scherzo (część III) i jego oryginalnym, trochę „kulejącym" rytmie. Zdobyczą konstrukcyjną tej części jest powtórzenie drugiego i trzeciego (identycznego z pierwszym) epizodu, przez co forma Scherza zbliża się tu trochę do Ronda. Układ tego rodzaju znaleźć można w niejednej z późniejszych symfonii Beethovena. Zresztą i w częściach „klasycznych" (I i IV) piętno genialnej osobowości kompozytora przebija zarówno w szczegółach konstrukcyjnych, jak i w stylu dzieła.

Fernand Quinet — to wytrawny muzyk i rutynowany kapelmistrz. Jego spokojna, opanowana, może nie specjalnie efektowna dla oka, technika gestu podporządkowana jest całkowicie celowi, któremu służy. A celem tym jest jak najdokładniejsze wydobycie wszystkich szczegółów partytury i stworzenie z nich jasnej, logicznej koncepcji odtwórczej. Toteż praca Quineta przy pulpicie nie daje wrażenia jakiegoś osobistego kapelmistrzowskiego popisu, daje natomiast możność usłyszenia poszczególnych dzieł w precyzyjnej, sumiennej i pełnej pietyzmu interpretacji.

Grażyna Bacewiczówna była świetną odtwórczynią partii skrzypcowej swego własnego dzieła. Doskonale wypadła zwłaszcza solowa kadencja w I części koncertu.

Orkiestra brzmiała bardzo dobrze w symfonii Beethovena, natomiast w akompaniamencie koncertu Bacewiczówny wykazywała niedostateczne przygotowanie.

Wawrzyniec Żuławski

Z TYGODNIA

W KRAJU

PAMIĘCI WIELKIEGO TWÓRCY „MARTWYCH DUSZ" I „REWIZORA"

poświęcony był uroczysty wieczór w 100-ą rocznicę śmierci Mikołaja Gogola, zorganizowany 4 b.m. w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie. Na uroczystość przybyli m. in. członkowie Rady Państwa, Biura Politycznego KC PZPR, członkowie Rządu z premierem Cyrankiewiczem na czele, przedstawiciele PKOP. W obchodzie wzięła również udział delegacja radziecka: znana pisarka Anna Karawajewa oraz historyk i teoretyk literatury prof. A. Miasnikow. Referat o życiu i twórczości Gogola wygłosiła Maria Dąbrowska. Referat ten drukujemy na 1-ej stronie niniejszego numeru naszego pisma.

OGÓLNOKRAJOWY OBCHÓD 15 ROCZNICY ŚMIERCI KAROLA SZYMANOWSKIEGO

będzie zorganizowany w dniach od 29 b.m. do 6 kwietnia. W skład Komitetu Obchodu wchodzą m. in. przedstawiciele KC PZPR, rad narodowych Warszawy, Krakowa i Zakopanego, wybitni przedstawiciele świata kulturalnego oraz członkowie rodziny kompozytora. Wszystkie filharmonie w całym kraju poświęcą jeden lub więcej programów koncertowych utworom twórcy „Harnasiów". W Warszawie będzie odsłonięta tablica pamiątkowa na murze domu przy ul. Nowy Świat 47, gdzie mieszkał i tworzył Szymanowski. Odbędzie się również konferencja naukowa, połączona z dyskusją nad jego twórczością.

W „BIBLIOBUSACH"

tzn. w specjalnie urządzonych samochodach — ruchomych punktach sprzedaży książek, zorganizowanych przez wrocławski „Dom Książki" — w ciągu ostatnich dwóch tygodni zakupili chłopi i robotnicy Dolnego Śląska 18 tys. książek.

„PRAŹRÓDŁA TEATRU"

— wystawa zapoznająca z najwcześniejszymi źródłami sztuki teatralnej została otwarta w salach szczecińskiego Muzeum Morskiego.

NOWYM DYREKTOREM TEATRU NARODOWEGO

im. Wojska Polskiego w Warszawie został Marian Meller, powołany na to stanowisko przez Min. Kultury i Sztuki. Głównym reżyserem tego teatru został Bohdan Korzeniewski.

„STO LAT REALIZMU W PLASTYCE POLSKIEJ"

— pod tą nazwą została przygotowana do ekspozycji w Zw. Radzieckim wystawa obejmująca ponad 100 prac wybitnych malarzy, rzeźbiarzy i grafików.

NOWE WYSTAWY W ZACHĘCIE

II ogólnopolska wystawa fotografiki, zbiorowa wystawa prac T. Kulisiewicza, B. Kopczyńskiego i S. Dybowskiego — zostały otwarte 6 b.m. w salach Zachęty.

ZESPÓŁ TEATRALNY PRZY HUCIE „BATORY"

przygotował na Festiwal Sztuk Polskich sztukę S. Piotrowskiego „W rodzinnym domu" oraz „Wodewil śląski", którego autorem jest pracownik huty, Szeńdzielorz.

„FIRCYKA W ZALOTACH" WYSTAWILI PABIANICCY WŁÓKNIARZE

w eliminacjach powiatowych Festiwalu. Zespół ten — przy Zakł. Przemysłu Bawełnianego — został dopuszczony do eliminacyj wojewódzkich. Ponadto zakwalifikowano do eliminacji wojewódzkich jeszcze dwa zespoły z tego powiatu: zespół świetlicy przy Zakł. Przem. Dziewiarskiego w Zduńskiej Woli („Szczęśliwi ludzie" Wróblewskiego) i zespół przy Zakł. Wytwórczych Lamp Elektrycznych w Pabianicach („Zaprzęgaj konia" Lachowicza).

WIECZÓR AUTORSKI HANSA MARCHWITZY

odbył się 1 b.m. w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy. 3 b.m. został zorganizowany w Domu Dziennikarza poranek poetycki BERTOLTA BRECHTA z udziałem artystki dram. Heleny Weigel.

CELEM ZAPOZNANIA SIĘ Z LALKARSTWEM POLSKIM

podróżuje obecnie po Polsce dr Jan Malik, dyrektor Centralnego Teatru Lalek w Pradze, znawca i teoretyk lalkarstwa czechosłowackiego, reżyser i scenograf wielu sztuk dla teatrów kukiełkowych. W Łodzi odwiedził on teatry „Arlekin" i „Pinokio".

PIERWSZY DYRYGENT OPERY W PRASKIM TEATRZE NARODOWYM

Jaroslav Krombholz przybył do Polski. Artysta rozpoczął swe występy w Poznaniu, gdzie dyrygował orkiestrą Filharmonii.

POLSKIE TOWARZYSTWO PRZYRODNIKÓW IM. KOPERNIKA

połączyło się 2 b.m. z Zrzeszeniem Przyrodników Marksistów, zachowując dotychczasową nazwę. Działalność towarzystwa ma obecnie przede wszystkim przyczyniać się do ugruntowania materialistycznego poglądu na świat oraz do ścisłego powiązania nauk przyrodniczych z budownictwem socjalistycznym w naszym kraju. Przewodniczącym Zarządu Głównego został wybrany K. Petrusewicz, zastępcami przewodniczącego: K. Maślankiewicz, G. Poluszyński i A. Szenberg.

LILLY NEMENYI

wybitna artystka opery budapeszteńskiej, odtwórczyni roli tytułowej w wystawionej ostatnio w Budapeszcie „Halce" Moniuszki — wystąpiła 6 b.m. w Państwowej Operze Warszawskiej w „Cyganerii". Obecnie udała się na Śląsk i do Poznania.

ZA GRANICĄ

TWÓRCZOŚĆ GOGOLA STANOWI DZIŚ DOROBEK CAŁEJ LUDZKOŚCI

— na uroczystej akademii w Moskwie, poświęconej 100 rocznicy zgonu pisarza, wśród 2 tys. obecnych byli również liczni delegaci zagraniczni. Po referacie wybitnego krytyka literackiego prof. W. Jermołowa i przemówieniach pisarzy radzieckich głos zabierali kolejno: jako przedstawiciel Światowej Rady Pokoju — Nazim Hikmet, przewodniczący Bułgarskiej Akademii Nauk — prof. T. Pawłow, Paul Eluard, L. Kruczkowski, znany węgierski pisarz Peter Veres, M. Moranu (Rumunia), pisarka chińska Din Lin, pisarz koreański Li Gi En, Damdin-Surun (Mongolia), Z. Jesienska (CSR), J. Aldridge (W. Brytania) oraz przewodniczący Akademii Sztuki NRD, pisarz Arnold Zweig.

POMNIK M. GOGOLA W MOSKWIE

został odsłonięty 2 b.m. na Bulwarze im. Gogola w śródmieściu stolicy ZSRR. Odsłonięcia dokonał w imieniu Rady Ministrów ZSRR Mikołaj Tichonow.

PRAPREMIERA PIERWSZEJ CZESKIEJ SZTUKI O FUCZIKU

odbyła się w Karlovych Varach. Autorem sztuki pt. „Najlepsi synowie i córki" jest młody pisarz czeski Vladimir Semrad.

PO BERLINIE, PRADZE I KIJOWIE

sztukę „Zwykła sprawa" A. Tarna wystawił teatr w Lipsku pod dyrekcją M. Burghardta. „Zwykła sprawa" ukazała się ponadto w wydaniu książkowym w języku włoskim w przekładzie Luigi Cini.

„DAS VERURTEILTE DORF"

— taki tytuł nosi nowy film „Defy", stanowiący wielkie osiągnięcie niemieckiej kinematografii. Obrazuje on zdecydowany opor ludności pewnej wsi w Niemczech Zachodnich przeciw amerykańskiej polityce wojennej, która zamienia pola uprawne i osady wiejskie na tereny lotnisk i poligonów. Reżyserem filmu jest Martin Hellberg.

GRÓB WIKTORA HUGO TONĄŁ W KWIATACH

podczas uroczystości, jaka odbyła się w paryskim Panteonie. Wielkiemu pisarzowi — bojownikowi o postęp i pokój, w 150-tą rocznicę jego urodzin hołd złożyli przedstawiciele Francuskiej Partii Komunistycznej, działacze ruchu obrońców pokoju, uczeni i pisarze, robotnicy i studenci.

PUBLICZNĄ ZBIÓRKĘ FUNDUSZÓW

które pomogą zorganizować w r.b. uroczystości w całej Francji ku czci W. Hugo — ogłosił Komitet Obchodu, założony przez Jean Hugo. Wezwanie do zbiórki podpisali w imieniu Komitetu m. in.: Aragon, Jean Louis Barrault, Pierre Benoit, Paul Eluard, Fernand Gregh, Maurice Guyot, André Maurois. Rząd francuski zajęty zbrojeniami, na takie cele pieniędzy nie ma...

„ACHTUNG, BANDITI!"

— postępowy film włoski, wyprodukowany dzięki środkom zebranym przez widzów, obrazuje walkę włoskich partyzantów przeciwko hitlerowskim okupantom. Zrealizował film Carlo Lizzani.

KIEDY VEIT HARLAN UKAZAŁ SIĘ W KINIE

po wyświetleniu swego nowego filmu „Hanna Amon" w Marburgu (Niemcy Zach.) — został powitany gwizdami i okrzykami: „Precz!". Tak 1100 studentów protestowało przeciw powrotowi do pracy w filmie jednego z czołowych filmowców reżimu hitlerowskiego i autora ponurą sławą cieszącego się rasistowskiego filmu „Żyd Süss".

ENERGIA I BRAK ENERGII

Czytelników recenzji Romana Szydłowskiego z Teatru Satyryków w ostatnim (10) numerze „Nowej Kultury" musiało zafrapować niefortunne zdanie, w którym poddana jest ocenie gra Lidii Wysockiej. Czytamy w nim: „Lidię Wysocką wolimy we frywolnych piosenkach niż wtedy, kiedy drapuje się na *energię*." (podkr. nasze). W istocie zachodzi tu wypadek braku energii naszej korekty, która nie zaprotestowała przeciw energicznej zmianie tekstu w składzie zecerskim. W tekście mowa jest bowiem o drapowaniu się odtwórczyni piosenek „Mój Paryż" i „Astoria" — na *egerię*.

Red.

MARIA JAROCHOWSKA

Niespodzianka za pobraniem

Przed drzwiami czysto wybielonego domu zeskakuje z roweru listonosz.

— Jest paczka dla spółdzielni.

Stanisław Nowicki, przewodniczący, obraca w dłoniach pakunek o kształcie cegły. Rzeczywiście adres się zgadza. Zrzeszenie Uprawy Ziemi Juliszew, powiat Gostynin. A co jest w środku? Nie trzeba zgadywać. Wyraźny druk obwiedziony ramką na opakowaniu informuje: „Książki. Taryfa ulgowa 50%".

Nowicki ucieszył się. Wprawdzie zarząd spółdzielni nie zamawiał ostatnio żadnych książek, ale taka przesyłka jest na wsi pożądanym gościem. Juliszew leży nieco na uboczu od innych wsi. Biblioteki jeszcze nie posiada. Im lepiej gospodarują członkowie, tym więcej otwiera się przed nimi problemów. Naradzają się między swoimi, dyskutują z sąsiadami, nieraz myśleli sobie, że istnieją przecież książki, w których znaleźć by mogli odpowiedź na rozmaite dokuczające im pytania. Są przecież takie książki, które po prostu mogą pomóc, tak samo jak jeden człowiek pomaga drugiemu człowiekowi.

Stanisław Nowicki wyciąga rękę po ołówek. Ale nie wystarczy potwierdzić odbiór przekazu. Musi się wpłacić pobranie.

Przewodniczący stropił się, lecz nie na długo. Pewno, sto pięć złotych zawsze to pieniądz nie trociny, ani plewy. Trzeba je umieć zarobić. Ale dniówka obrachunkowa była piękna tego roku w Juliszewie. Wyniosła 35 zł i 25 gr.

Więc można sobie pozwolić na nieprzewidziany wydatek. Na pewno książki przyniosą korzyść więcej wartą, niż wydana na nie setka.

Wieczorem żona przewodniczącego wytarła starannie stół po kolacji. Nowicki uroczyście rozwinął paczkę z papieru. Książek było sześć. Już na widok pierwszej przewodniczący chrząknął zadowolony. Był to pękaty tom pod tytułem: *„Technika księgowości przebitkowej"*. Liczył aż 345 stron.

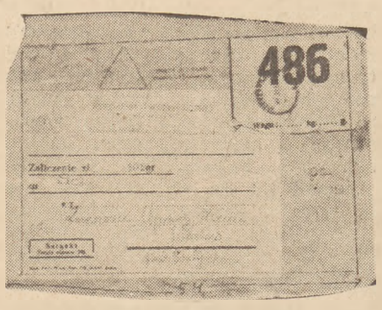

Część opakowania, w którym przesłano książki do spółdzielni. Widoczny adres nadawcy.

Stanisław Nowicki na razie sam pełni w spółdzielni funkcje księgowego. Pomaga mu żona. Oboje nie mają wprawy. Bo kiedyż się mieli nauczyć, ona służąca i niańka u obcych, on nie tak dawno jeszcze parobek niemieckiego kułaka. Jednak najlepiej stosunkowo z wszystkich członków zespołu orientują się w buchalterii. Lecz ileż, ileż czasu pochłania im układanie budżetu i obliczanie dniówek, i księgowanie dochodów, i zapisywanie wydatków. Nowicki jest przeciążony dodatkową robotą, Nowicka nieraz musi odkładać z dnia na dzień pranie, albo wypiek chleba, bo bilans czekać nie może. Gdyby tak dało się któregoś z członków poduczyć, choćby z jakiejś książki, jeśli tam jest wyłożone zrozumiale.

Z nadzieją zabrał się przewodniczący zrzeszenia Juliszew do studiowania grubego podręcznika.

Przeczytał jeden rozdział: *„Kalkulowanie nakładów wtórnych do rozliczenia"*.

Przeczytał drugi: *„Przeszacowania środków trwałych"*.

Przeczytał trzeci: *„Finansowe składniki środków obrotowych eksploatacyjnych i specjalnych"*.

Nie zrozumiał nic a nic. Nie na żarty markotny wrócił na początek do jedynego nie obcego mu słowa: księgowość. Dowiedział się, że istnieją mnogie rodzaje księgowości. Jest typ *DROSTE* i typ *TAYLORKIN*, jest *KRUK* albo *MILLER*, albo *ROMES*, może być *MAYFIX* lub *PERFECTA*. Każdy typ został w książce opisany wyczerpująco i ogromnie zawile.

Nowicki ciężko wstchnął i przetarł zaczerwienione powieki. No cóż, w książce wyraźnie chodzi o jakieś maszyny księgująco-liczące. Widocznie ci z Warszawy, którzy przysłali paczkę, wysoko cenili juliszewską spółdzielnię. Myśleli, że skoro zespół umie dobrze gospodarować, potrafi także liczyć za pomocą maszyn. Nie przypuszczali, że im tutaj na wsi potrzeba wskazówek ułatwiających prowadzenie najprostszej księgowości.

Kiedy najstarszy z kogutów oznajmił pianiem północną godzinę, Nowicki zrezygnował z prób zrozumienia zagadkowej książki.

Za to następna na pewno przyniesie mu cenne wiadomości.

Była nieco cieńsza, ale też pokaźna. 168 stron. Sam tytuł zajmował sporo miejsca na okładce. Brzmiał tak: *„Dekret o najmie lokali z dnia 28.VII.1948 oraz rozporządzenia wykonawcze, teksty, objaśnienia, przepisy związkowe. Zbiór tekstów i ustaw. Dodatek — instrukcja i wytyczne Ministerstwa Odbudowy"*.

— Jakaś pomyłka — domyślił się Nowicki. Żadnego lokalu nie wynajmował, on ani nikt we wsi. Mieszkał w swoim domu. Otrzymał go na własność, kiedy uciekł zeń niemiecki kolonista, dla którego tak ciężko harował. Kłopoty mieszkaniowe nie dokuczyły im tutaj w Juliszewie. Jednak dla pewności Nowicki zagłębił się w przepisy. Wkrótce stwierdził zniechęcony, że paragrafy formułowane prawniczym stylem dotyczą wyłącznie i jedynie miejskich spraw lokalowych. O wsi nie było tu mowy.

Ze wstępu do trzeciej książki dowiedział się Nowicki ciekawych szczegółów o jej autorze. Inżynier holenderski Van Gogh po skończeniu studiów odbył praktykę w Anglii, Niemczech i Belgii. Potem zajmował kierownicze stanowiska w przemyśle francuskim, amerykańskim i japońskim. Cenna wiedza, którą nabył w tych trustach, pozwoliła mu *„skreślić pracę udostępniającą zasady naukowego kierownictwa przedsiębiorstwem oraz ich stosowanie szerokim kołom zainteresowanych"*. Napisał dwusto-stronicowe dzieło pod tytułem: *„Zarządzanie przedsiębiorstwem wytwórczym"*. Po polsku przygotowano je do druku w latach 1938 — 39. Wydano w roku... 1946.

Między książkami, którymi poczęstowano juliszewskie zrzeszenie uprawy roli znajdowała się również *„Sprawozdawczość w przedsiębiorstwie"*, oczywiście przemysłowym — pióra inżyniera doradcy J. Witowskiego, wydana w roku 1947. Była tam także *„Gospodarka materiałowa"* — oczywiście zakładu przemysłowego — wydana w roku 1946.

Ostatnia z przysłanych książek nosiła tytuł: *„Istota i rozwój naukowej organizacji pracy"*.

„Rozprawka niniejsza ukazała się w pierwszym wydaniu w połowie 20-lecia międzywojennego; w roku 1928 — szczytowym momencie światowej pomyślności" — informuje wstęp do drugiego wydania z dnia 2 stycznia roku 1947. *„Zagadnienia w niej omówione nie straciły jednak nic na swej aktualności i znaczeniu"* — zapewnia dalej. *„Przeciwnie nawet, w okresie głębokiego wyczerpania, w jakim żyjemy po drugiej wojnie światowej, stały się one jeszcze bardziej doniosłejsze... Sposób postawienia i oświetlenia tych zagadnień w niniejszej rozprawce nie wymaga, zdaje się, żadnej zasadniczej zmiany"*.

Jakich więc autor udziela przedsiębiorstwom wytwórczym wskazówek, równie aktualnych w „momencie szczytowym światowej pomyślności" jak i „w okresie głębokiego wyczerpania"?

„Nasza organizacja jest tak wysoce wyspecjalizowana i każda część tak zależna od innych, że nie moglibyśmy nigdy zezwolić robotnikom na pracę według ich własnej myśli. Bez nieugiętej dyscypliny mielibyśmy największe zamieszanie i zdaje mi się, że w przemyśle nie powinno być inaczej".

Komuż się tak „zdaje"? Ta osoba musiała być nie lada autorytetem, skoro nawet jej wątpliwości są cenną opinią dla autora polskiej rozprawki.

Zdaje się ni mniej ni więcej tylko... Henry Fordowi. Polski profesor powołuje się na doświadczenia tego niechlubnej pamięci króla samochodów, cynicznego specjalisty tworzenia systemu pracy ogłupiającej robotników, rekordzistę wyzysku.

Polski profesor cytuje niejednokrotnie, zarówno wywody Forda jak i teorie rozmaitych naukowców anglosaskich, gorliwych piewców kapitalizmu. Cytuje również opinie zdrajcy klasy robotniczej, Greena, prezesa Amerykańskiej Federacji Pracy. Prezes — opowiada autor broszury — *„w grudniu 1925 roku oświadczył, że nie potępia on wcale systemu kapitalistycznego, chce go tylko ulepszyć. Robotnicy nie dążą do radykalnego przekształcenia ustroju społecznego, lecz dążą do efektywnej współpracy trzech czynników przemysłu: kapitału, pracy i kierownictwa. To ostatnie odgrywa coraz większą rolę, co jest przychylnie widziane przez przedstawicieli pracy. Kiedyś zdawało się kierownictwu, że celem jego jest tylko osiągnięcie maksimum zysku dla kapitału, ze szkodą wynagrodzenia robotników. Przekonało się jednak stopniowo, że rola jego polega na obniżaniu środków produkcji, utrzymując, a nawet podnosząc płace. Odtąd możliwa jest ścisła współpraca między kierownictwem, a zorganizowanym ruchem robotniczym, ponieważ ich cele nie różnią się... A więc nie hasło walki klas, ale idea solidarności i współpracy staje się oficjalną doktryną wielkiej organizacji robotniczej Stanów Zjednoczonych"*.

„Wśród czynników sprzyjających rozwojowi naukowej organizacji pracy — stwierdza na str. 23 rozprawy Szwajcar, Paul de Vinat — *wymienić należy w końcu czynnik przejściowy — wojnę światową... Wprawdzie działała wojna pod pewnymi względami hamująco na postępy organizacji pracy, nie potrzeba się było bowiem podczas niej tak liczyć z konkurencją, nie można było przeprowadzić dokładnej kalkulacji gospodarczej, trzeba było nieraz wytwarzać możliwie szybko, bez względu na koszty, brak było wreszcie odpowiednich specjalistów. Sądzę jednak, że wpływ wojny okazał się dostatecznie dodatnim, jeśli chodzi o rozwój naukowych metod pracy, w szczególności w latach po niej następujących, w czasie trwania jej skutków. Stworzyła ona na ogół pewną atmosferę, sprzyjającą naukowej organizacji"*.

Foto Z. Małek

Stanisław Nowicki — przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Juliszew, pow. Gostynin. Spółdzielnia ta pierwsza w gminie odstawiła ziemniaki i zboże na miejsce skupu.

Gęsi już na dobre roztrajkotały się w komórce, a świnie natarczywym kwikiem zaczęły się domagać rannych pomyj, kiedy Nowicki odłożył książki.

Daremnie poświęcił im wiele godzin swego snu i odpoczynku. Odebrały trzy noce człowiekowi ciężko pracującemu w dzień. Opowiadał mi o tym zrezygnowanym tonem, głęboko zawiedzionym. Książki go oszukały. Nie znalazł w nich nic dla swej spółdzielni, ani dla siebie.

— Warto by poruszyć — proponował oględnie. — Warto by poruszyć, w Warszawie się widać nie orientują, jakie książki są potrzebne u nas. Te tutaj nie nadają się w ogóle. — Leżały na kredensie z szacunkiem zawinięte w ten sam papier, w którym przybyły do Juliszewa. Na tym opakowaniu właśnie znalazłam adres nadawczy bezwstydnie widoczny.

Książki wysłano rzeczywiście z Warszawy, z pakowni przy ulicy Mazowieckiej, spod numeru czwartego. Nadała przesyłkę księgarnia— wydawnictwo Wł. WILAK.

Nie trudząc się w szczegółowych obliczeniach przypuśćmy, że przedsiębiorcze wydawnictwo wysłało paczki do zaledwie połowy istniejących w Polsce spółdzielni produkcyjnych. Przyjmijmy, że połowa z nich przezornie odmówiła wykupienia tajemniczej niespodzianki. Nawet wtedy obrotna firma księgarska zgarnęła, lekko licząc, około 100 tysięcy złotych.

Sto tysięcy złotych za bezwartościową makulaturę.

Sto tysięcy złotych na nie wiadomo po co wydane sześć lat temu broszury. Leżały na składzie albo w kącie. Nikt ich kupować nie chciał i miał rację. Więc w końcu podstępem wpakowano je nieszczęsnym chłopom.

Sto tysięcy złotych na szkodliwe rozprawki, tendencyjne bzdury zachwalające kapitalistyczne metody ciemiężenia.

Sto tysięcy złotych za jeszcze coś więcej: za grube szachrajstwo, za wprowadzanie chłopów w błąd, za podkopywanie ich zaufania do książek, za zniechęcanie do czytania.

Bo Stanisław Nowicki i inni gospodarze dobrej wiary nie orientują się, że nabił ich paskudnie w butelkę jakiś warszawski cwaniak. Za wielki czują szacunek do słowa drukowanego, piękny szacunek ludzi prostych, aby przypuścić, że mogło się ono stać przedmiotem brudnych interesów.

Do ich wsi książki dotarły wtedy, gdy przyszła władza ludowa, dotarły razem ze światłem elektrycznym, radiem, traktorami w lata nareszcie syte.

Ci chłopi nie wiedzą o istnieniu prywatnych firm wydawniczych. Skoro książki nadeszły z Warszawy, przysłała je władza ludowa. Skoro nie nadają się, widocznie braknie władzy ludowej książek odpowiednich, widocznie nie ma takich książek, jakich wieś potrzebuje...

A książki są. Są, są i jeszcze raz są! Pracownicy oświatowi, wydawnictwa, pisarze, organizacje społeczne głowią się nad metodami upowszechnienia czytelnictwa na wsi.

A do głodnych wiadomości chłopów wydawnictwo pełne inicjatywy prywatnej wysyła cichaczem swoje słono płatne przesyłki.

Maria Jarochowska

KOMENTARZE

„KULTURALNA" TAPETA

Nabycie postępowych książek, a nawet wypożyczenie takich książek z bibliotek staje się w Stanach Zjednoczonych zupełnie niemożliwe. „Oczyszczanie" bibliotek z jakiejkolwiek literatury zawierającej „wolne myśli" jest w toku. Należy się obawiać, że Amerykanie wkrótce będą się bali czytać książki—w ogóle. Jedna z firm nowojorskich w przewidywaniu tej możliwości wprowadziła na rynek wynalazek (cytujemy prospekt): „który pozwoli Amerykanom uniknąć jakiegokolwiek ryzyka". Jest nim tapeta przedstawiająca półki z książkami i stwarzająca złudzenie prawdziwych półek z prawdziwymi książkami. Dekoracyjnie, tanio i — ostrożnie.

rdc.

Rys. Jan Lenica

WSPÓŁPRACA czyli POWRÓT Z TERENU

MONOPOL

100% wiadomości zagranicznych, jakie ukazują się w dziennikach i periodykach włoskich (za wyjątkiem korespondencji nielicznych dziennikarzy włoskich przebywających za granicą jako przedstawiciele wielkich pism finansowych przez monopole przemysłowe) — pochodzi z zagranicy, z czego 90% bezpośrednio z USA. Nie istnieje w ogóle żadna agencja wiadomości międzynarodowych pod kierownictwem włoskim, i prasa jest zmuszona posługiwać się komunikatami wydawanymi przez 3 wielkie północno-amerykańskie agencje prasowe: „Associated Press", „United Press" i „International News Service", które odzwierciedlają politykę Departamentu Stanu i amerykańskiego Ministerstwa Wojny.

Ten „komentarz" nie potrzebuje komentarza.

rdc.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA
MARCJANNA FORNALSKA
Str. 46, 1 wkl. zł 2.—
„KSIĄŻKA WIEDZA"

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro, tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel. 7-38-05. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-14928